CO NA TO POLSKI RZĄD?

Jak wojna wypromowała na Ukrainie Stepana Banderę i Romana Szuchewycza

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 4/664 19–25 STYCZNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Gdzie się podziała Konfederacja Mentzena i Bosaka?

WYZNANIE PIŁKARZA – GRZEGORZ KRYCHOWIAK BRONI SWEGO PRAWA DO PORAŻEK

Liberalny skręt papieża Leona XIV

Koniec liberalnego świata

DOKĄD ZAPROWADZI NAS POLITYKA DONALDA TRUMPA?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pax dżungliana

Muszę przyznać, że z pewnym zaskoczeniem przeczytałem słowa byłego premiera, Mateusza Morawieckiego, na temat roszczeń Stanów Zjednoczonych, a ściślej – prezydenta Donalda Trumpa, do Grenlandii. Jak powszechnie wiadomo prezydent Trump uważa, że Stany Zjednoczone powinny zająć Grenlandię, bo to służy ich interesom bezpieczeństwa.

Co na to polski były premier? Występując w RMF, Mateusz Morawiecki stwierdził najpierw, że „jeżeli my będziemy przestrzegać prawa międzynarodowego, jednocześnie uznawać, że ono nas krępuje, Rosja i Chiny będą sobie robiły to, co będą chciały, to popełnimy błąd podstawowy. Nie będziemy mogli adekwatnie odpowiadać na niebezpieczeństwa". Dalej: „Gdybym ja był obywatelem Grenlandii i obawiałbym się o przyszłość mojej wyspy, to zdecydowanie wolałbym być w bardzo ścisłej umowie obronnej ze Stanami Zjednoczonymi". A na koniec: „Przestańmy myśleć o arenie międzynarodowej jako o uporządkowanym podwórku. Arena międzynarodowa to domena anarchii. Dżungla. I musimy trzymać się razem w NATO". Bardzo to wszystko ciekawe i, muszę przyznać, nieco zagadkowe. Czyżby w ten sposób były premier rozwinął koncepcję prezesa PiS, który niedawno mówił o zaletach Pax Americana?

Po pierwsze nie wiem, co ja bym zrobił, gdybym był mieszkańcem Grenlandii. Wiem natomiast, że prawdziwi mieszkańcy Grenlandii, a nie tacy jak polski były premier, w ogromnej większości nie chcą, żeby ich wyspa stała się częścią USA. Skoro tak, to domaganie się od nich podporządkowania imperium, którym jest USA, nie jest niczym innym jak wezwaniem ich do poddania się sile.

Po drugie Grenlandia, przypomnę, jest regionem autonomicznym pod kontrolą Danii, a więc pozostaje, używając języka pana premiera, „w bardzo ścisłej umowie obronnej ze Stanami Zjednoczonymi". Do tego stopnia ścisłej, że znajduje się tam amerykańska baza wojskowa: Pituffik Space Base, powszechnie znana pod swoją dawną nazwą Thule Air Base. Położona ok. 1200 km na północ od koła podbiegunowego jest tam od 1951 r. W bazie znajduje się najbardziej na północ wysunięty port morski. Umieszczone tam są instalacje militarne, w całości kontrolowane przez Amerykanów. Monitorują one przestrzeń powietrzną nad biegunem północnym – szukają oznak startu pocisków balistycznych i śledzą satelity. No więc gdybym był polskim politykiem, to zadałbym sobie proste pytanie: Dlaczego USA, które mają na Grenlandii swoją bazę i kontrolują wyspę, chcą ją jeszcze zagarnąć? Nie może przecież chodzić o bezpieczeństwo, to bowiem jest już zapewnione.

Wyspa jest częścią NATO, a najważniejszym członkiem NATO są Stany Zjednoczone. Zgodnie z umową paktu USA są zobowiązane do obrony wyspy w razie napaści na nią. Dlaczego nagle domagają się jej zagarnięcia? Są obrońcą czy już potencjalnym napastnikiem?

Po trzecie, zastanawiam się, o co chodzi z tą dżunglą. Czyżby premier Morawiecki chciał nam powiedzieć, że to, co robią USA wobec Danii i Grenlandii, to prawo dżungli i anarchii? Ale skoro jest to prawo dżungli – silniejszy bierze swoje, a słabszy się słucha – to dlaczego nazywa to „byciem w bardzo ścisłej umowie obronnej ze Stanami Zjednoczonymi"? Czyżby bycie z kimś w ścisłej umowie obronnej oznaczało rezygnację z bycia? Żeby być bronionym, należy nie być?

Po czwarte nie wiem, o co do końca chodzi z Rosją i Chinami. Czy premier Morawiecki chce nam powiedzieć, że to, co robią USA z Grenlandią, jest takim samym złamaniem prawa międzynarodowego jak to, co robią Rosja i Chiny? Dlaczego w takim razie złamanie prawa międzynarodowego przez USA jest lepsze niż złamanie go przez Rosję lub Chiny?

Szkoda, że polski premier, skądinąd specjalista od spraw gospodarczych, nie zauważył, że – jak donosiły różne media – zanim Donald Trump ogłosił swoje plany zajęcia wyspy, postanowili tam zainwestować wielcy amerykańscy miliarderzy. „Wyścig po złoża już się rozpoczął. Na wyspie zainwestowali już m.in. właściciele Amazona, Microsoftu i Estée Lauder. To ostatni z wymienionych, Ronald Lauder, ma stać za koncepcją przejęcia Grenlandii przez Amerykanów". Tak donosiła duńska gazeta „Politiken". No że coś takiego umknęło wielkiemu polskiemu specjaliście i znawcy rynków światowych? Bo chyba umknęło. Gdyby bowiem to dostrzegł, zrozumiałby zapewne, że nie chodzi tu o bezpieczeństwo, ale o coś całkiem innego.

Kiedy czytam takie wypowiedzi, zastanawiam się, jak by zachowali się polscy politycy, gdyby przypadkiem okazało się, że jakieś cenne złoża odkryto na polskiej Wyspie Wolin i gdyby pewnego dnia najpierw zainwestowała tam grupa amerykańskich miliarderów, a chwilę potem USA ogłosiłyby, że posiadanie tej wyspy jest niezbędne dla ich interesów bezpieczeństwa. Obawiam się, że wręcz ścigaliby się o to, kto pierwszy ją odda. Czego się nie robi dla najbliższego sojusznika? ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

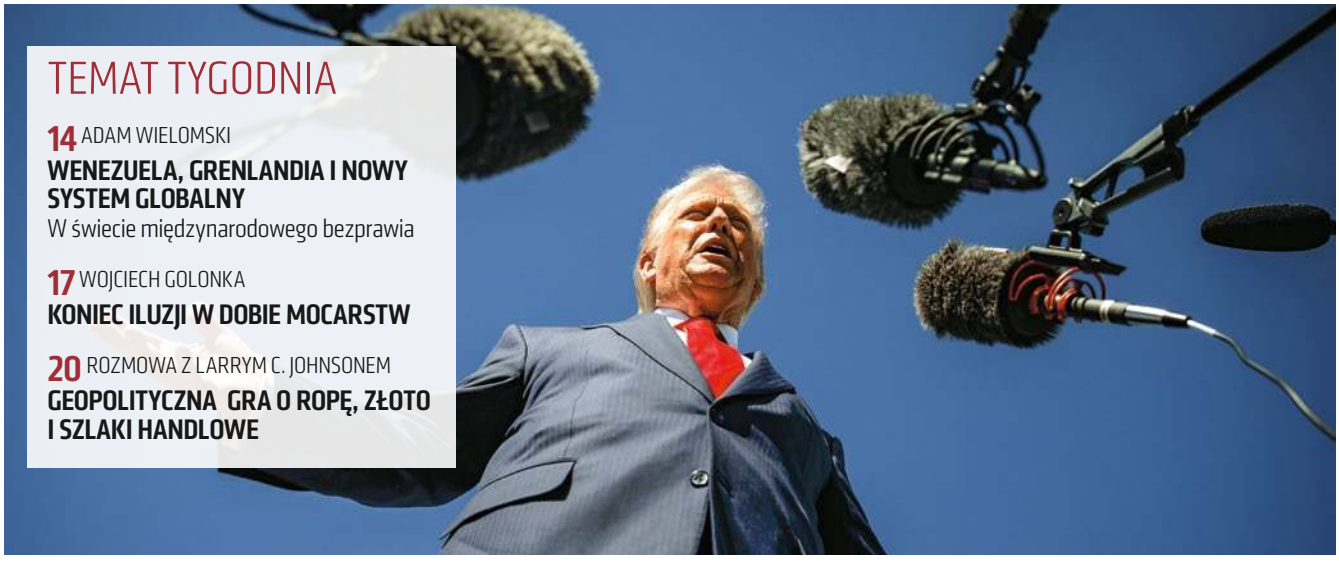

TEMAT TYGODNIA

14 ADAM WIELOMSKI
WENEZUELA, GRENLANDIA I NOWY SYSTEM GLOBALNY
W świecie międzynarodowego bezprawia

17 WOJCIECH GOLONKA
KONIEC ILUZJI W DOBIE MOCARSTW

20 ROZMOWA Z LARRYM C. JOHNSONEM
GEOPOLITYCZNA GRA O ROPĘ, ZŁOTO I SZLAKI HANDLOWE

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
NA KŁOPOTY BOGUCKI?
Czy prezes ma nowego faworyta

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GDZIE SIĘ PODZIAŁA KONFEDERACJA MENTZENA I BOSAKA?

26 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
INFANTYLIZACJA POLITYKI

28 ROZMOWA Z JERZYM KWAŚNIEWSKIM
NIE ZDEJMĘ KRZYŻA

30 MICHAŁ MURGRABIA
NIECHCIANI, ALE OBECNI

34 RADOSŁAW WOJTAS
ZIMNE ŻARTY

KULTURA

36 PIOTR SEMKA
PIERWSZY PĘDZEL JEGO CESARSKIEJ MOŚCI
Jacques-Louis David – geniusz na każdą porę

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
„HELENA", CZYLI PROSTOTA JEST NAJTRUDNIEJSZA

40 PIOTR GOCIEK
PRAWDZIWY RYCERZ

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
NAWROCKI W GŁÓWNYM NURCIE
Rozczarowujący start prezydentury

48 ŁUKASZ ZAWADZKI
POWRÓT SĘDZIOWSKIEJ OLIGARCHII?

50 FILIP MEMCHES
WIELOKULTUROWOŚĆ POLSKĘ WYKOŃCZY

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
LIBERALNY SKRĘT PAPIEŻA

HISTORIA

54 RAFAŁ ŁATKA
ŻYWOTY NIEMAL RÓWNOLEGŁE
Księża Józef Glemp i Henryk Gulbinowicz wobec PRL

ŚWIAT

60 TERESA STYLIŃSKA
CZY DANIA STRACI GRENLANDIĘ?
Spór o wyspę i jej bogactwa

64 PIOTR WŁOCZYK
CHINY – USA: ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK WOJNA WYPROMOWAŁA NA UKRAINIE BANDERĘ I SZUCHEWYCZA

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
SPRZEDAWAĆ AMERYKĘ?
Groźne skutki konfliktu Trumpa z szefem FED

SPORT

74 ROZMOWA Z GRZEGORZEM KRYCHOWIAKIEM
ZAWSZE MOŻNA ZAJŚĆ WYŻEJ
Z Mrzeżyna na Mount Everest

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl b6d7b4f1ea

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Nathan Howard/Reuters/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Warszawskie srebra", Radosław Wojtas, „DRz" nr 3/2026

Szanowny Panie,
w swoim felietonie wymienia Pan ligę „mistrzów dawnego rzemiosła: Fabryka Józefa Frageta, Norblin, Bracia Buch czy T. Werner", co może sprawić wrażenie, że każdy z wymienionych miał własną fabrykę. Było inaczej. Istniała jedna firma „Norblin, Bracia Buch i Werner", notabene reprezentowana na cały Wschód w Moskwie przez mojego dziadka Władysława Ławickiego. Jak zapamiętała moja Matka, w 1915 r. pan Werner ewakuował się do Moskwy; w 1917 r. próbował znaleźć schronienie w Odessie i tam zginął.

Z poważaniem
Marian Hanasz

Od autora

Szanowny Panie,
dziękuję za słuszną uwagę i uzupełnienie.

Z poważaniem
Radosław Wojtas

„Chwalcy katastrof", Janusz Korwin-Mikke, „DRz" nr 51/2025

Przeczytałam artykuł JKM w świątecznym wydaniu gazety. Ocena historii polski jest super. Jak ja lubię JKM. Życzę spokojnych świąt. A redaktor Lisicki też jest moim ulubionym dziennikarzem.

Z pozdrowieniami
Anna Wojciechowska

Pokaz siły hegemona

Po spektakularnym, niewątpliwie, sukcesie amerykańskich komandosów, [...] nasi rodzimi trumpofile zachwycili się skutecznością sił amerykańskich.

W związku z tym mam do nich jedno pytanie. Jak zachowają się, co powiedzą, gdy wspaniały, acz kapryśny prezydent Trump przypomni sobie o ustawie 447 i zechce ją wprowadzić w życie? [...]

Aby nas przymusić do uległości, może porwać jednego lub drugiego przywódcę zwalczających się w Polsce plemion albo, co daj Boże, obu, a może jeszcze kilku [...]. Co wtedy?

Z poważaniem
ED-TA

Moskwa nie wierzy łzom

Szanowni Państwo,
niemal rok temu ukazał się zwiastun opery mydlanej pt. „Rozmowy pokojowe", który odniósł taki sukces, że postanowiono nakręcić kolejne odcinki, a coraz więcej aktorów, zwłaszcza drugoplanowych, zaczęło starać się o angaż [...]. Tymczasem główny bohater – prezydent Putin – nie pojawia się niemal wcale, ponieważ nauczony wieloletnim doświadczeniem już wie, ile warte są zachodnie gwarancje. Żeby nikt nie miał wątpliwości co do jego niewiary, podpisał już w marcu 2023 r. dekret „Koncepcja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej", w którym Europa Zachodnia i USA znajdują się na przedostatnim miejscu na skali jego zainteresowań, tuż przed Antarktydą. Najwyraźniej nie lubi oper mydlanych, a Europę czeka powrót do rzeczywistości. Ciekawe, co wymyślą unijni mędrcy. Pewnie nowy podatek, tym razem od tego, że w ogóle żyjemy.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Wyjaśnienia

W numerze 2/2026 „Do Rzeczy", w moim artykule pt. „Zjedzone dziecko rewolucji", pomyliłem nazwę chóru, którego dyrektorem był skazany za pedofilię Wojciech Krolopp. W rzeczywistości chodziło o chór Polskie Słowiki.

Za błąd przepraszam
Krystian Kratiuk

Bardzo przepraszamy Czytelników oraz Joannę Bojańczyk, autorkę felietonu „W com ta miał", za bardzo niefortunną zmianę przytoczonego przez nią cytatu z „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego.

Anna Zalewska, szefowa korekty
Agnieszka Szpak, korektorka

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rechot nasz powszedni

Jesienią 1947 r. osaczany przez Urząd Bezpieczeństwa lider niepodległościowej opozycji, prezes PSL Stanisław Mikołajczyk zdecydował się opuścić kraj. Bardzo realna była groźba jego aresztowania, a wielu jego współpracowników wcześniej pobito, a nawet zamordowano. Gdy Mikołajczyk, dzięki pomocy zachodnich dyplomatów, opuścił Polskę, w naszym kraju opowiadano sobie adekwatny do ówczesnej sytuacji dowcip. W zakładzie pracy miejscowy komunista przychodzi do swojego kolegi z pracy, znanego ze wspierania opozycji. Z wyzywającym uśmieszkiem szydzi: „No i co? Uciekł wam ten wasz Mikołajczyk". W odpowiedzi słyszy: „Nam uciekł? Chyba wam?".

Ten stary dowcip przypomniał mi się, gdy przeglądałem wysyp publikacji w mainstreamowych mediach wyrażających satysfakcję z decyzji Zbigniewa Ziobry o poproszeniu o azyl na Węgrzech. „Ziobro stracił okazję do tego, żeby przyjąć rolę męczennika" – wymądrza się jeden z redaktorów „Gazety Wyborczej". Z kolei publicysta „Rzeczpospolitej" ogłasza światu: „Myślę, że Jarosław Kaczyński jest wściekły na Zbigniewa Ziobrę". Tylko leciutko krytykuje Donalda Tuska za to, że aż tryska satysfakcją z powodu azylu Ziobry nad Dunajem. A może komentarze Tuska to dowód na to, że cała maszyneria ministra Żurka nastawiona była na sądowe prześladowanie ważnego polityka opozycji? O nie. Tak świętokradcza myśl nie przychodzi do głowy „Wyborczej" ani „Rzeczpospolitej".

Bardzo aktywne są też wszystkie portale typu Onet czy naTemat.pl, które jakby na jeden znak docierają do – anonimowych oczywiście – polityków PiS, którzy wypłakują się na piersi reporterów, narzekając, że pozostanie Ziobry na Węgrzech zaszkodzi notowaniom Prawa i Sprawiedliwości. Jak zawsze czujna jest też Polska Agencja Prasowa, która dotarła do węgierskiego prawnika Tamasa Lattmanna. „To polityczna przysługa udzielona sojusznikowi z wykorzystaniem fałszywych argumentów o prześladowaniach politycznych i braku praworządności w Polsce" – opowiada PAP Tamas Lattmann. PAP starannie unika ujawnienia, że Lattmann to prawnik związany z węgierską opozycją.

Wirtualna Polska ogłasza, że tłumaczenia Ziobry nie przekonują pani prof. Anny Pacześniak. Zdaniem tej politolog wyjazd do Budapesztu rządzonego przez sprzyjającego Ziobrze Viktora Orbána osłabia narrację o obiektywnych prześladowaniach w Polsce. „Dlaczego nie starał się o azyl polityczny w innym kraju UE?" – dziwi się pani prof. Pacześniak.

Ciekawe, co mówiłaby pani profesor, gdyby to jej groził choćby tydzień w areszcie pod rządami pana Żurka. Ciekawe, jakim zaufaniem obdarzaliby wymiar sprawiedliwości dziennikarze, gdyby im groziło choćby to, co musiał przejść ks. Michał Olszewski w czasie wielu tygodni swego zatrzymania. Z ciepłych gabinetów redakcyjnych łatwo oceniać polityka, który zmaga się z ciężką chorobą nowotworową. Obecne sądy nie dają żadnych gwarancji uczciwego osądzenia byłego ministra sprawiedliwości. I to jest konkret, a nie histeryczne zaklinanie rzeczywistości przez proplatformerskie media. ©℗

FOT. SEAN KILPATRICK/REUTERS/FORUM

STRATEGICZNE PARTNERSTWO KANADY I CHIN

Premier Kanady Mark Carney i przywódca Chin Xi Jinping ogłosili w ubiegłym tygodniu „nowe strategiczne partnerstwo". Pierwsza od niemal dekady wizyta premiera Kanady w Chinach miała na celu polepszenie relacji z drugą co do wielkości gospodarką świata i zmniejszenie zależności od USA. Celem rządu w Ottawie jest podwojenie w ciągu 10 lat kanadyjskiego eksportu do krajów innych niż Stany Zjednoczone. ***(jap)*** ©℗

STOPY PROCENTOWE NA RAZIE BEZ ZMIAN

Na styczniowym posiedzeniu Rada Polityki Pieniężnej (RPP) utrzymała stopy procentowe na niezmienionym poziomie. Główna stopa procentowa NBP nadal wynosi zatem 4 proc. Analitycy finansowi spodziewają się jednak, że jeśli inflacja nadal będzie się utrzymywać w okolicach 2 proc. w skali roku, to już w marcu RPP powróci do polityki cięć. Byłaby to zła wiadomość dla posiadaczy oszczędności (spadnie oprocentowanie lokat) i dobra dla kredytobiorców (powinny zmaleć raty kredytów). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Jedną z nielicznych jasnych stron polskiej polityki jest to, że daje okazję do przypominania dobrych, starych dowcipów. Na przykład takie wybory nowego przewodniczącego w Polsce 2050. Głosowanie się wywaliło, gdyż zbyt wiele osób chciało naraz skorzystać z linków albo chociaż popatrzeć. Co przypomniało nam taki żarcik: Dlaczego w Wąchocku autobusy są szersze niż dłuższe? Bo wszyscy chcą siedzieć obok kierowcy.

Niemniej odnotowujemy szokujący fakt: w pierwszej turze walki o fotel szefa dawnej partii Szymona Płaczliwego Hołowni aż 95 głosów padło na Ryszarda Petru. Nie wiedzieliśmy, że Ryszard ma tak liczną rodzinę i że wszyscy należą do Polski 2050.

Przechodzimy do spraw istotnych. W miniony czwartek osoba głowy państwa spotkała się z trzema szefami i jedną szefową służb specjalnych. Odrobinę żenujące było wkręcenie się na tę imprezę dwóch ciotek przyzwoitek w postaci Kosiniaka-Kamasza oraz Siemoniaka, którzy nie byli zaproszeni, ale i tak wpadli. Złośliwe języki mówią, że przyzwoitki nie były pewne, czy aby szefowie i szefowa nie powiedzą Karolowi Tadeuszowi więcej, niż chciałyby ich przyzwoitki. Na przykład o tym, jak zmuszano ich do szukania kompromatów na kandydata PiS na prezydenta.

Warto odnotować, że osoba głowy państwa wykonała gest pod adresem przyzwoitek i w spotkaniu nie brał udziału szef BBN o imieniu Sławomir. Zastąpił go jego zastępca gen. Andrzej Kowalski. Jego certyfikatu dostępu do informacji niejawnych akurat przyzwoitki nie kwestionują, więc można było gadać o wszystkim.

Z życia Konfederacji (tej większej). Jak może wiecie, prezydent Karol Tadeusz powołuje różne rady. W jednej z nich chciał bardzo zobaczyć Annę Bryłkę z Konfederacji, gdyż kumata i zdolna z niej babka. Niestety, władze Ruchu Narodowego zdecydowały inaczej i wysłały do rady kogoś zupełnie innego, zdecydowanie bardziej noł nejmowego. Co nas smuci, gdyż podzielamy opinię prezydenta Karola Tadeusza na temat zalet Bryłki.

Powyższa decyzja wywołała falę dzikich domysłów. Najciekawszy z nich to ten, wedle którego, gdy ktoś w jednym lub drugim filarze Konfederacji zaczyna zdolnościami medialnymi przerastać liderów, szybko zostaje ściągnięty w dół. Nie wierzycie? To zastanówcie się, dlaczego Ewa Zajączkowska-Hernik straciła rozmaite ważne funkcje w partii Mentzena, tylko po to, by zyskać… No właśnie.

Tymczasem w regionie. Prawicowi Rumuni wpadli na genialny sposób poprawienia swych relacji z Ameryką. Otóż partia AUR George'a Simiona wysyła do Waszyngtonu nie lidera, nie pięciu delegatów, ale 35 działaczy, żeby ławą weszli na spotkania z rozmaitymi politykami z administracji Trumpa, think tankami i Turning Point USA. W dodatku zażądali od prezydenta, rządu i parlamentu Rumunii, by rok 2026 ogłosić Rokiem Ameryki w Rumunii. Oczywiście szans na przegłosowanie brak, ale wiecie, jak podobają się takie akcje Dobremu Donaldowi z Waszyngtonu?

Skoro o Waszyngtonie. W bieżącym roku nie ma żadnych, ale to żadnych wyborów. I to jest prawdziwy problem. Idzie o to, że Radek byłby nawet skłonny dogadać się w kwestii dwóch nibyambasadorów, których za Chiny ludowe nie chce nominować osoba głowy państwa. Czyli Klicha w Waszyngtonie i Schnepfa w Rzymie. Jednak żeby wilk był syty i owca cała, należałoby im w zamian zaproponować jakieś biorące miejsca w wyborach. Najlepiej do europarlamentu, bo tam nie trzeba się wysilać, a kaska leci. No ale nie można zaproponować, gdyż wyborów nie ma. A zarówno Schnepf, jak i Klich nie chcą się zdać na obietnice, że jak już będą wreszcie wybory, to oni dostaną miejsca biorące. I powiemy szczerze – wcale im się nie dziwimy.

Tymczasem w Dużym Pałacu funkcjonuje nieformalna lista placówek, które mogłyby być obsadzone zgodnie z wolą Radka Sikorskiego. Lista to zresztą za dużo powiedziane, bo rzecz odbywa się na gębę. Chodzi o kilkanaście osób, w przewadze doświadczonych dyplomatów, które były na tyle rozsądne, by nie zapisać się do tzw. klubu ambasadorów, no i w dodatku odbierają telefony z Dużego Pałacu, a nawet pomagają w krajach rezydowania załatwiać sprawy, o które prosi Kancelaria Prezydenta. Z oczywistych względów tej listy nie ujawniamy. I nie chodzi o to, że kilka osób z tej listy znamy i cenimy. No dobra. Chodzi właśnie o to. Panowie G. nie lubią rozdawać pocałunków śmierci.

Tymczasem Zły Donald z Sopotu spamuje Internet filmikami przedstawiającymi siebie z młodości, ale ożywionego przez AI. Popieramy tę działalność artystyczną. W następnej kolejności chcielibyśmy obejrzeć filmik AI, na którym politycy Kongresu Liberalno-Demokratycznego odbierają reklamówki z dojczmarkami od wysłanników niemieckiej CDU. Lubimy, kiedy historia staje się żywa na naszych oczach.

Aktorka Joanna Szczepkowska poskarżyła się publicznie, że otrzymała list od prof. Andrzeja Nowaka pouczający ją w kwestii opinii na temat dorobku króla Bolesława Chrobrego. Wedle relacji Szczepkowskiej list był „niemiłosiernie długi" i została napomniana, „czym jest kultura, a czym nie powinna". Jako stali czytelnicy rozmaitych dzieł prof. Nowaka pozwalamy sobie wysnuć przypuszczenie, że z czytaniem ze zrozumieniem jest u Szczepkowskiej nietęgo. Co nie powinno dziwić, gdyż mówienie ze zrozumieniem też jej nie wychodzi. ©℗

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl b6d7b4f1ea

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powrót latyfundystów

Unia Europejska przez wiele lat inwestowała ciężkie pieniądze w zachowanie tradycyjnej struktury rolnictwa, opartej na prywatnej własności. Ekonomia ekonomią, argumentowano, ale ważne jest zachowanie zdrowej struktury społecznej. Dopłaty, które od dziesięcioleci rozdzielane były między producentów żywności, temu właśnie miały służyć i, trzeba przyznać, okazały się skuteczne. Proces wykupu ziemi przez wielkie koncerny i komasowania w nich produkcji został w Europie spowolniony, jeśli nie całkowicie zatrzymany.

Mało kto zwrócił uwagę – bodaj jeden Jan Krzysztof Ardanowski – że umowa z Mercosur nie oznacza oddania europejskiego rynku jakimś rolnikom z południowej Ameryki, tylko kilku wielkim koncernom, które w całości kontrolują tamtejsze latyfundia. Jeden z tych gigantów ma siedzibę w USA, drugi w Szwajcarii, trzy pozostałe w rajach podatkowych. Wszystkie mają plantacje na różnych kontynentach, panują nad przetwórstwem oraz dystrybucją ziemiopłodów i przerzucają ogromne ilości towarów dookoła świata. I można być pewnym, że po zdjęciu z Europy ochrony – co właśnie się dokonuje – szybko doprowadzą tutejszych producentów do bankructwa i przejmą ich ziemię oraz inne środki produkcji, ewentualnie pozwalając im łaskawie wymrzeć w roli dzierżawców i producentów (choć raczej wypchną ich na zasiłki na koszt europejskich podatników).

I o to chodzi. Mercosur to nie tylko, co u nas zauważa się najczęściej, transakcja „zagłada europejskiego rolnictwa w zamian za szansę dla niemieckiego przemysłu". To także element inżynierii społecznej – likwidacji warstwy drobnych właścicieli ziemskich. Realizacja, innymi środkami, stalinowskiej idei kolektywizacji i wytępienia „kułaków", jako anachronicznej, z natury „reakcyjnej" warstwy społecznej, która przez swe uwikłanie w środki produkcji stoi na drodze społecznemu postępowi.

Dla wielkich koncernów to tylko chciwość. Dla ideologów rodem z Ventotene, którzy opanowali sposób myślenia „unijczyków" – coś więcej, kolejny krok ku Nowemu Wspaniałemu Światu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Trzynastu Niemców

Niemcy lądują na Grenlandii. Jak donosi „Bild", niemieckie siły zbrojne wysłały w czwartek na Grenlandie aż 13 żołnierzy. Biorąc pod uwagę liczebność ekspedycji, trudno mówić o prężeniu muskułów, ale już wiadomo, że do niemieckiej misji rozpoznawczej, jak zapowiedziały, zamierzają dołączyć Francja, Szwecja i Norwegia. Po fiasku rozmów grenlandzko-duńsko-amerykańskich premier Mette Frederiksen buduje nowy wariant „koalicji chętnych", do której na razie werbalnie zapisali się Donald Tusk, Keir Starmer, Friedrich Merz, Pedro Sánchez, Emmanuel Macron i Giorgia Meloni. Pomruki Donalda Trumpa wobec Grenlandii wywołują powszechne oburzenie europejskiego establishmentu i gdyby misja wojskowa Niemiec miałaby odpowiadać skali moralnego wzmożenia mediów, to w Nuuk lądować powinna wielotysięczna dywizja Bundeswehry.

Nikt nie ma wątpliwości, że ta śladowa obecność militarna sojuszników ma wymiar jedynie symboliczny, bo gdyby Amerykanie chcieli przeprowadzić realną aneksję Grenlandii, to większą przeszkodą byłaby niesprzyjająca aura niż groźba konfrontacji z Bundeswehrą. Eksperci od moralnej oceny polityki, a takich u nas nie brakuje, piszą o neoimperialnym awanturnictwie Trumpa, polityce przemocy, która wypiera prawo międzynarodowe, i brutalnym koncercie mocarstw.

Zanim zatem premier Tusk zechce wysłać polskich żołnierzy na Grenlandię – nawet jeśli będzie ich 13 – przypomnę, że w naszej historii to właśnie amerykańskie awanturnictwo przyniosło nam realne korzyści. Neoimperialne awanturnictwo Woodrowa Wilsona spowodowało przystąpienie USA do pierwszej wojny światowej i odzyskanie przez Polskę niepodległości, a 70 lat później podobne awanturnictwo Ronalda Reagana doprowadziło do upadku imperium sowieckiego. Sceptyków zachęcam do przypomnienia sobie, jaką rolę w obu tych procesach odgrywały Niemcy. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Czytają w Berlinie

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Kadry są najważniejsze – miał powiedzieć niejaki Lenin. Stop. Z całą pewnością nie myślał o ministrze rolnictwa Stefanie Krajewskim z PSL. Stop. Urzekający szczerością chłop Krajewski rzekł w wywiadzie, że umowy z Mercosur, owszem, nie czytał, tym bardziej że przecież nie było pod nią jeszcze podpisów. Stop. I wtedy znaleźli się hejterzy (np. ja), którzy na staromodną modłę twierdzili, że umowy się czyta, a już na pewno czyta się je przed podpisaniem. Stop. Widać szef chłopa z PSL, Tusk z Koalicji Obywatelskiej, myśli inaczej: Po co czytać umowę w Polsce, skoro przeczytali w Berlinie?

Życie to jednak zdziwienie: były szef niemieckich służb, Hans Maassen, wprowadził opinię publiczną w stupor słowami: „Zgadzam się z Marcinem Romanowskim, że w Berlinie i Brukseli są politycy, którzy pochodzą z klasycznych rodzin nazistowskich i którzy najwyraźniej wierzą, że i tym razem mogą narzucić swoją wolę innym państwom za pośrednictwem Unii Europejskiej. Ich rodzice i dziadkowie ponieśli porażkę w tej kwestii i oni poniosą również". Jak na te szokujące słowa zareagowali niemieccy dziennikarze? Tradycyjnie, że to wariat i szkoda sobie nim zawracać głowę… Stop.

Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej" został przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wyróżniony tytułem „Hieny Roku". Stop. Panie Wojciechu, gratulujemy! Zapracował pan, jak mało kto, i obyło się bez kumoterstwa. Stop. Brawo!

Andrzej Domański, minister finansów, który przed wyborami w 2023 r. osobiście obiecywał kwotę wolną od podatku w wysokości 60 tys. zł, przyznał, że w tej kadencji nie możemy na nią liczyć. Stop. Redaktor Terlikowski wypytywał go, co ewentualnie w dalszej przyszłości – padła nawet z ust redaktora znana zachęta: „Cóż szkodzi obiecać" – ale pan minister wybrnął dyplomatycznie, że nie zna programu wyborczego na rok 2027. Stop. Panie ministrze, ze słynnych „100 konkretów" prawie wszystkie możecie wrzucić w nowy-stary program. One są zdumiewająco aktualne…

Bogdan Rymanowski zapytał byłego prezydenta Andrzeja Dudę, czemu podpisał głupawą ustawę, która nakazuje pracodawcom formułować ogłoszenia starannie omijające płeć osoby, którą chcą zatrudnić. Stop. Odpowiedź zdumiała wszystkich: „To jest w jakiejś mierze jeden z tych absurdów, które są częścią współczesnego świata". „To dlaczego pan to podpisał?" – dopytywał redaktor. „Ponieważ uważałem, że i tak dużo rzeczy blokuję i nie wszystko blokowałem". Stop. Może i dobrze, że prezydentem można być tylko dwie kadencje… ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ROSYJSKA DUSZA CIERPI

Dawno go nie było, a jest niezawodny. Przed państwem: Daniel Olbrychski. Aktor gościł w Telewizji w Likwidacji u Doroty Wysockiej-Schnepf, gdzie odniósł się do rosnącego poparcia partii Grzegorza Brauna. – Czy nie obawia się pan, patrząc na sondaże, że faszyści w Polsce idą po władzę? – pytała zatroskana prowadząca. – Ja nie lubię używać słowa „przerażający", bo mnie mało rzeczy przeraża, ale to jest bardzo przygnębiające, zdumiewające i wymagające czujności oraz bezwzględnej walki z tym, jak się da. Ja nie będę wymieniał, tak jak pan Tomek Sianecki ze „Szkła kontaktowego", nie chce mi się wymieniać

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS

nazwiska lidera tego ruchu, chociaż nazwisko jego ojca było bardzo ważne dla kultury polskiej [...]. Podziwiam panią Monikę [Braun, siostrę Grzegorza – przyp. red.], że w sposób tak dramatyczny dla niej samej jednak odcina się kategorycznie od wyczynów karygodnych, obrzydliwych swojego brata. A cieszy się z tego powodu tylko Moskwa, jak zwykle – ocenił aktor. Oburzenie zastanawiające, bo przed laty to sam Olbrychski nazwał się „człowiekiem Rosji w Warszawie".

WSZYSCY ŹLI

W tym samym wywiadzie Daniel Olbrychski skrytykował prezydenta Karola Nawrockiego. A pośrednio także jego wyborców. Podkreślał, że jako artysta próbuje wpływać na społeczeństwo, aby głosowało „mądrze", jednak niestety nie zawsze się to udaje. – Próbujemy apelować, my, artyści, ludzie tacy jak pani, zwracać się do społeczeństwa: „Opanujcie się, zastanówcie się, na kogo i w jakiej sprawie głosujecie". Przecież to jest wszystko przeciwko naszej ukochanej ojczyźnie – mówi z żalem gwiazdor. – Jeżeli prezydent, wybrany naprawdę niewielkim procentem głosów na to stanowisko, robi wszystko, żeby przeszkadzać rządowi w każdej nieomal ważnej dla Polski płaszczyźnie, no to też nie myśli przecież o dobru własnej ojczyzny, do czego został powołany i na co przysięgał. Tylko myśli, żeby było w Polsce jak najgorzej, żeby tę władzę odsunąć [...]. Żeby było w Polsce jak najgorzej. No przecież to jest grzech śmiertelny człowieka na tym stanowisku – podsumował gość Wysockiej-Schnepf. Zły prezydent, Polacy też źli. Tylko Daniel dobry. No i Dorota.

ROMSKIE ZAŚLUBINY

Czytelnikom mogło umknąć, ale w czasie świąteczno-noworocznej przerwy Viki Gabor ogłosiła zamążpójście. A dokładniej zrobił to dziadek jej wybranka, romski muzyk Bogdan Trojanek, lider zespołu Terne Roma. Wszystko odbyło się w tradycyjnym dla tej kultury stylu – porwanie przyszłej panny młodej, przepych, muzyka. Młoda wokalistka odwiedziła studio „Dzień dobry TVN", gdzie nie zabrakło tematu, który w ostatnich tygodniach wzbudził ogromne emocje. Prowadząca dopytywała, czy piosenkarka omija nagłówki na portalach po zamieszaniu z jej udziałem. – Ja tego nie czytam – odpowiedziała krótko Viki Gabor. Prezenterka zauważyła, że artystka usunęła wszystkie treści z Instagrama. – To też jest plan. To było już zaplanowane parę miesięcy przed sylwestrem, więc to nie wyszło tak po prostu. Jest to częścią mojego planu – wyjaśniła wokalistka. Z wypowiedzi samej Gabor można wywnioskować, że odbędzie się druga, tradycyjnie polska ceremonia. – No słuchajcie, jestem szczęśliwa i myślę, że to jest najważniejsze. Ja np. jestem takim typem osoby, która nie mówi za bardzo o swoim życiu prywatnym, bo myślę, że każda osoba chce zachować swoją prywatność. Tym bardziej że ja mam wrażenie, że nikogo to nie obchodzi. Tworzę muzykę i jestem tu po to, żeby śpiewać, żeby pisać, a nie żeby mówić o tym, jak będzie wyglądać mój ślub – zakończyła. Cóż dodać? Szczęścia młodej parze!

DOPAŚĆ SANDRĘ

Celebrytką być nie jest łatwo. A kto nie wierzy, niech zanurzy się w wywodach Sandry Kubickiej. Modelka i bizneswoman ujawniła, że od dłuższego czasu musi mierzyć się z częstymi kontrolami urzędu skarbowego. Kontrole te, według słów Kubickiej, są wynikiem licznych i oczywiście bezpodstawnych, anonimowych zgłoszeń. – Przyszło zgłoszenie, musimy przyjść, bo jak nie przyjdziemy, to będą skargi, że nie działamy – relacjonowała. – Prowadzę firmy, mam matcharnię w centrum Warszawy. Bardzo często przychodzi do nas kontrola urzędu skarbowego i mówią tak: „Dzień dobry, to znowu my, my wiemy, że nic się nie dzieje, ale znowu przyszło zgłoszenie, musimy przyjść, bo jak nie przyjdziemy, to będą skargi, że nie działamy" – opowiadała Kubicka w rozmowie z kanałem Glamour Polska na YouTube. Anonimowe zgłoszenia kierowane są nie tylko do urzędu skarbowego, lecz także do innych instytucji, w tym do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Influencerka nie ma wątpliwości, że zazdrośni o jej sukces internauci chcą w ten sposób utrudnić jej życie. – To nie jest tak, że coś się dzieje. Oni przychodzą, bo ktoś znów wysłał zgłoszenie. Wiedzą, że nic nie znajdą, ale muszą się pojawić, żeby nie było zarzutów, że nic nie robią – mówiła dalej. – Mam takie poczucie, że ja nie robię przecież nikomu krzywdy. Nie zabijam ludzi, nie kradnę, po prostu sobie żyję, funkcjonuję jak każdy inny obywatel tego kraju. Natomiast moje działania tak bardzo bolą i denerwują innych ludzi, że próbują na siłę mnie zniszczyć i doprowadzić do tego, że zamknę te swoje biznesy i nie będę funkcjonować – podsumowała. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i znów daje o sobie znać ten straszny polski mindset. Otósh natknęliśmy się na wyniki badania mówiące o tym, kogo Polacy uważają za bogatego, i wyobraźcie sobie, iż większość uznaje za bogactwo taki stan, w którym na jedną osobę w rodzinie przypada kwota dochodu powyżej 10 tys. zł.

Mamy tu dwie wątpliwości metodologiczne na wstępie, iż kończyliśmy nauki społeczne i coś tam nawet pamiętamy z zajęć o badaniach naukowych (no i socjologia pozostała po prostu naszą pasją). Po pierwsze, jak to możliwe, iż w europejskim kraju w XXI w. robimy badanie, w którym pada wyłącznie pojęcie rodziny, a nie ma związków poliamorycznych, związków partnerskich, rodzin patchworkowych ani słowa o osobach singielskich czy autoamorycznych. Czy na temat ich wszystkich powstanie odrębne badanie? No naprawdę nie sądzimy.

Po drugie – po co od razu operować takimi niejednoznacznymi pojęciami jak dochód, przychód, może jeszcze rozchód czy jakiś dochód rozporządzalny albo nierozporządzalny – uważamy, iż czasem trudno być może za tym nadążyć, iż te wszystkie podatki, składki, zusy, kto by pamiętał, co od czego się odejmuje i co na co wpływa. Ważne jest na koniec to, co na koncie, i tyle, prawda? xD

No, ale wracając do przedmiotu umowy, uważamy, iż Polacy nie potrafią zwizualizować i zafirmować sobie bogactwa, no bo kaman – jeżeli uważamy, iż dyszka na osobę w jakiejś formie organizacji życia społecznego na podstawowym poziomie to tak dużo, to chyba ten ktoś nie rozumie, jakie są ceny i wymagania życia w większym ośrodku.

No bo tak: raz w tygodniu sushi, ze dwa razy na squasha, niech będzie raz w miesiącu city break, siedem razy w tygodniu kawa na mieście w abonamencie, a jak o abonamentach mowa, to jeszcze wszystkie streamingi, rata za ajfona, fryzjer, behawiorystka i terapeutka dla cierpiącego na lęk separacyjny psiecka, karnet na siłownię, bilet unlimited do kina. A gdzie jakiś ramen? Gdzie jakiś wegański bibimbap? Gdzie terapia ze dwa razy w miesiącu?

Of kors to, co właśnie opisaliśmy, to nie jest coś, co mamy i uważamy za normę, potrafimy się ograniczyć do sushi raz w miesiącu, ale sami widzicie, iż nie są to jakieś przesadnie wygórowane oczekiwania od życia. I ta dyszka to nie jest dużo, ale raczej niebezpiecznie mało.

Wydaje nam się, iż w podobnych badaniach powinny brać udział staranniej wyselekcjonowane, bardziej świadome życia grupy osób, które mają większą wyobraźnię i lepsze rozumienie pieniądza. Nieraz wam zwracaliśmy uwagę, iż nie dość, że przeciętny janusz nie wie niczego o ekonomii, to nie rozumie nawet, jak może rozporządzać swoim majątkiem i że ograniczenia są tak naprawdę w jego głowie – gdyby przez rok nie pił najtańszego piwska z dyskontu, to potem mógłby sobie kupić półroczny karnet na siłownię w mieście wojewódzkim. No ale to – jak mówiliśmy – trzeba pomyśleć.

Bo tak poza tym jaką taki janusz z małego ośrodka ma rozrywkę? Po pracy mecz obejrzeć, w niedzielę pójść do kościoła, nakrzyczeć na osobodzieci i osobożonę, zjeść rosół, familiada, skoki i szykować się znów do roboty.

Ażeby zwiększać ogólny poziom bogactwa dorównujący społeczeństwom zachodnim, musimy nauczyć się myśleć tak jak one, kochani, szerzej, dalej i z większym zaufaniem do postępu. Inaczej to będziemy ciągle sami sobie obniżać poprzeczkę i wkładać kij w szprychy, płakać, że unia zła – nie chcemy takiego kraju. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zdjęcia z Wołodią

I czego się szczerzysz, Paulina? Nie wygrałaś.
Ale ty też, Kasieńko, nie wygrałaś.

Ale mogłam, gdyby nie zewnętrzna ingerencja. Ruska na pewno!
Na pewno. Przecież wiadomo, która z nas ma zdjęcia z Wołodią.

Donald też ma!
Ale Donald nie startował!

Ktoś musi mieć kody i tymi kodami manipuluje.
Tak, Szymek pewnie.

A wcale bym się nie zdziwiła.
Wiesz, że może masz rację? Z komisarzem Narodów Zjednoczonych mu nie wyszło, więc może... ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Po pierwsze wyznaję zasadę durex".

MARIAN BANAŚ, *były prezes Najwyższej Izby Kontroli, w rozmowie z Robertem Mazurkiem na Kanale Zero o tym, że wyznaje zasadę „Dura lex, sed lex"*

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

IRAN W OGNIU. TYSIĄCE ZABITYCH

Nawet kilkanaście tysięcy zabitych i wielu rannych – to krwawy bilans starć protestujących Irańczyków z siłami bezpieczeństwa reżimu ajatollahów. Największe protesty w historii Iranu od rewolucji w roku 1979 – wywołane m.in. dramatyczną sytuacją gospodarczą w kraju – sprawiły, że irański reżim stanął u progu upadku. Demonstrantów poparli m.in. mieszkający na emigracji syn szacha obalonego w rewolucji z 1979 r. Cyrus Reza Pahlawi, a także przywódca Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym tygodniu Donald Trump ogłosił wprowadzenie 25-procentowych ceł na towary z państw „robiących interesy" z Iranem. Amerykański przywódca zagroził również zbrojną interwencją, lecz do zamknięcia tego wydania tygodnika wojska USA nie przeprowadziły ataku na irańskie cele. „Irańscy patrioci, protestujcie dalej – przejmujcie swoje instytucje. Zapisujcie nazwiska morderców i oprawców. Zapłacą wysoką cenę" – apelował Trump do protestujących Irańczyków. Zachodnie media spekulowały również, że członkowie rządzących elit szukają już możliwości ucieczki do Rosji i do Francji. Wciąż nie jest jednak wykluczone, że reżimowi ajatollahów uda się opanować sytuację i odzyskać ulice z rąk demonstrantów. Całkowita blokada Internetu wprowadzona przez władze w Teheranie utrudnia zaś ocenę sytuacji w irańskich miastach. ***(jap)*** ©℗

Wenezuela, Grenlandia i nowy system globalny

FOT. SAMUEL CORUM/GETTY IMAGES

Adam Wielomski

Ideą Trumpa jest świat podzielony na „hemisfery", w których mocarstwo hegemoniczne robi ze słabszymi państwami, co tylko chce. O sprawach spornych całego świata i podziale sfer wpływów rozsądza koncert mocarstw, czyli USA, Rosja i Chiny. Dopóki mocarstwa się dogadują, dopóty mamy światowy pokój

Gdy 1999 r. samoloty NATO rozpoczęły bombardować Serbię, a w 2008 r. pod egidą NATO Kosowo proklamowało niepodległość, dokonując secesji od tejże Serbii, cały „demokratyczny świat" był w euforii. Kiedy w 2014 r. na Krymie pojawiły się „zielone ludziki", czyli pozbawieni naszywek wskazujących na pochodzenie rosyjscy żołnierze, to „demokratyczny świat" był oburzony agresją. Gdy w 2022 r. żołnierze rosyjscy – już z naszywkami – wjechali czołgami na Ukrainę, to ci sami ludzie oburzali się moralnie. Gdy na początku stycznia Amerykanie siłą uprowadzili prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro, też panował entuzjazm, gdyż „dobrzy" porwali „złego". Lecz gdy pojawiła się sprawa ewentualnej aneksji Grenlandii przez Stany Zjednoczone, ci sami Europejczycy dostrzegli czyste zło.

Dlaczego wymieniam wydarzenia, których pozornie nic nie łączy? Dlatego, że układają się w logiczną całość w postaci kolejnych aktów deptania obowiązującego prawa międzynarodowego. Jego podstawą jest kilka dogmatów: 1) formalna równość wobec prawa wszystkich suwerennych państw, bez względu na ich potencjał i sposób odbioru władz; 2) nienaruszalność istniejących granic; 3) nietykalność głów państw, nawet jeśli to politycy uznawani przez inne państwa za wrogów. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego są to zatem przypadki złamania reguł, które są dla wszystkich jednakie, acz z powodu naszych interesów lub

eprasa.pl b6d7b4f1ea

sympatii możemy je rozmaicie oceniać. Jako zwolennik realizmu w stosunkach międzynarodowych powiem, że w historii znamy setki i tysiące wojen, agresji etc., czyli nie dzieje się nic, czego historia nie zna, ponieważ natura ludzka – a w ślad za nią istota polityki – zawsze była, jest i będzie taka sama. Dlatego obca jest mi maniera moralnego „oburzania się". Nie widzę sensu oburzania się na rzeczywistość. Jakby to określiła tradycyjna nauka katolicka, oto ludzie po Upadku, którzy są tacy, jacy są. Nie oburzając się, komentuję te wydarzenia z punktu widzenia działania systemu światowego, a przede wszystkim z punktu interesów Polski.

DEZINTEGRACJA SYSTEMU ŚWIATOWEGO

Analizując te przypadki, widzę dwie nakładające się na siebie tendencje. Po pierwsze, po zakończeniu zimnej wojny i dekadzie odprężenia (1989–1999) liczba przypadków drastycznego deptania prawa międzynarodowego przez mocarstwa, a kosztem państw słabszych, zaczęła rosnąć. Po drugie, kolejne przypadki są coraz słabiej umotywowane. Napad na Jugosławię był uzasadniany chęcią zakończenia wojny na Bałkanach. Ogłoszenie niepodległości Kosowa i aneksja Krymu – prawem narodów do samostanowienia (mniejszości etnicznych zamieszkałych zwarte terytorium). Agresja na Ukrainę nigdy nie została wprost uzasadniona przez Rosję. Atak na Wenezuelę Donald Trump uzasadnił tym, że państwo to posiada „naszą ropę", przy czym nie dowiedzieliśmy się, skąd USA mają prawo do cudzej ropy naftowej. Przy zapowiedzi aneksji Grenlandii uzasadnienia nie ma, acz możemy się domyślać, że chodzi o bogate złoża metali ziem rzadkich, które USA muszą importować z Chin, z którymi są na wojnie handlowej, a także z racji geopolitycznych. Zapewne w końcu Trump ogłosi, że Duńczycy posiadają „nasze metale ziem rzadkich", a Waszyngton reprezentuje interesy skolonizowanych Inuitów (Eskimosów) przeciw europejskim kolonistom.

Innymi słowy, mamy na świecie coraz więcej agresji mocarstw na państwa słabsze i wydarzeniom tym nie towarzyszą już próby moralnego i prawnego uzasadnienia. Mocarstwa stają się publicznie bezwstydne. O czym to świadczy? O załamywaniu się istniejącego układu sił w świecie, przy okazji uzasadniającego odchodzący porządek prawa narodów. Obawiam się, że wszyscy profesorowie prawa międzynarodowego dosłownie z dnia na dzień stają się… historykami prawa narodów.

ISTOTA PRZETASOWANIA

W latach 1945–1989 wielkich wojen na świecie nie było, gdyż nasz glob został podzielony w Jałcie między dwa supermocarstwa. Posiadły one tysiące głowic nuklearnych, co powodowało, że politycy z obydwu stron dbali, aby żołnierz amerykański i sowiecki nie spotkali się na polu bitwy, aby nie doszło do eskalacji mogącej zakończyć się wojną nuklearną. Między siłami prosowieckimi i prozachodnimi toczyły się liczne wojny domowe, ale były to wojny wewnętrzne. Najpoważniejsze otwarte wojny – w Korei i w Wietnamie – wynikły z podziału narodów na dwa państwa, wyznające odmienne ideologie i związane innymi sojuszami. Po upadku bloku wschodniego Stany Zjednoczone wyrosły do pozycji hegemona nad światem, a ich narzędziami panowania były liberalna ideologia demokracji i praw człowieka oraz neoliberalny handel światowy, czyli globalizacja przechodząca w ideologię globalizmu i centralnego zarządzania światem przez jedną grupę wielkiego kapitału. Państwa oporne były karane za pomocą akcji policyjnych, zwanych „operacjami pokojowymi" (Irak, Libia, Serbia). Stany Zjednoczone miały – jak tę sytuację nazwał Charles Krauthammer w 1991 r. – swój „moment jednobiegunowy" (ang. unipolar moment), swoje chwilowe panowanie nad światem, które kiedyś musiało się skończyć. Niestety, w ślad za Francisem Fukuyamą wielu ludzi uwierzyło, że „historia się skończyła" i tak będzie zawsze. W Polsce była to niezwykle silna i naiwna wiara, sączona przez polityków i media.

„Moment jednobiegunowy" się skończył. Już w 2013 r. Amerykanie cofnęli się przed planowanymi atakami lotniczymi na Syrię, gdy Władimir Putin wysłał okręty z systemami antyrakietowymi i przeciwlotniczymi, co pozwoliło Rosji ogłosić koniec amerykańskiej hegemonii i początek świata wielobiegunowego. Tak naprawdę jednobiegunowy świat umarł w 2022 r., gdy Rosja rozpoczęła wojnę z Ukrainą, pomimo amerykańskiego sprzeciwu, a USA nie zdecydowały się na operację militarną. Dziś wszyscy mówią o świecie wielobiegunowym. Dlaczego? Jakkolwiek USA rozwijają się dość szybko, to Chiny, Indie i wiele innych państw BRICS rozwijają się szybciej, a pod rządami Putina Rosja uporządkowała swoje sprawy wewnętrzne i jest kierowana żelazną ręką. Udział amerykański w światowym PKB spada, czyli USA, rozwijając się, relatywnie słabną. W dodatku produkcję przeniosły do Azji, żyjąc z usług i kapitalizmu finansowego, czyli z przelewania z pustego w próżne. Europa Zachodnia stanęła w rozwoju i ze strategicznego sojusznika stała się obciążeniem. W ramach BRICS doszło do skutecznego równoważenia potęgi Waszyngtonu przez mniejsze mocarstwa, acz w przypadku Chin trudno już mówić o mniejszym mocarstwie w stosunku do Stanów Zjednoczonych.

Większość amerykańskiego establishmentu bagatelizowała zmianę układu sił. Pycha imperialna pchnęła Joe Bidena do równoczesnego przyciskania Rosji i Chin, co wynikło z przekonania, że USA są zdolne pokonać obydwa te mocarstwa równocześnie. Skutkowało to powstaniem osi Moskwa-Pekin w 2022 r., co zaowocowało atakiem na Ukrainę. Kamala Harris chciała tę globalną hegemonię pielęgnować. Trump wyłamał się z dominującego nurtu, uznając, że obiektywnie USA nie mają już sił do samodzielnej hegemonii nad światem. Stąd spotkanie Putin-Trump na Alasce w 2025 r., gdzie prawdopodobnie doszło do wstępnego podziału sfer wpływów. Pokłosiem tego wydarzenia były wypowiedź Marca Rubia, że światem będą rządziły trzy mocarstwa, czyli USA, Rosja i Chiny (z ostentacyjnym pominięciem Unii Europejskiej), oraz Strategia Bezpieczeństwa Narodowego Trumpa z grudnia 2025 r., która potwierdziła wypowiedź Rubia, traktując Europę jako „chorego człowieka globu". W Strategii tej amerykański prezydent ogłosił swój Dodatek Trumpa (ang. Trump Corollary) do starej doktryny Monroego, czyli roszczenie USA do niepodzielnego panowania nad kontynentem amerykańskim, od Grenlandii po Ziemię Ognistą. Departament Stanu zamieścił ostatnio na portalu X rysunek Trumpa z podpisem: „To jest NASZA

eprasa.pl b6d7b4f1ea

półkula" (ang. This is OUR Hemisphere).

Podobne idee głoszone od dawna były w Federacji Rosyjskiej, i to przez osoby znacznie poważniejsze i bardziej wpływowe niż demonizowany w Polsce Aleksandr Dugin. Piszą o nich specjaliści od stosunków międzynarodowych doradzający Putinowi, tacy jak Siergiej Karaganow. Przede wszystkim znalazły swoje odzwierciedlenie w doktrynie Miedwiediewa (2008), gdzie Rosja zarezerwowała sobie swoją „hemisferę" w postaci państw sukcesyjnych po ZSRS i zamieszkanych przez znaczącą mniejszość rosyjską. W Polsce doktrynę tę popularnie określa się mianem „ruskiego miru" lub „bliższej zagranicy", w dodatku błędnie zaliczając do rosyjskiej sfery wpływu Polskę i państwa byłego Układu Warszawskiego. Błędnie, gdyż Rosjanie granicę tę stawiają na Bugu, domagając się jedynie niestacjonowania wojsk USA na wschód od Łaby, co obiecano im w dżentelmeńskiej umowie w zamian za zgodę na zjednoczenie Niemiec i czego nie dotrzymano. Do tych ustaleń dyplomacja rosyjska odwołuje się od lat 90. (doktryna Primakowa), aż po tzw. ultimatum Ławrowa z 2021 r. Rosjanie nie traktują naszego regionu jako swojej strefy wpływów, lecz jako postulowaną strefę buforową między Rosją a Zachodem, dającą Moskwie poczucie bezpieczeństwa przed groźbą zachodniej ekspansji.

Spośród trzech wymienionych przez Rubia mocarstw jedynie Chiny nie głoszą żadnej teorii o swojej „hemisferze" czy „bliskiej zagranicy", będąc jeszcze na etapie kończenia własnych procesów zjednoczeniowych (Tajwan). Z tej racji, że wyspa ta jest broniona przez Amerykanów, ich interesom odpowiada poszanowanie prawa narodów, szczególnie integralności terytorialnej państw, a nie wyznaczanie swojej sfery wpływów. Zresztą ekspansja chińska uskuteczniana jest przez inwestycje, pożyczki i budowę sieci powiązań ekonomicznych, co istniejące prawo międzynarodowe wspiera. Gdy dojdzie w końcu do zjednoczenia Tajwanu z Chinami właściwymi, a chińska armia osiągnie gotowość do współzawodnictwa z USA, może się to zmienić i w materii tej możemy tylko spekulować. Realiści polityczni powiedzą, że ekspansja wynika z natury ludzkiej i Pekin też podąży tą drogą, gdy zwolennicy nauki o cywilizacjach Feliksa Konecznego odpowiedzą, iż chiński ogląd świata jest introwertyczny, a nie ekspansjonistyczny, więc Chiny nie przeistoczą się w kolejne mocarstwo dążące do światowej hegemonii polityczno-militarnej. Cóż, pożyjemy, to zobaczymy.

Trump chce grupę G7 zastąpić grupą C5 (USA, Rosja, Chiny, Indie i Japonia), spychając UE na margines świata

Ktoś z państwa zapyta: A Unia Europejska, którą tak pogardzają wspólnie Trump i Putin? Jakkolwiek Ursula von der Leyen, Friedrich Merz i Emmanuel Macron dążą do przerobienia jej w Imperium Europejskie, a przewodnicząca Komisji Europejskiej ciągle opowiada o Europie jako „centrum geopolitycznym", to chyba nikt w to nie wierzy. Stagnacja ekonomiczna, deprawacja moralna, napływ milionów imigrantów i strachliwy pacyfizm uniemożliwiają jej osiągnięcie statusu czwartego mocarstwa. Niemcy prą do budowy imperium, m.in. kosztem Polski, ale nie wierzę, że może ono osiągnąć potęgę na tyle dużą, aby pozostałe mocarstwa ją uznały. Pycha i samozachwyt brukselskich elit nie przekładają się na dywizje pancerne i rozwój ekonomiczny. Dlatego Trump chce grupę G7 zastąpić grupą C5 (USA, Rosja, Chiny, Indie i Japonia), spychając UE na margines świata.

NOWE PRAWO NARODÓW?

Cechami charakterystycznymi artykułowanych przez Donalda Trumpa zasad nowego porządku świata są dwie formuły. Pierwsza głosi, że mocarstwa prowadzą politykę hegemoniczną w ramach swoich sfer wpływów i pozostałe mocarstwa nie powinny się w cudze sfery wpływu wtrącać. Czyli zasada suwerenności państw ma zostać przeniesiona na „hemisfery" zarządzane przez imperialne centrum. Dlatego USA wytyczają własną sferę w Ameryce i wydają się uznawać rosyjską na terenie postsowieckim (nie są jednak konsekwentne wobec Chin, skoro chcą bronić zbrojnie Tajwanu i budują antychińskie układy wojskowe w Azji Południowo-Wschodniej). Druga formuła głosi, że trzeba skończyć z zasadą prawa narodów, że wszystkie państwa są równe. Skoro mocarstwa mogą ingerować politycznie i zbrojnie w swojej sferze wpływów (włącznie z porywaniem prezydentów), to są państwa, którym wolno więcej, i te, którym wolno mniej.

Wbrew pozorom nie są to wcale idee nowe. To powrót do idei tzw. koncertu mocarstw, gdy w Europie od XVII do XIX w. obowiązywała zasada, że mocarstwa mogą ingerować w swoich sferach wpływów, a dyplomację monopolizują potęgi. Mniejsze państwa są ich klientami i ich interesy reprezentują patroni. Tak rozumiano porządek światowy przy podpisywaniu traktatu westfalskiego (1648) i na kongresie wiedeńskim (1815). Układy w Locarno (1925) opierały się na idei, że o granicach w Europie formalnie decyduje wielka czwórka (Francja, Wielka Brytania, Niemcy i Włochy). Niczym bumerang wracają teorie formułowane w okresie międzywojennym w Niemczech. Pierwszą jest koncepcja „wielkiej przestrzeni" (niem. Grossraum) Carla Schmitta, głosząca koniec suwerenności mniejszych państw i skupianie się ich (ewentualnie skupienie ich siłą) przez mocarstwo-suwerena w swojej „wielkiej przestrzeni". Źródłem tej idei dla Schmitta była amerykańska doktryna Monroego, na którą zresztą w swoich przemówieniach wprost powoływał się Adolf Hitler. Drugą, mocno dziś zapomnianą, jest doktryna Heinricha Triepla o uznaniu w prawie międzynarodowym pojęcia „hegemonii". Triepel dowodził, że w każdej „wielkiej przestrzeni" jej hegemon winien rozstrzygać spory między państwami, lecz sam żadnemu prawu narodów nie podlega i ma prawo brutalnie interweniować w sprawy swoich państw-klientów.

Gdy razem połączymy te dwie idee w jedną, to wychodzi nam idea Trumpa: świat podzielony na „hemisfery", w których mocarstwo hegemoniczne robi ze słabszymi państwami, co tylko chce. O sprawach spornych całego świata i podziale sfer wpływów rozsądza koncert mocarstw, czyli USA, Rosja i Chiny. Dopóki mocarstwa się dogadują, dopóty mamy światowy pokój, a gdy przestają się dogadywać, to mamy wojnę. Cóż, wracają zasady polityki uprawianej przez człowieka skażonego przez Upadek…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Koniec iluzji w dobie mocarstw

Wojciech Golonka

Nazywając rzeczy po imieniu, wspólnota państw zachodnich z pewnością nie jest dziś nobilitującym klubem dżentelmenów, jeśli kiedykolwiek nim była, gdzie obowiązuje niezmienny i powszechnie przyjęty regulamin, dominujący partykularne interesy narodowo-oligarchiczne. Pod wodzą Donalda Trumpa amerykański establishment dokonuje uporządkowania swego położenia w realiach świata wielobiegunowego, maksymalizując swoją pozycję, szachując adwersarzy, przyjmując jednak do świadomości, że czas niekwestionowanej hegemonii dawno dobiegł końca

Uśpiony w 1989 r. przez Francisa Fukuyamę bieg historii, od tego czasu dawno już ponownie przebudzony, wraz ze spektakularną akcją USA w Wenezueli, dostał na początku roku kolejnego przyspieszenia, zwiastując zmierzch liberalnego globalnego porządku międzynarodowego na rzecz wciąż kształtującego się konsensusu mocarstw. Choć jego szczegółowy wynik pozostaje na razie nieznany, to znamy jednak ogólne ramy tej bieżącej rywalizacji, potwierdzające, że nasz kraj, w zasadzie już tradycyjnie, znajduje się w strefie zgniotu. W tej sytuacji większość naszych elit nie widzi innej możliwości, jak scedowanie naszej polityki międzynarodowej i strategii obronności na zewnętrzne ośrodki decyzyjne, to jest Waszyngton bądź Brukselę tudzież Berlin. W tych szczególnych uwarunkowaniach i specyficznych ograniczeniach, gdzie rodzime bariery mentalne są nie mniejsze niż same właściwe komplikacje geopolityczne, odpowiednie przyjęcie do wiadomości transformacji globalnego porządku stosunków międzynarodowych jest koniecznym, a zarazem zbawiennym punktem wyjścia do wypracowania nowego suwerennościowego kierunku dla Rzeczypospolitej.

Ukraina, Alaska, Wenezuela, Grenlandia… – Europa w ciągu ostatnich kilku lat dostała ewidentnie wystarczająco dużo bodźców do przebudzenia z błogiego snu o wiecznym pokoju, który rzekomo nastał wraz z pozornym definitywnym triumfem w skali globalnej zachodnich liberalnych demokracji. Ma się rozumieć, ten stan rzeczy nie był doskonały, i to nie tylko z punktu widzenia bolesnej utraty w minionej dekadzie poczucia bezpieczeństwa w większości krajów Europy czy pogarszających się warunków bezpieczeństwa ekonomicznego. Pewne nawyki jednak – a takie głębokie przyzwyczajenia bez wątpienia wytworzyło dłuższe półwiecze mozolnej integracji europejskiej pod sztandarami liberalnej demokracji – są tak silne, że nawet obcowanie z podważającą je rzeczywistością powoduje, zamiast korekty kursu lub przynajmniej pogłębionej refleksji, po prostu wyparcie.

Jednocześnie taką pogłębioną refleksję uniemożliwia, tak samo, krytyka wprawdzie dostrzegająca część rzeczywistości, jednakże infantylna i karykaturalna, mająca za cel, w ramach rywalizacji politycznej w poszczególnych krajach, rozhisteryzować potencjalny elektorat, gdzie maksymalistyczna skala inwektyw już na wstępie odbiera im jakąkolwiek powagę: Putin i Trump to zło wcielone, alter ego Hitlera, wszelkie skojarzenia dozwolone i mile widziane! W każdym razie jest rzeczą zrozumiałą, że stroniące od ekscesów masy traktowały otaczający je wieloletni porządek światowy za oczywisty, wraz z prestiżowymi instytucjami międzynarodowymi, politykami, którzy byli tychże instytucji twarzą, a dzięki przychylności medialno-celebryckiej urastali do rangi autorytetów tej domniemanej „społeczności międzynarodowej", wraz z globalnym handlem i mocno skurczonym światem, w którego różnych zakątkach kosmopolita cały czas czuje się jak u siebie. Jest rzeczą zrozumiałą, że traktowano ten ład za najlepszy z możliwych, a przez to za niepodważalny przez ludzi rozumnych, więc za niezwykle trwały, jeśli nie dany nam wręcz raz na zawsze. Innymi słowy, choć to przeświadczenie o koniecznym postępie niekoniecznie wyrażano wprost, demokracje liberalne na wzór zachodni mogły jedynie prosperować i przynosić dobrobyt, a tam, gdzie przyjmowano ich zasady, nie było problemów, których nie rozwiązałyby prawo i struktury międzynarodowe, dyplomacja, porozumienia handlowe etc.

I właśnie ten iluzorycznie niezmącony, a zarazem uspokajający porządek od pewnego czasu zwija się na naszych oczach, a stąd i pokusa podtrzymania wyparciem poczucia dawnego spokoju, nawet gdy czar dawno prysł, lub, w ramach jedynej alternatywy, prowadzące donikąd bezsilne oburzanie się na wypływające na powierzchnię naturalne mechanizmy regulujące koegzystencję mocarstw w postaci bilansu sił i określonych stref wpływu.

MIT, KTÓRYM ŻYLIŚMY

W rzeczy samej, w pewnym sensie słusznie można by nawet zarzucić, że taki światowy demoliberalny porządek w rzeczywistości nigdy gruntownie nie

eprasa.pl b6d7b4f1ea

istniał, choć nadal istnieje cała podstawa instytucji i powiązań, które ten ład międzynarodowy teoretycznie uwiarygodniały. Otóż bodźców podważających mit – którym chętnie żyliśmy – było, w skali globalnej, znacznie więcej, począwszy od samej polityki międzynarodowej Stanów Zjednoczonych, na których to przywództwie ład ten się opierał. I prawdą jest, że Stany Zjednoczone ciężarem swej niekwestionowanej hegemonii przez ostatnie trzy dekady rzeczywiście skutecznie zapobiegały wybuchnięciu poważniejszych konfliktów zbrojnych, same jednakże takowe regularnie toczyły, przy mniej lub bardziej ochoczym wsparciu europejskich kontyngentów.

Pokój ma swoją cenę, a liberalna demokracja nie obroni się sama (zaprowadzić ją zatem, w razie potrzeby i dynamiki biegu dziejów, można po dobroci… lub siłą) – to w sumie najprostsze wytłumaczenie kolejnych przejawów wyparcia podczas trzech dekad neokońskich wojen, gdzie nadal można było się łudzić, że bierzemy udział w budowaniu najbardziej sprawiedliwego i trwałego porządku międzynarodowego w dziejach, wciąż skoncentrowanego na swobodach i prawach jednostki. Innymi słowy, mimo głosów krytyki zasadniczo dopuszczano ten paradoks, że po to, aby panował międzynarodowy ład i porządek, czuwający nad nimi światowy żandarm ma prawo raz po raz wskazywać i karcić niepokornych (Jugosławia, Irak, Afganistan, Libia i Syria – by wymienić tych najważniejszych), przy czynnym współudziale zachodnich demokracji wspierających niczym lennicy własnego suzerena, zapewniającego im skądinąd pewne bezpieczeństwo.

Tym właśnie było sedno tego porządku: międzynarodowy ład, którego kraje Zachodu były po zakończeniu zimnej wojny beneficjentami, w gruncie rzeczy nie był, w pierwszym rzędzie, wynikiem potencjału międzynarodowych instytucji i prawa, a pochodną realnej hegemonii Ameryki, która ład ten podtrzymywała. Można by wskazywać różne powody, dla których porządek ten kruszy się na naszych oczach (zewnętrzne i wewnętrzne); poniekąd łatwiejsze będzie to z perspektywy historycznej. Obecnie jednak przede wszystkim liczą się fakty związane z powrotem naturalnych mechanizmów wyważenia równowagi między światowymi potęgami: podważenie hegemonii Stanów Zjednoczonych jest faktem dokonanym na płaszczyźnie zarówno stricte geopolitycznej (zajęcie Krymu przez Rosję, a następnie inwazja Ukrainy celem utrzymania i odzyskania swego „naturalnego" buforu z rąk wpływów amerykańskich), jak i ekonomicznej (zaistnienie sojuszu gospodarczego BRICS, skupionego wokół Chin i Rosji, stopniowo podważającego dominację petrodolara). Ma się rozumieć, ruchy te, reagujące na amerykański prymat, nie dzieją się bez reakcji obronno-ofensywnych USA, czego świadkami jesteśmy czy to w Wenezueli, czy to w Iranie, gdzie najwyraźniej w pierwszej mierze chodzi o kwestię dostępu Chin do tanich paliw kopalnych.

ELASTYCZNE STOSOWANIE PRAWA

Angażujące dyskusje o pogwałceniu prawa międzynarodowego na kanwie kazusu wenezuelskiego tchną naiwnością w tym sensie, że samo prawo międzynarodowe ma znaczenie, o ile istnieją podmioty zdolne je konsekwentnie implementować. Innymi słowy, dla mocarstw, w praktyce, prawo międzynarodowe w dużej mierze jest i było przede wszystkim instrumentem zabezpieczenia swych interesów, kamuflowania swych narzędzi wpływu, miękkiej projekcji swej siły. Rdzeniem tegoż ładu jest przecież Rada Bezpieczeństwa ONZ, której stali członkowie, zwycięzcy w drugiej wojnie światowej – USA i Rosja, Wielka Brytania i Chiny oraz Francja – cieszą się przede wszystkim możliwością blokowania u źródła inicjatyw reszty społeczności międzynarodowej sankcjonujących ich własne postępowanie lub postępowanie ich kluczowych sojuszników. Jakkolwiek brzmi to praworządnie, to kraje z tej piątki są de facto ponad prawem międzynarodowym, z możliwością jego instrumentalizacji, niezależnie od tego, czy robią to otwarcie lub podstępnie, a układ ten zdublowany jest bezpiecznikiem w postaci posiadania własnej broni jądrowej, co w teorii zasadniczo wyklucza możliwość bezpośredniej konfrontacji między nimi.

Ma się rozumieć, samo prawo międzynarodowe, którego podstawą jest i powinno być ius gentium – główne konkluzje prawa naturalnego respektowane przez narody cywilizowane – jest, jako narzędzie koegzystencji na gruncie wspólnych fundamentów cywilizacyjnych, niezwykle pożądane. Jaka jest jednak obecnie realna podstawa dla

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

tegoż porozumienia metapolitycznego tam, gdzie jeden kraj optuje za kolektywizmem i oficjalnym ateizmem, inny nie potrafi doliczyć się płci w społeczeństwie, jeszcze inny traktuje istnienie zwierząt lepiej od życia ludzkiego, a tak naprawdę lwia część tych państw wypowiedziała wojnę normalności, zdrowemu rozsądkowi, tradycji i właśnie prawu naturalnemu, wykorzystując nawet instytucje międzynarodowe do ich unicestwienia? Unia Europejska, ze swym „duchem traktatów" wykraczającym poza ich literę, a zwłaszcza batem praworządności na opornych, już dawno powinna była nas przekonać o niezwykłej elastyczności stosowania prawa międzynarodowego wobec równych i równiejszych.

Nazywając rzeczy po imieniu, wspólnota państw zachodnich z pewnością nie jest dziś nobilitującym klubem dżentelmenów, jeśli kiedykolwiek nim była, gdzie obowiązuje niezmienny i powszechnie przyjęty regulamin, dominujący partykularne interesy narodowo-oligarchiczne. Pod wodzą Donalda Trumpa amerykański establishment (bo nie jest to jego osobisty pomysł) dokonuje uporządkowania swego położenia w realiach świata wielobiegunowego, maksymalizując swoją pozycję, szachując adwersarzy, przyjmując jednak do świadomości, że czas niekwestionowanej hegemonii dawno dobiegł końca. W okresie przejściowym, kiedy wykuwa się nowa równowaga, czekają nas zatem dalsze turbulencje i napięcia, których nie przezwyciężymy bynajmniej retoryką i polityką wymierzoną na leczenie naszych kompleksów: głośnym moralizatorstwem ani zdaniem się całkowicie na jednego z dostępnych panów feudalnych. Jest to tym bardziej istotne, że zmierzch globalizacji demoliberalnej nie oznacza koniecznie kresu politycznej globalizacji jako takiej. Wprawdzie jest to odrębny temat, niemniej trzeba tu zaznaczyć, że jeden ze schematów utworzenia jednolitego zarządu światowego oznacza najpierw radykalną konsolidację poszczególnych bloków regionalnych, a nie można wykluczyć, że taki m.in. będzie właśnie efekt obecnej rywalizacji mocarstw.

W STREFIE ZGNIOTU

Chcąc nie chcąc, nasze położenie geograficzne sytuuje nas na styku stref wpływu, bloków geopolitycznych, granic sojuszów militarnych – coś, co bez ogródek nazwalibyśmy naturalną strefą zgniotu. Położenie to ma jednakże, automatycznie, drugą stronę medalu: jesteśmy, geograficznie, naturalnym łącznikiem globalnych szlaków handlowych, pożądanym sojusznikiem, możliwym buforem, czymś, co równie dobrze można by nazwać potencjalną platformą, a zarazem równoważnikiem globalnych interesów. Nie ma gotowego planu, jak optymalnie wykorzystać czas wykuwania się w bólach kolejnego novus ordo seclorum, natomiast z góry wiadomo, co należy bezwzględnie wykluczyć. Po pierwsze, przy naszych uwarunkowaniach wspomniane już radykalne zdanie się na jedną ze stron w dobie ich antagonizmu jest zagraniem znacznie bardziej ryzykownym niż próba równoważenia wpływów wedle ich natury pożytku w naszym ogólnym bilansie potencjalnych zysków i strat. Po drugie, kwestia naszego myślenia w kategorii słuszności moralnych na gruncie stosunków międzynarodowych powinna być co najwyżej fasadą dla chłodnej kalkulacji interesów narodowych i postawy transakcyjności, gdzie wartością nadrzędną jest nasza własna suwerenność, nawet nie sama w sobie, ale jako czynnik potrzebny do utrzymania właściwego nam ładu cywilizacyjnego (należycie zdefiniowanego dobra wspólnego Polaków) i w konsekwencji sprawiedliwego rozwoju. Kto z góry apodyktycznie orzeka: musimy ustawić się z tamtymi przeciw tamtym, z góry źle stawia problem, podczas gdy w rzeczywistości brzmi on: co jest naszym kluczowym interesem oraz jaka potencjalna konfiguracja relacji międzynarodowych pozwala nam go najlepiej zrealizować. Innymi słowy: polityka zagraniczna powinna służyć realizacji polityki wewnętrznej, nie zaś na odwrót. Po trzecie, pomijając apokaliptyczny casus zagłady nuklearnej, w uzupełnieniu do poprzedniej kwestii trzeba dodać, że zagrożenia geopolityczne nie są największymi niebezpieczeństwami, z którymi boryka się nasz naród. Choć dla niektórych zabrzmi to obrazoburczo, to trzeba sobie uświadomić, że w hierarchii dóbr o wiele większym niebezpieczeństwem od – nie daj Boże! – utraty integralności terytorialnej czy nawet suwerenności (co przecież niestety zdarzało nam się w przeszłości) jest utrata poczucia wspólnoty i tożsamości narodowej, sensu istnienia niezależnego państwa, wspólnego obyczaju i porządku moralno-cywilizacyjnego zbudowanego na prawie naturalnym – te najwyższe dobra, bez których wszystko inne nie ma większego sensu, są dziś przecież najbardziej zagrożone, na skutek presji zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

Pod tym względem u postronnego obserwatora musi rodzić jak największe zdziwienie zajadliwość, z jaką Polacy potrafili skakać sobie do gardeł w kwestii postrzegania amerykańskiej akcji w Wenezueli czy jednoznacznej deklaracji Donalda Trumpa odnośnie do woli USA przyłączenia Grenlandii, podczas gdy nasze rodzime awantury o politykę międzynarodową nie tylko nie mają najmniejszego wpływu na jej przebieg, lecz także w ogóle przesłaniają nam rzeczywiście znacznie sensowniejsze dla nas spory. Mamy za sobą tysiącletnie dziedzictwo państwowo-kulturowe, a jakoś nie widać mas, które byłyby gotowe złożyć życie w obronie tworu zwanym III Rzecząpospolitą. „Cóż tam, panie, w polityce? Chińczyki trzymają się mocno?!" oraz pokrewne zagadnienia, to interesujące pytania zastępcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Z Larrym C. Johnsonem, amerykańskim komentatorem politycznym i byłym analitykiem CIA
rozmawia Michał Krupa

Geopolityczna gra o ropę, złoto i szlaki handlowe

MIKE KRUPA: Rząd USA uzasadnia podjęcie akcji wobec prezydenta Nicolása Maduro, powołując się na handel narkotykami i powiązania z grupami zbrojnymi. Na ile jest to wiarygodne?

LARRY C. JOHNSON: W dużej mierze to pretekst. Akt oskarżenia opiera się głównie na tzw. domniemaniu winy, wynikającym z relacji z innymi osobami – oskarżyciel twierdzi, że Maduro współpracował z FARC, ELN czy kartelem Sinaloa. Brakuje jednak na to konkretnych dowodów. Jako były analityk wywiadu mogę powiedzieć, że w takich sprawach potrzebne są szczegółowe daty, godziny i udokumentowane działania. Samo „powiązanie" z grupą to za mało.

Wątek narkotykowy jest jeszcze bardziej wątpliwy. Meksyk i Kolumbia pozostają zdecydowanie większymi źródłami kokainy i fentanylu trafiających do USA. Wenezuela jest daleko w tyle, a mimo to stała się pierwszym celem interwencji. To pokazuje, że działania nie dotyczą tak naprawdę narkotyków, lecz ropy, złota i kontroli gospodarczej. To klasyczny przykład sytuacji, w której narracja medialna odwraca uwagę od prawdziwych, strategicznych motywów.

To zgadza się z komentarzami dotyczącymi motywów administracji Trumpa. Pojawia się nawet porównanie do irackiego podejścia „zepsułeś – teraz odpowiadasz". Czy istnieje plan B dla Wenezueli czy mamy do czynienia z chaotyczną interwencją?

Nie ma jasnego planu. Operacja wygląda na pochopne działanie – niemal jak moment ogłoszenia „zakończenia misji" w Iraku. Wiceprezydent Rodríguez jest teraz u władzy, ale nie wiadomo, jak będzie rządzić. Maduro nadal ma swoich zwolenników, a społeczne napięcia rosną.

USA mogą próbować wykorzystać lokalnych graczy w kraju, ale Wenezuela jest ogromna, jej granice nie są szczelne, a kontrola na miejscu będzie bardzo trudna. Historia pokazuje, że takie interwencje rzadko przebiegają zgodnie z planem, a kosztowna niestabilność może ciągnąć się latami.

Ma pan szeroką wiedzę o operacjach CIA. Czy może pan krótko podsumować wysiłki USA na rzecz zmiany reżimów w Ameryce Łacińskiej?

USA mają długą historię w tym zakresie. W ostatnich dwóch dekadach próbowaliśmy wpływać na rządy w Wenezueli, Nikaragui, Boliwii, Hondurasie i Haiti. Wcześniej były interwencje w Panamie, Gwatemali, Chile i wielu innych krajach.

Podczas mojego ostatniego roku w CIA monitorowałem Amerykę Środkową, w tym Honduras. Widziałem, jak wywiad i operacje czasem się nakładały – często w celu wywołania sytuacji, które mogłyby uzasadnić interwencję wojskową. Schemat działania jest bardzo powtarzalny: destabilizacja, manipulacja kluczowymi postaciami i tworzenie pretekstu do działania. To klasyczny scenariusz działań USA w regionie, który przez dekady pozostaje niemal niezmienny.

A jak reagują na to Chiny i Rosja?

Obie strony są wściekłe. Chińczycy mieli urzędników w Caracas mniej niż dobę przed aresztowaniem Maduro. To pokazuje, jak nagle i nieprzewidywalnie przebiegała operacja. Rosja postrzega tę akcję jako jawne lekceważenie prawa międzynarodowego, co osłabia zaufanie do USA i stwarza niebezpieczne precedensy – zwłaszcza w kontekście Tajwanu i stabilności Eurazji.

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. ADOBE STOCK

Konsekwencje strategiczne są realne. Chiny i Rosja będą bardziej nieufne w przyszłych rozmowach dyplomatycznych, a to komplikuje prowadzenie globalnej polityki USA. Działania wobec Wenezueli mają zatem wpływ nie tylko lokalny, lecz także geopolityczny, w skali całego świata.

Wydarzenia w Iranie też zbiegają się z działaniami USA i spotkaniami Trumpa z Netanjahu. Jak Wenezuela wpisuje się w strategię Bliskiego Wschodu?

Aresztowanie Maduro nie jest działaniem izolowanym. Zapewnia USA dostęp do alternatywnych źródeł ropy, jeśli dostawy z Iranu lub Zatoki Perskiej zostaną przerwane – zwłaszcza w przypadku ataków izraelskich. USA dążą do kontroli nad światowymi rynkami ropy, a Wenezuela stanowi strategiczną rezerwę.

Operacje w Iranie, wspierane przez grupy proxy, takie jak MEK, pokazują podobny wzorzec: działania tajne, manipulacja mediami i wykorzystanie lokalnych napięć do osiągnięcia celów geopolitycznych. To nie przypadek – cały światowy plan jest częścią większej strategii kontroli energetycznej i wpływów politycznych.

A co z Rosją? Wielu naszych czytelników ciekawią pana ostatnie podróże tam. Jak pańskie doświadczenia kwestionują zachodnią narrację o tym kraju?

Rosja jest znacznie bardziej złożona, niż pokazuje Zachód. Moskwa i Petersburg są czyste, nowoczesne i bezpieczne. Ludzie wyrażają siebie w sposób, który może być zaskakujący dla odbiorcy zachodnich mediów. Spotkałem np. Viacheslava Fetisova, legendę rosyjskiego hokeja, który podkreślał pracę zespołową i wspólne osiągnięcia. Rozmawiałem też z członkami partii komunistycznej i innymi politykami. Silna tożsamość narodowa wykracza tu poza ideologię. Rosja skutecznie integruje różne grupy religijne – sunnitów, szyitów, chrześcijan różnych wyznań, buddystów i hindusów – w spójnym społeczeństwie. To doświadczenie pokazuje, że obraz „totalitarnej, represyjnej Rosji" jest mocno przesadzony i uproszczony.

To zupełnie inny obraz niż w zachodnich mediach. Jakie wnioski może z niego wyciągnąć Polska?

Polska patrzy na Rosję przez pryzmat historycznych krzywd, zwłaszcza z czasów Związku Sowieckiego. Jednak pamięć historyczna bywa selektywna – porównania działań sowieckich z ukraińskimi ruchami nacjonalistycznymi, jak Bandera, są często nierównomiernie przedstawiane.

Współczesna Rosja pokazuje, że narodowa odporność, odbudowa gospodarki i spójność społeczna są możliwe nawet po poważnych kryzysach. Polska może wyciągać wnioski z tych doświadczeń, nie tracąc suwerenności, i wykorzystać je do budowania własnej strategii bezpieczeństwa i rozwoju.

Jak ocenia pan politykę zagraniczną USA za prezydentury Donalda Trumpa?

Jest transakcyjna, oportunistyczna i często lekkomyślna. Interwencje takie jak w Wenezueli dotyczą głównie zasobów i wpływów, nie ideologii. USA priorytetowo traktuje kontrolę nad ropą i strategiczną przewagę, kosztem norm międzynarodowych. Kraje takie jak Rosja, Chiny i Iran dostrzegają te wzorce, co osłabia wiarygodność USA i zwiększa globalną niestabilność.

A co polscy czytelnicy powinni wynieść z tych wydarzeń?

Po pierwsze, uważnie podchodźcie do narracji Zachodu, zwłaszcza USA. Media często przywołują moralne uzasadnienia, prawa człowieka czy abstrakcyjne zasady, ale prawdziwe motywy są strategiczne lub gospodarcze. W Wenezueli oficjalnie mówi się o demokracji czy walce z korupcją, ale chodzi głównie o przejęcie kontroli nad ropą, o wpływy w regionie i przeciwdziałanie innym mocarstwom.

Po drugie, Rosja nie jest autorytarnym koszmarem, jak ją przedstawiają media. Ludzie żyją normalnie, miasta są bezpieczne, a klasa średnia funkcjonuje. Rosjanie myślą długoterminowo i kolektywnie, dbając o stabilność i wspólnotę, nie tylko o indywidualną wolność w zachodnim rozumieniu.

Po trzecie, historia ma znaczenie. Polska pamięć o Katyniu i innych tragediach jest emocjonalnie silna, ale warto ją osadzić w kontekście – inne grupy, jak siły Bandery, także popełniały zbrodnie, które bywają pomijane. Zrozumienie szerszego kontekstu pozwala lepiej interpretować współczesne wydarzenia i unikać uproszczonych wniosków.

Po czwarte, geopolityka jest napędzana strategicznymi i gospodarczymi interesami równie mocno, jeśli nie mocniej, niż ideologią czy moralnością. Interwencje w Ameryce Łacińskiej czy działania mocarstw globalnych rzadko dotyczą tylko zasad. Ropa, złoto, szlaki handlowe i wpływy są prawdziwymi dźwigniami władzy. Rozpoznanie tego pozwala patrzeć poza nagłówki i moralne ramy oraz zrozumieć, dlaczego pewne historie są przedstawiane w określony sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

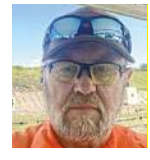

Larry C. Johnson *to amerykański komentator polityczny i były analityk CIA oraz Biura do spraw Przeciwdziałania Terroryzmowi w Departamencie Stanu USA, gdzie służył do początku lat 90. Współzałożyciel i prezes BERG Associates, LLC, firmy doradczej specjalizującej się w zarządzaniu ryzykiem, przeciwdziałaniu terroryzmowi i zagrożeniach finansowych.*

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Piotr Semka

Sposób, w jaki mówi się dziś w PiS o Zbigniewie Boguckim, oznacza bardzo znaczący awans tego polityka w partyjnej hierarchii. Czy to przyszły kandydat na premiera?

FOT. PRZEMYSŁAW KELER/KRRP

Na kłopoty Bogucki?

Prawo i Sprawiedliwość wchodzi w nowy 2026 r. w stosunkowo lepszych nastrojach niż jeszcze parę miesięcy temu. Pierwsza połowa ubiegłego roku była walką o prezydenturę Karola Nawrockiego z wyjątkowo – jak się okazało – dobrym efektem. Wtedy politycy największej partii opozycji poczuli się jak skazaniec, który uciekł spod gilotyny. Ale druga połowa roku nie była już tak różowa. Wygrana Nawrockiego nie przyczyniła się do wzrostu notowań partii Jarosława Kaczyńskiego, na prawo od PiS rozpoczął się marsz sondażowy w górę Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna, a partią zaczęły wstrząsać konflikty między frakcją Mateusza Morawieckiego a zróżnicowaną koalicją jego przeciwników.

Symbolem tego wewnętrznego rozedrgania były dwa spotkania opłatkowe, z których pierwsze zgromadziło wszystkich wokół Jarosława Kaczyńskiego, a drugie na zasadzie „liczenia szabel" urządził Mateusz Morawiecki. Te demonstracje byłego premiera nie przysłużyły się jego pozycji w partii. Podobnie jak list opublikowany w jego obronie 3 stycznia. Głosił on: „W końcu ubiegłego roku miała miejsce seria niegodnych i szkodliwych ataków wymierzonych w pana Mateusza Morawieckiego. Jest to zdarzenie o tyle szczególne, że w tych atakach sprzymierzyły się siły obozu rządowego konkurencyjnych partii politycznych, a także reprezentantów jego własnej partii. I o tyle szkodliwe, że jest to próba niszczenia polityka, który zdecydowanie wybija się ponad przeciętność w polskiej klasie politycznej rozumieniem gwałtownie zachodzących w świecie przemian, profesjonalizmem, wiedzą, doświadczeniem i patriotyczna postawą".

Mimo że list podpisały znaczące postacie prawej strony sceny intelektualnej, takie jak małżeństwo Gwiazdów, Adam Borowski, prof. Andrzej Nowak, Bronisław Wildstein, prof. Wojciech Roszkowski czy prof. Andrzej Zybertowicz, to list nie tylko nie wzmocnił pozycji Morawieckiego, lecz wręcz ją osłabił.

W tej sytuacji do uspokojenia nastrojów w partii przyczyniło się wyjazdowe posiedzenie parlamentarnego klubu PiS z 7 stycznia. Wiele osób, które wysłuchały programowego wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego, wskazuje na to, że lider wygłosił mowę, która kompleksowo załagodziła parę kwestii zapalnych w partii. Po pierwsze, było to bardzo wyraźne podkreślenie potrzeby spójności partii. Po drugie, Kaczyński bardzo wyraźnie wykluczył możliwość współpracy z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Naczelnik miał przestrzegać, że PiS nigdy nie wygra, ścigając się z Braunem na radykalizm. Natomiast zachęcił do tego, aby PiS jako partia „dużego namiotu" utrzymywała nadal różne skrzydła, nie rezygnując ze starań o przyciągnięcie znów do partii tych, którzy ulegli retoryce Brauna.

Także późniejsze wystąpienia układały się w logikę zasypywania podziałów. I w tym kontekście wystąpili na wyjazdowym spotkaniu kolejno: premier Mateusz Morawiecki, Przemysław Czarnek i była marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

To, że w tym gronie zabrakło kogokolwiek z dawnej Suwerennej Polski, wskazuje na trwałą dekoniunkturę frakcji Zbigniewa Ziobry w PiS. Ale w szerszym planie było to też pokazanie swojego miejsca obu najwyrazistszym politykom wymienianym jako możliwi przyszli premierzy – Mateuszowi Morawieckiemu i Przemysławowi Czarnkowi. I w tym kontekście zwraca uwagę wręcz wysyp dywagacji wśród polityków PiS o ewentualnym wytypowaniu Zbigniewa Boguckiego na kandydata na premiera.

ZDOLNIACHA ZE SZCZECINA

Byłoby to powtórzenie manewru z 2015 r., kiedy PiS wszedł do wyborów sejmowych z kandydaturą Beaty Szydło na przyszłego premiera. Wtedy okazało się to doskonałym manewrem. Szydło, która wówczas korzystała ze skojarzeń z niemiecką kanclerz Angelą Merkel, nie tylko połączyła elektorat tradycyjny z ludowym, lecz także nadała kampanii PiS wymiar uczciwości i troski o najsłabszych. Czy teraz podobny efekt może wywołać postawienie na Boguckiego?

To, że Zbigniew Bogucki został w zeszłym roku szefem Kancelarii Prezydenta Karola Nawrockiego, było efektem dość specyficznego splotu wypadków. Przez dużą część 2025 r. w sztabie kandydata z Gdańska panowało przekonanie, że funkcję tę obejmie Przemysław Czarnek. Ale polityk z Lublina wiedział, że przejście do Kancelarii Prezydenta wymaga zrzeczenia się mandatu poselskiego. A na to Czarnek, który notabene jest wiceprzewodniczącym PiS, nie miał ochoty. Szef kancelarii jest całkowicie podległy prezydentowi. Czarnek nie chciał wyzbywać się mandatu

eprasa.pl b6d7b4f1ea

poselskiego i ostatecznie do Kancelarii Prezydenta nie poszedł. Takich wahań nie miał za to Bogucki, który na dodatek bardzo dobrze współpracował z Nawrockim w kampanii prezydenckiej.

Jego ważnym atutem jest wiek. Bogucki, urodzony 26 stycznia 1980 r. w Górze na Dolnym Śląsku, skończy w tym miesiącu dopiero 45 lat. Polityk należy do generacji, która ledwo pamięta koniec PRL. Ten absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Szczecińskiego ukończył aplikację prokuratorską i przez pewien czas pełnił funkcję prokuratora. W PiS działa od 2012 r. W 2014 r. startował bezskutecznie do Rady Miasta Szczecina, ale już cztery lata później zdobył mandat radnego Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego.

Dwa lata później przydarza mu się polityczna szansa. Dotychczasowy wojewoda zachodniopomorski – Tomasz Hinc – obejmuje funkcję prezesa Grupy Azoty, więc zwolniony fotel przejmuje Bogucki. I bardzo dobrze wykorzystuje tę szansę. Po raz pierwszy daje się poznać mediom w trakcie słynnej afery wokół śniętych ryb w Odrze, kiedy to skutecznie odrzuca typową dla tamtych czasów medialną nagonkę, sugerującą, że to PiS dopuszcza do niszczenia przyrody. W tym czasie jeździ ze spotkania na spotkanie zawsze bardzo dobrze przygotowany. Szczecińscy dziennikarze żartowali, że jego rzecznik w tym czasie zamęcza ich aż paroma różnymi imprezami w ciągu jednego dnia.

W 2023 r. Bogucki wchodzi do Sejmu, a w lutym 2024 r. znajduje jeszcze czas i energię, startując na prezydenta Szczecina. Nie wygrał z „wiecznym" prezydentem Piotrem Krzystkiem, ale zdobył solidne drugie miejsce wśród czterech różnych kandydatów, uzyskując 27 proc. głosów. Jak na umiarkowanie propisowski Szczecin był to bardzo dobry wynik.

Już jako szef Kancelarii Prezydenta zdobył w szeregach PiS dobre notowania, broniąc prezydenckich wet w Sejmie w zderzeniu z samym Donaldem Tuskiem. Szczególnie sejmowy pojedynek z 17 grudnia ubiegłego roku był swoistym politycznym „chrztem ogniowym". „Na czyim łańcuchu pan wtedy był, kiedy nazywano pana ich człowiekiem w Warszawie?". Z tym pytaniem zwrócił się Bogucki do Tuska przed głosowaniem w sprawie odrzucenia prezydenckiego weta dotyczącego tzw. ustawy łańcuchowej. „I pan dzisiaj ma czelność do prezydenta Rzeczypospolitej, wybranego w wolnych demokratycznych wyborach – przez to, że przegraliście – mówić o podłości? Panie premierze, naprawdę są granice" – mówił Bogucki, zwracając się w kierunku loży rządowej.

Bogucki w tej samej sesji nieźle dał się we znaki nowo wybranemu marszałkowi Włodzimierzowi Czarzastemu. „Pan ostatnio powiedział: »Walka nie zakończy się tak długo, jak prezydentem będzie Nawrocki. Człowiek zbudowany z nacjonalistycznych obsesji«. Prezydent Nawrocki jest zbudowany na idei wolnej, suwerennej, niepodległej, dumnej Polski. A pan, panie marszałku, jest zbudowany na idei Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie ma pan prawa tak mówić do prezydenta" – mówił z trybuny sejmowej Zbigniew Bogucki.

KANDYDAT NA PREMIERA: ZA I PRZECIW

Rok 2026 to czas, w którym PiS musi podjąć decyzję na temat przyszłego kandydata na szefa rządu. W poprzednich wyborach do Sejmu w 2023 r. Morawiecki korzystał z domniemania, że będzie kontynuował swoją misję. Teraz szanse na to, by wystąpił w takiej roli, nie są zbyt duże. Dla obu Konfederacji jest symbolem nieudanych kompromisów z Ursulą von der Leyen, niedopracowanego pomysłu Polskiego Ładu czy dla antyszczepionkowców – symbolem ograniczeń covidowych.

Na tym tle Bogucki mógłby z jednej strony korzystać z prestiżu i popularności Karola Nawrockiego, a z drugiej strony być kandydatem na pewno strawnym dla Konfederacji Mentzena, a być może nawet i dla Brauna. Przede wszystkim jednak 45-letni Bogucki mógłby powtórzyć efekt Nawrockiego i spowodować, że PiS przestanie kojarzyć się z kastą działaczy typu Ryszard Terlecki czy Elżbieta Witek. A odmłodzenie elektoratu jest dla tej partii wręcz palące.

Pod koniec ubiegłego roku CBOS opublikował oparte na swoich badaniach portrety elektoratów głównych polskich partii politycznych. Z raportu wynika, że zarówno elektorat Koalicji Obywatelskiej, jak i PiS podlegają widocznemu starzeniu się. W obu największych elektoratach najliczniejszą grupę stanowią osoby 65+. Wśród wyborców PiS jest ich 40 proc., wśród wyborców KO – 35 proc. Emeryci i renciści stanowią aż połowę wyborców PiS i 40 proc. wyborców KO. Tymczasem wśród ogółu polskich wyborców osób 65+ to wciąż jest tylko 26 proc. Te dane tłumaczą, dlaczego młodsi wyborcy postrzegają partie głównego nurtu jako ugrupowania skupiające się na interesach seniorów i kierują się z jednej strony ku obu Konfederacjom, a w wypadku lewicy – ku Partii Razem Adriana Zandberga.

Jarosław Kaczyński kolejny raz staje przed eksperymentem. To, że Bogucki parę razy wypadł dobrze w sejmowych zmaganiach z Donaldem Tuskiem, nie daje jeszcze gwarancji, że stworzy wizerunek przebojowego przyszłego premiera. Na dodatek Bogucki musiałby w pewnym momencie zrezygnować z funkcji szefa kancelarii prezydenckiej, a nie jest powiedziane, że Karol Nawrocki chętnie pozbędzie się tak pracowitego i skutecznego współpracownika. Tak naprawdę nominacja na kandydata na premiera musi nastąpić najpóźniej w listopadzie – grudniu bieżącego roku. Kaczyński ma więc jeszcze przynajmniej pół roku na podjęcie decyzji.

Być może jest jednak tak, że plotki o premierostwie dla Boguckiego to jedynie element aktualnego rozładowywania konfliktu, który pośrednio wywołał Mateusz Morawiecki swoimi ostatnimi demonstracjami. Do tego partyjni cynicy wskazują, że Kaczyński będzie dawać do zrozumienia, że Bogucki jest w grze, ale ostatecznej decyzji nie podejmie jeszcze długo. Jak głoszą plotki krążące wśród polityków PiS, ten stan rzeczy nie zachwyca w najmniejszym stopniu samego Boguckiego, który nie chce, by jego kandydatura zbyt szybko się „spaliła".

Jeszcze inni przypominają, że formalnie Kaczyński w żadnej swojej wypowiedzi nie zasugerował, iż Bogucki mógłby być premierem. Wszystko zatem na razie jest tylko pochodną kuluarowych plotek. Nie zmienia to faktu, że sposób, w jaki mówi się dziś o Boguckim wśród polityków PiS, oznacza bardzo znaczący awans tego polityka w partyjnej hierarchii. Na pewno już zdystansował Przemysława Czarnka, a z kolei w porównaniu z Mateuszem Morawieckim jego atutami są znacznie młodszy wiek i brak negatywnej hipoteki politycznej z przeszłości. Pytanie: Czy w ciągu najbliższych 10 miesięcy „młody, zdolny" ze Szczecina wzmocni swoją pozycję czy też się na czymś potknie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

Jak obejść PiS i Brauna

Rafał A. Ziemkiewicz

Głośny krzyk zamiast rozwiązywania problemów, które się wskazuje, to wygodny sposób funkcjonowania w polityce. Ale taka „antysystemowość" skazuje na marginalizację

Notowania partii Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka – partii, bo tak jest Konfederacja powszechnie postrzegana, choć formalnie rzecz biorąc stanowi koalicję Nowej Nadziei i Ruchu Narodowego – ustabilizowały się, ale o kilka punktów procentowych niżej od wyborczego wyniku Mentzena i od poparcia społecznego, którym ugrupowanie cieszyło się w swoich najlepszych czasach. Na razie nie jest to oczywiście wielki problem, nikt nie spodziewa się przyśpieszonych wyborów. Polityczni przeciwnicy uparcie rozsiewają plotki o wewnętrznym skłóceniu formacji, często mówiąc wręcz, jako o czymś rzekomo oczywistym, o „Konfederacji Mentzena" i „Konfederacji Bosaka" jako o dwóch osobnych partiach. Nie ma jednak żadnych konkretnych wydarzeń ani wypowiedzi, które pozwalałyby w tym widzieć cokolwiek więcej niż plotki i insynuacje – więc to także nie jest dla ugrupowania wielkim problemem. Większym jest niezrozumiałe dla wyborców ograniczenie aktywności przez Sławomira Mentzena, który po sukcesie w wyborach prezydenckich w ostatnich miesiącach prawie zniknął z życia publicznego. Zrozumiałe jest, polityk zresztą tego nie ukrywał, że po ostrej kampanii wyborczej był po prostu zmęczony i potrzebował odpoczynku, ale minęło już przecież od niej pół roku. Krzysztof Bosak, choć swoimi wystąpieniami podtrzymuje opinię najbardziej merytorycznego i najlepiej przygotowanego polskiego polityka, nie przyciąga aż tak bardzo uwagi – zapewne zresztą właśnie dlatego, że mówi mądrze, zamiast wpisywać się w nieustające szarpanie emocjami i wymianę obelg.

Nieobecność Mentzena jednak nie jest największym problemem Konfederacji. Z jednej strony, otwiera miejsce dla pokazywania innych liderów – szczególnie cennym aktywem wydają się tu panie, Anna Bryłka i Ewa Zajączkowska-Hernik. Z drugiej, Mentzen wciąż zachowuje się w sferze publicznej niezręcznie, jakby nie umiał wyobrazić sobie, w jaki sposób jego działania mogą być odebrane. Na przykład fakt, że zmonetyzował swój udział w wyborach na kwotę 350 tys. zł, bo tyle – jak się pochwalił – zarobił na YouTube na rozmowach z Rafałem Trzaskowskim i Karolem Nawrockim – mógłby przyciągać do niego wyborców w USA, ale w Polsce wciąż dominuje oczekiwanie (nieważne, co o tym sądzimy – tak po prostu jest i trzeba się z tym liczyć), żeby polityk był skromny, traktował swą działalność jako służbę publiczną i raczej do niej dokładał, niż zarabiał, a przynajmniej żeby tak udawał. Nie przysłużyło się dobrze Konfederacji, gdy Mentzen dał się Jarosławowi Kaczyńskiemu sprowokować do wymiany inwektyw. Najbardziej zaś zaszkodziło „piwo z Sikorskim", które, niestety, zapisało się trwale w pamięci wyborców.

I tu właśnie dotykamy jednego z głównych problemów formacji, której przez nikogo nieprzewidywany wzrost tyle namieszał w polskiej polityce. Wobec nieustannego stabilnego wzrostu notowań Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna partia Mentzena i Bosaka nagle znalazła się w takiej samej sytuacji, w jakiej sama postawiła rok temu Prawo i Sprawiedliwość, obchodząc je od strony, z której – wedle starej zasady Kaczyńskiego – miała być tylko ściana. I tak samo jak wtedy PiS, nie umie się w takiej sytuacji znaleźć.

WYROKI DZIENNIKARSKICH AUTORYTETÓW

Możliwe zresztą, że politycy Konfederacji jeszcze nie zauważyli, co się stało. Otóż: przestali być partią antysystemową. Nieważne, że sami nadal się za takich uważają. W optyce przyjmowanej przez wyborców nie ma miejsca na dwie znaczące partie „antysystemu", a Braun zwyczajnie formację, z której rok temu go wyrzucono, względnie sam z niej odszedł (wersje obu stron były i pozostały sprzeczne), w antysystemowości przelicytował. Z jednej strony, Mentzen wspólnie z Rafałem Trzaskowskim i Radosławem Sikorskim spożył alkohol, co jest w polskiej kulturze głęboko zakorzenionym znakiem pobratania się, a inni działacze zmuszeni są wymogami gry z PiS nie wykluczać w przyszłości współpracy czy koalicji z obozem Donalda Tuska bądź jakąś jego częścią, a o przyszłej koalicji z PiS wszyscy mówią jako o oczywistej. Z drugiej, przeciwko Braunowi odpalił establishment wszystkie możliwe

eprasa.pl b6d7b4f1ea

armaty, włącznie z wygrażaniem mu więzieniem i delegalizacją partii. Trudno o lepsze uwiarygodnienie go w oczach wyborców, którzy mają jednakowo dość i rządów Tuska, i braku sprawczości jego głównych przeciwników.

Można być pewnym, że ta sytuacja się nie zmieni. Tusk świadomie nastawił całą swoją politykę i propagandę na straszenie Braunem i dla obu jest to sytuacja win-win. Gra w „straszenie faszystą" jest równie stara jak III RP. Lewicowo-liberalny establishment już u samego zarania, podczas „wojny na górze", straszył „małym Mussolinim" Lechem Wałęsą, „katolickimi ajatollahami" ze Stefanem Niesiołowskim na czele, „chamem i bandytą" Andrzejem Lepperem, „nacjonalistą" Romanem Giertychem… Za każdym razem „faszysta", którym straszono, w końcu dochodził do władzy i nie tylko nie zaprowadzał w Polsce faszyzmu, lecz także okazywał się politykiem dla salonów akceptowalnym, a nawet z nimi zblatowanym (pamiętam, jak przez krótki czas przymierzały się one do antypisowskiej koalicji z Lepperem i z dnia na dzień takie dziennikarskie autorytety, jak Jacek Żakowski czy nieżyjąca już Janina Paradowska, ogłaszały, że wczorajszy cham zbuntowany okazał się zaskakująco dobrym ministrem, poważnym politykiem i w ogóle wartościowym człowiekiem). Na zdrowy rozum wydawałoby się, że powinno to dać efekt opisany w starej bajce o pasterzu, który po kilkukrotnych fałszywych alarmach zginął, bo gdy wilki przyszły naprawdę, nikt na jego krzyki nie zwracał uwagi. Ale z jakiegoś powodu mechanizm wciąż działa, choć w sposób odwrotny, niż by establishment chciał. Najwyraźniej zapowiedź, że ten a ten, jak przyjdzie do władzy, to wszystko – a przynajmniej salony – rozpirzy w drobny mak i weźmie za pysk, lud traktuje nie jako grozę, ale jako obietnicę spełnienia jego marzeń, nigdy wprawdzie dotąd niespełnioną, ale z tych, w które po prostu chce się wierzyć.

Jakakolwiek jest przyczyna, skupienie całej furii tego, co określane jest poręcznym, choć nieprecyzyjnym pojęciem „systemu", na Braunie czyni go wyborem tych, którzy chcą, „żeby ktoś im wreszcie pokazał". Dzieje się to przede wszystkim ze szkodą dla PiS, z którego elektoratu czerpie Braun najwięcej, ale traci na tym również Konfederacja, i to nie tylko ze wspomnianej wyżej przyczyny wizerunkowego wepchnięcia jej do politycznego centrum i do „systemu". Wzrost Brauna położył też kres, przynajmniej na razie, dotychczasowej strategii politycznej partii. Konfederaci upatrywali swój przyszły elektorat w rozczarowanych wyborcach PiS, na nich zamierzali wyrosnąć. Tymczasem ci, owszem, odpływają z PiS, ale w inną stronę. Nie przewidział tego, nawiasem mówiąc, także Jarosław Kaczyński – on również oparł swe plany na przekonaniu, że do Brauna, na którym ciąży oskarżenie o prorosyjskość, jego wyborcy na pewno nie pójdą i skupił się na szarpaniu Konfederacji.

Formacja Mentzena i Bosaka wkroczyła w dorosłość. Nadszedł czas przełożenia liberalno-narodowej tożsamości Konfederacji na konkrety

Czy Konfederacja może zacząć się licytować na radykalne hasła z Braunem? Owszem, ale odradzałbym jej to. Na razie Braun rośnie wyłącznie na emocjach. Najbardziej chyba na emocji antyukraińskiej – po czterech latach deklarowana życzliwość Polaków do ofiar rosyjskiej agresji zmalała z ponad 90 do poniżej 50 proc. Także na emocji antyżydowskiej – w Polsce, wbrew licznym oskarżeniom, w zasadzie nie ma antysemityzmu w ścisłym sensie i nigdy politycy odwołujący się do niego nie zdołali wyjść z marginesu, ale emocje antyżydowskie w ostatnich latach narosły ze względu na ludobójstwo w Gazie i towarzyszącą mu obłudę świata oraz roszczenia żydowskich organizacji wymuszających haracze za Holokaust i powiązane z nimi zakłamywanie historii, co Polacy oceniają jako równie bezczelne, jak przerzucanie na nas przez Ukraińców odpowiedzialności za rzezie wołyńskie.

Emocje nie są racjonalne, więc jeśli ktoś już zdołał się w nie wpisać, to trudno mu to odebrać czy przelicytować, zwłaszcza gdy ma się już urobiony wizerunek. Ale nie są także trwałe. Wiele przykładów pokazało, że siły, które właśnie z racji skutecznego wpisania się w społeczne emocje często wskazywane są w sondażach, gdy do wyborów daleko, krótko przed nimi gwałtownie tracą poparcie – sama Konfederacja doświadczyła tego przecież w roku 2023. Gdy wybory przestają być abstrakcją, emocje ustępują bowiem miejsca myśleniu praktycznemu: Co wyniknie z mojego głosowania na tych lub tamtych? Co oni realnie zrobią w parlamencie czy rządzie i jak to wpłynie na moje życie?

OSWOIĆ STRACH PRZED POLEXITEM

Partii „antysystemowej" wystarczy głośno protestować. To wygodny sposób funkcjonowania w polityce – nie trzeba wymyślać żadnych realnych, wiarygodnych sposobów wcielania w życie głoszonych idei ani rozwiązywania problemów, które się wskazuje. Ale taka „antysystemowość" skazuje na marginalizację.

Konfederacja, na swoje szczęście albo nieszczęście, partią „antysystemową" być przestała. To równie nieuchronne, jak wejście w dorosłość – i wiążące się z nią, decydujące o dalszym życiu egzaminy. Dla Konfederacji takim egzaminem będzie przełożenie jej liberalno-narodowej tożsamości na konkrety. Nie chodzi mi tu o fetyszyzowane w polskiej polityce „programy", rozumiane jako listy szczegółowych obietnic, których i tak się potem nie realizuje, „bo koalicjant" albo „bo weto prezydenta". Chodzi o wiarygodną opowieść, o wizję zmiany, przyszłości, w którą wyborcy mogą uwierzyć.

Nie wystarczy już krytykować UE, choćby najsłuszniej, i mówić „polexit". Trzeba ten polexit opowiedzieć, ukonkretnić, przede wszystkim – pomóc wyborcom oswoić strach, jaki zawsze wiąże się z decyzją odejścia od status quo, szczególnie w tak ważnej sprawie. Trzeba Polakom w sposób dla nich wiarygodny, realistyczny pokazać, jak może to wyglądać, jaką drogą pójdzie Polska, i przekonać ich, że ma odpowiednie do tego siły i zasoby.

Kto zdoła to zrobić – wygra. Wydaje mi się, że Konfederacja ma większe szanse podołać temu zadaniu niż PiS i Konfederacja Korony Polskiej, ale – czas to pokaże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Aktywność Donalda Tuska w mediach społecznościowych

FOT. INSTAGRAM.COM/DONALDTUSK, X.COM/DONALDTUSK, FACEBOOK.COM/DONALDTUSK

Infantylizacja polityki

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Premier jedzący żurek, premier wystukujący kolędę na keyboardzie, premier oglądający „Gwiezdne wojny". Donald Tusk zmierza w kierunku stania się politycznym memem. Co chce osiągnąć?

Jeeest, jeeest!" – krzyczał rozradowany premier Donald Tusk, oglądając tenisowy mecz z udziałem Polaków, z niewiadomego powodu, na podłodze (telewizor również ustawiono na panelach). Ekscytacja polityka związana ze zwycięstwem naszych zawodników była ogromna. „Zawieje i zamiecie śnieżne i polityczne, a tu taka radość! Iga, Kasia, Hubi i Janek. Superteam" – cieszył się lider KO. W czasie, gdy Tusk śledził zmagania w ramach turnieju United Cup, polscy rolnicy załamywali ręce po szybkiej i uznawanej przez wielu za łamiącą zasady procedurze przyjęcia umowy z Mercosur. „Dlaczego wy to sobie robicie?", „Jak zwykle przed TV, a nie w pracy", „Ocieplanie wizerunku za pośrednictwem polskich sportowców. Nowe, nie znałem" – komentowali internauci. Tusk wie, że w kraju dzieje się dużo i źle, więc świadomie, co sam w końcu przyznaje, przykrywa problemy polityczne sprawami lżejszymi. To typowy dla tego polityka modus operandi.

Gdyby ktoś, nie znając w ogóle Donalda Tuska, przejrzał jego media społecznościowe, mógłby mieć poważny problem z określeniem roli, jaką odgrywa polityk w polskim systemie. „Grać też każdy może…" – tak lider KO opisał krótkie nagranie opublikowane w serwisie X trzy dni przed Wigilią. Tusk, w świątecznym szaliku, siedzący na tle choinki, dosłownie wystukiwał na keyboardzie kolędę „Lulajże, Jezuniu" i mówił do kamery: „Dzieci prosiły, żebym nie śpiewał, tylko żebym coś zagrał i żeby to nie było »Wśród nocnej ciszy«. No to ćwiczę przed Wigilią". I znowu ruszyła fala krytyki ze strony opozycji i zwykłych użytkowników serwisu. „Może jest pan wspaniałym dziadkiem i czas się temu poświęcić? Bo premierem jest pan najgorszym w historii" – ocenił poseł PiS Jan Kanthak. Z kolei działacz stowarzyszenia TAK dla CPK Adam Czarnecki zauważył (odnosząc się do niejasnych wypowiedzi premiera w sprawie wielomilionowej pożyczki dla Ukrainy): „No cóż, patrząc po ostatniej Pana plątaninie w Brukseli i zadziwiającym wręcz pogubieniu, nie dziwi, że wrócił Pan do nagrywania bezpiecznych (i infantylnych) filmików na TikToka. Wesołych Świąt, Panie Premierze. I dużo szczęścia dla Polski". Kilka dni wcześniej Tusk chwalił się spotkaniem z „prawdziwym św. Mikołajem" podczas wizyty w Finlandii. „Musicie napisać listy, kto nie zdążył jeszcze. Na pewno coś dostaniecie" – powiedział premier. Z kolei na początku grudnia polityk na fali zainteresowania kolejnym sezonem serialu „Stranger Things" próbował „podpiąć się" pod panującą również nad Wisłą modę. Opublikował w mediach społecznościowych filmik, w którym zwrócił się do aktorów. „Zobaczcie, co gwiazdy serialu »Stranger Things« mówią o Polsce

eprasa.pl b6d7b4f1ea

– zaczął Tusk, po czym pokazał urywki wypowiedzi Finna Wolfharda i Gatena Matarazzo. Na koniec lider KO zaprosił młode gwiazdy do naszego kraju: „Tak, Gdańsk jest przepiękny, wiem coś o tym. Ale wiecie, gdzie się nie spojrzy – Polska wszędzie zachwyca i widzi to cały świat. Drodzy bohaterowie Hawkins, jak tylko pokonacie Demogorgona i Vecnę, zapraszam was do Polski" – zakończył. „Pochodzili sobie aktorzy »Stranger Things« uliczkami Gdańska pełnymi mieszkań pod spekulację i airbnb – podobało im się. Naszemu premierowi to wszystko też się podoba. I patrzcie, i cieszcie się, i bądźcie ZADOWOLENI" – kpiła działaczka partii Razem Zofia Malisz.

NIENATURALNY ENTOURAGE

Gdy w listopadzie Polacy ruszyli na grzybobrania, premier nie mógł sobie odmówić kolejnej publikacji. W garniturze, z wiklinowym koszem, raczej gdzieś w ogródku niż w lesie, udawał, że jest na grzybach. „Wiecie, że polska gospodarka rośnie, o, właśnie, szybciej niż grzyby po deszczu?" – pytał, jednocześnie podnosząc grzyba z ziemi. „Trzy razy szybciej niż angielska. Cztery razy szybciej niż francuska. Dziewięć razy szybciej niż włoska i 12 razy szybciej niż niemiecka. A wiecie dlaczego? Bo robimy, nie gadamy" – chwalił się szef rządu. „To się nie dzieje. I znowu te zachwyty nad »wzrostem PKB«, a ludzie lądują na bruku" – wytknęła była premier Beata Szydło. Odpowiedzią na film Tuska, która uzyskała najwięcej polubień – 6 tys. – była ta dziennikarki Agaty Puścikowskiej: „Podgrzybki nie rosną pod cisem pospolitym. W zasadzie nic nie rośnie pod cisem pospolitym. Bo jest trujący". Nagranie polityka polubiło 5 tys. osób.

Zanim było grzybobranie, Donald Tusk pozował na kinomana. Znowu w dość nienaturalnym enourage'u, bo na fotelu ustawiony pośrodku pustego pomieszczenia, najprawdopodobniej w KPRM, premier siedział z miską popcornu i udawał, że ogląda film. „Zaczyna się!" – ogłaszał, a na ekranie telewizora widać było czołówkę „Gwiezdnych wojen". „Napisał do mnie Michał z liceum filmowego z pytaniem o mój ulubiony film. To oczywiste – »Gwiezdne wojny«. A która część? No wiadomo, »Powrót Jedi«. Niech moc będzie z wami!" – powiedział. „Imperium kontratakuje. Chwilowo" – skomentował poseł PiS Paweł Szrot. „Polecam serial »Heweliusz«. Choć metafora nie jest idealna, bo tam statek był do bani, a kapitan zrobił, co się dało. A tu statek jest dobry, tylko źle prowadzony" – zauważył z kolei Marek Wróbel, prezes Fundacji Republikańskiej.

Jednak nagraniem, które w ostatnich miesiącach zyskało najwięcej rozgłosu, było to z Tuskiem jedzącym żurek. Oczywiście z typowym dla polskiego premiera politycznym podtekstem i szpilą w kierunku opozycji. „Niezły ten żurek, co? I będzie jeszcze drugie danie, i deser" – zwraca się do odbiorców, puszczając na końcu oko. Na post premiera zareagował szef Ministerstwa Sprawiedliwości. „Smacznego!" – napisał Waldemar Żurek. Dzień wcześniej prokuratura złożyła wniosek o uchylenie immunitetu byłemu ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze wraz z wnioskiem o tymczasowy areszt dla posła PiS. Trwające siedem sekund wideo wywołało burzę. „Premier dużego kraju w środkowej Europie. Tu dotarliśmy. Ech…", „Straszna wiocha ten PR, ale Wilanów na pewno zachwycony", „Akurat ten Żurek to raczej skończy jak Bążurek" – komentowali internauci. Choć komentarzy krytycznych było więcej, to niektórym taki styl uprawiania polityki bardzo się podoba. „Wyśmienity. Czekamy na więcej" – stwierdziła jedna z komentujących, a ktoś inny napisał: „Doskonały! Zdecydowanie najlepsze danie, jakie nam Pan zaserwował po 15 października roku pamiętnego".

Zdaniem dr. Sergiusza Trzeciaka, eksperta do spraw wizerunku, tematy rodzinne to najskuteczniejszy sposób na ocieplenie wizerunku

TARGETOWANIE GENERACJI Z

Internetowa strategia polskiego premiera może zastanawiać. Wyraźnie zależy mu na antagonizowaniu i podsycaniu emocji. Dlaczego? – Obecnie w mediach społecznościowych największą miarą skuteczności jest zdobywanie zasięgu – mówi „Do Rzeczy" dr Sergiusz Trzeciak, ekspert do spraw wizerunku, autor wielu książek m.in. „Drzewo kampanii wyborczej 2.0, czyli jak wygrać wybory". Następnie rozwija swoją myśl: – Nałożyłbym na to filtr, polegający na tym, że jeżeli porównuje się wpis Donalda Tuska jako premiera z innymi premierami czy głowami państw, to tu Tusk zajmuje się tematami błahymi. Wpisy premiera są podporządkowane zdobywaniu zasięgów, i to jest skuteczne, natomiast Donald Tusk nie buduje sobie pozycji męża stanu. Dużo więcej jest u niego tematów memicznych, viralowych, kontrowersyjnych. To także szpilki wbijane opozycji. Internet to lubi. Preferują to algorytmy mediów społecznościowych.

Według Trzeciaka Tuskowi nie zależy na kreowaniu się w oczach Polaków na męża stanu. – Stara się raczej dotrzeć do młodszych wyborców, co jest dużym wyzwaniem z perspektywy premiera. Podział PO-PiS, wojna między dwoma partiami dla młodego pokolenia nie są do końca zrozumiałe, a treści lekkie i łatwe trafiają do młodych. Tusk chce wyjść poza bańkę i dotrzeć do tych, którzy nie interesują się polityką. Wpisy premiera są często bardzo infantylne. Premier uprawia „emocjonalny storytelling" – użycie humoru, ironii, sarkazmu. Widzę tutaj chęć targetowania generacji Z – zauważa ekspert. Wyraźnie lider KO nie zraża się setkami krytycznych komentarzy, które publikują przecież nie tylko politycy opozycji, lecz także wyborcy. – Politycy dziś nie przejmują się jedną czy drugą wtopą w sieci. Zdarzyła się i idzie się dalej. Faktycznie, premier zaliczył kilka wpadek, ale gdy spojrzymy na liczby, to jest w czołówce, jeżeli chodzi o zasięgi, obok Romana Giertycha i Radosława Sikorskiego; po drugiej stronie są Dariusz Matecki i Sławomir Mentzen – mówi rozmówca „Do Rzeczy". Doktor Trzeciak dodaje, że premier chętnie nawiązuje też do tematów rodzinnych, bo to najskuteczniejszy sposób na ocieplenie wizerunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Z Jerzym Kwaśniewskim, adwokatem, prezesem zarządu Fundacji Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie zdejmę krzyża

RYSZARD GROMADZKI: Czy profanacja krzyża, której dopuściła się nauczycielka języka angielskiego w szkole podstawowej w Kielnie, miała bezprecedensowy charakter? Nie przypominam sobie aktu tak agresywnej chrystianofobii w polskich szkołach.

MEC. JERZY KWAŚNIEWSKI: W mojej ocenie na pierwszym planie trzeba postawić akt bezprecedensowego męstwa ze strony uczniów szkoły w Kielnie, którzy bezkompromisowo wystąpili w obronie krzyża. To wzbudza mój podziw, chociaż sama młodzież uznała to chyba za gest bardzo naturalny. Tym bardziej to ważne, że mamy do czynienia z narastającą falą chrystianofobii i rządem, który usuwa religię z przestrzeni szkoły.

Kto wie, w ilu jeszcze szkołach w Polsce ilu jeszcze podobnych nauczycieli czuje się ośmielonych przez władzę do równie agresywnych wybryków w postaci zdejmowania krzyży, znieważania wiary czy sekowania uczniów, którzy są przywiązani do swojej katolickiej tożsamości i wiary. Uczniowie szkoły w Kielnie na to zareagowali.

Ich postawa może być odczytana jako znak nadziei...

Zdecydowanie tak. To jest znak nadziei. Ale jest to także inspiracja. Ich postawa może być inspiracją nie tylko dla innych uczniów w Polsce, lecz także dorosłych. W młodym pokoleniu widać wyraźnie opór wobec ideologicznej agresji w szkole.

Wersja wydarzeń, którą przedstawia anglistka ze szkoły w Kielnie, ma choć cząstkowe oparcie w rzeczywistości?

Jej wersja jest wewnętrznie bardzo głęboko sprzeczna. Raz twierdzi, że wystąpiła w obronie krzyża, który rzekomo miał być rzucany między uczniami i powieszony przy klatce z chomikiem. Ale skoro broniła krzyża to dlaczego wrzuciła go do kubła na śmieci?

W drugiej wersji zdarzeń przedstawianych przez nauczycielkę pojawia się określenie „przedmiot w kształcie krzyża", co miałoby rzekomo odebrać mu rangę symbolu religijnego, np. dlatego, że nie był poświęcony. Oczywiście są to całkowicie absurdalne argumenty. Wyobraźmy sobie, że gdzieś w Polsce ktoś tłumaczyłby swój antysemicki wyskok tym, że przedmiotem ataku był tylko „przedmiot w kształcie gwiazdy Dawida".

FOT. ORDO IURIS

Mielibyśmy globalną burzę...

Bez wątpienia. Samo posłużenie się takim pojęciem zostałoby uznane za akt antysemicki. Natomiast w sprawie, o której rozmawiamy, samo zastosowanie określenia „przedmiot w kształcie krzyża" w odniesieniu do krzyża przyniesionego przez uczniów, choćby był prostym i plastikowym krzyżem, jest aktem pogardy wobec uczniów i wiary.

Czy osoba, która nie ma skrupułów, żeby najświętszy symbol chrześcijaństwa, którym jest krzyż, wyrzucić do kubła na śmieci, powinna pracować w szkole?

Szkoła powinna być przestrzenią, która uczy uczniów podejmowania decyzji, stwarza warunki do podejmowania dobrych decyzji. Jeżeli uczniowie wyrażają swoją wiarę, korzystając z zagwarantowanych prawem możliwości, w tym z możliwości powieszenia krzyża w klasie, a spotykają się z reakcją pełną nienawiści, zanegowania ich tożsamości, ich wiary i demonstracją nienawiści w postaci wyrzucenia symbolu ich wiary do kosza na śmieci, to z całą pewnością nauczyciel przekroczył zasady etyki zawodowej.

Wskazujemy, że w tej sprawie mamy trzy obszary naruszeń. Po pierwsze, mamy naruszenie prawa karnego przez publiczne

epresa.pl b6d7b41ea

znieważenie przedmiotu czci religijnej. Po drugie, naruszenie zasad etyki zawodowej, które powinno prowadzić do postępowania dyscyplinarnego. Po trzecie, naruszenie dóbr osobistych tych uczniów, co z kolei rodzi roszczenia cywilne. Ale podkreślamy jedną rzecz, to wszystko nie jest najważniejsze. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że w tej sprawie szkoła przez prawie trzy tygodnie milczała, nie zapewniając uczniom poczucia przywrócenia ładu, nie przedstawiając żadnych propozycji, nie nazywając zła, które się wydarzyło, złem, a dobra dobrem, pozostawiając uczniów w jakiejś przestrzeni niedomówień. A przecież rolą szkoły, w której dochodzi do poważnego nadużycia, również w postaci agresji antychrześcijańskiej, jest przywrócenie poczucia bezpieczeństwa, czyli doprowadzenie do przeprosin, choćby symbolicznego zadośćuczynienia, w sposób umożliwiający realizację misji wychowawczej. Właśnie o tym rozmawialiśmy z dyrekcją szkoły w Kielnie.

Dyrekcja szkoły w tej sytuacji ewidentnie nie stanęła na wysokości zadania. Zdumiewa też bierność rady rodziców szkoły w Kielnie.

Mamy nadzieję, że również po stronie rady rodziców szkoły będzie jakaś pozytywna reakcja. Szkoła, choć teraz już zmotywowana z zewnątrz, powinna tę sprawę rozwiązać we własnej wspólnocie i naprawić całą sytuację, wówczas pozostanie tylko już kwestia rozliczenia nauczyciela, który doprowadził do nadużyć. Ale – raz jeszcze podkreślam – nie to jest najważniejsze.

Stroną w sprawie jest także organ prowadzący szkołę, czyli lokalny samorząd. Tu też zabrakło właściwej reakcji.

Pamiętajmy, że to wójt Kielna zawiadomił prokuraturę o czynie nauczycielki. To również lokalny samorząd sprzyjał ekspresji religijności uczniów i realizował prośby rodziców o zawieszenie krzyży w nowych salach lekcyjnych, kiedy szkoła w Kielnie była rozbudowywana. Na prośbę rodziców zakup krzyży sfinansowało sołectwo. Do pewnego momentu nie było więc tam problemu. Pomiędzy władzą samorządową, organem prowadzącym, rodzicami a szkołą panowały absolutny spokój i dobre relacje. Element konfliktu został wprowadzony przez nauczycielkę, która nie mogła znieść obecności krzyża w klasie i na każdej lekcji go zdejmowała. Być może reakcja samorządu była zbyt późna, ale dobrze, że nastąpiła.

Czy uczniowie, którzy wystąpili w obronie krzyża, spotkali się z jakąś presją ze strony szkoły?

Nic na to nie wskazuje. W sprawie panowało milczenie. Jednak milczenie, które następuje po akcie agresji, jest samo w sobie presją i psychicznym obciążeniem. Ofiara powinna liczyć na to, że dorośli odpowiedzialni za daną wspólnotę zareagują. Takiej reakcji nie było. Co więcej, była ona spychana na później, bo kiedy rodzice chcieli spotkać się w tej bulwersującej sprawie z dyrekcją szkoły, zaproponowano im termin spotkania dopiero na 8 stycznia. Można by powiedzieć, że łatwiej o audiencję u prezydenta czy prymasa niż spotkanie z panią dyrektor szkoły w Kielnie. Gdyby reakcja nastąpiła wcześniej, gdyby dyrektor szkoły zdecydowała się wcześniej porozmawiać z rodzicami, być może nie doszłoby do społecznych napięć, może my nie dowiedzielibyśmy się o całej sprawie, bo udałoby się ją szybko i pozytywnie załatwić.

Spotkanie dyrekcji szkoły z rodzicami i reprezentującymi część z nich prawnikami Ordo Iuris miało konstruktywny charakter?

Rozmowy cały czas trwają. Ze strony szkoły mamy deklarację, że szkoła jako taka niechętnie przepraszałaby za to zajście, dlatego że osobą, która dopuściła się profanacji krzyża, jest wyłącznie nauczycielka języka angielskiego. My jednak mamy nadzieję, że po pierwsze, ze strony szkoły doszłoby do takich przeprosin, po drugie, nauczyciele tej szkoły przeszliby choćby drobne przeszkolenie dotyczące tego, w jaki sposób dbać o szacunek dla wiary swoich uczniów. Myślę, że konieczne byłoby też zapewnienie, iż tego rodzaju sytuacja więcej się nie powtórzy. Dla prawnika jest oczywiste, że pracodawca odpowiada za działania swoich pracowników, w szczególności wobec małoletnich.

Czy reakcja, którą zajęła w sprawie zdarzenia w szkole w Kielnie minister edukacji narodowej Barbara Nowacka, była właściwa? Początkowo oświadczyła ona, że zachowanie nauczycielki było „nie do przyjęcia", później oskarżyła Episkopat i środowiska prawicowe o niepotrzebne rozdmuchanie sprawy dla celów politycznych, zamiast pozwolić na jej spokojne wyjaśnienie.

Pierwsza reakcja minister Nowackiej była bardzo ważna, bo oznaczała, że nawet osoba, której nie można podejrzewać o życzliwość wobec obecności religii i wiary w szkole, uznaje, że zachowanie nauczycielki było oczywistym naruszeniem elementarnych zasad kultury osobistej i etyki zawodowej. A dodatkowo pokazuje, że minister edukacji, która przecież zbadała tę sprawę, zanim się wypowiedziała, wiedziała, jaki jest stan faktyczny i że linia obrony przyjęta przez prawników nauczycielki jest całkowicie nową kreacją i nową fabułą. Każdy, kto patrzy na tę sprawę uczciwie, nie ma wątpliwości jak ją oceniać, bez względu na stronę politycznej barykady. W bardzo jednoznaczny sposób wypowiedzieli się na ten temat zarówno arcybiskup gdański Tadeusz Wojda, jak i komisja wychowania Konferencji Episkopatu Polski. Teraz chodzi o to, żeby ze zdarzenia w Kielnie wyciągnąć odpowiednie konsekwencje i zwrócić tym dzieciom poczucie wartości i czci własnej, reagując na niegodziwość, która je spotkała. Jako Instytut Ordo Iuris próbujemy im to wynagrodzić przez zaproszenie do Warszawy i jakiś drobny gest, który dla uczniów może być cenny. Ale to po stronie szkoły leży główna odpowiedzialność.

Sprawa ze szkoły w Kielnie może być impulsem, który zainspiruje innych młodych Polaków do odważnej obrony wiary, nawet za cenę odrzucenia i pogardy?

Wyobrażam sobie scenę, w której nauczycielka na granicy furii, widząc krzyż zawieszony znów w sali lekcyjnej, choć poprzedni krzyż zdjęła, żąda zdjęcia go ze ściany rękami uczniów, a w odpowiedzi słyszy deklarację jednego z nich: „Nie zdejmę krzyża". Bardziej inspirującą sytuację trudno sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że ta scena przemówi do rówieśników uczniów z Kielna i stanie się znakiem pewności wiary. Utwierdzi ich w przekonaniu, że wiara i symbole tej wiary nie są czymś wstydliwym, czymś, co przypisane jest tylko do sfery prywatnej, lecz są częścią naszej tożsamości, do której się przyznajemy i z której jesteśmy dumni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Niechciani, ale obecni

Michał Murgrabia

Na liście cudzoziemców niepożądanych w Polsce jest ponad 30 tys. osób. Skuteczność w zmuszaniu tych ludzi do opuszczania terytorium Rzeczypospolitej jest niestety za mała

Zdaje się, że będziemy musieli powoli przywyknąć do zmieniającej się rzeczywistości. Bynajmniej nie mam na myśli tego, aby godzić się z kierunkiem tej transformacji! Tylko ślepiec nie zauważyłby tak istotnych zmian, jakie zaszły na przestrzeni ostatniej dekady, choć same procesy rozpoczęły się wcześniej. Contra factum non fit argumentum (przeciwko faktom nie tworzy się argumentów), a więc pozostało nam jedynie podnieść gardę i spojrzeć tej rzeczywistości w oczy. A jaka ona jest?

Masowa niekontrolowana imigracja przeorała już realia w niejednym europejskim państwie. Łatwiej zatem wskazać to, które uniknęło takiego losu. Do niedawna i Polskę umieszczano wśród takich oaz spokoju. Przyszłość dogania nas jednak wielkimi krokami. Mało tego – zmierza ku nam w siedmiomilowych butach. Słychać już jej ciężkie i zwaliste kroki. Za szybko, za gwałtownie, a my nie jesteśmy na to zupełnie przygotowani.

LISTA CUDZOZIEMCÓW

Jaki zatem jest ten nowy „wspaniały" świat? Wystarczy przywołać jeden przykład, aby zrozumieć, gdzie zaszły zna-

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Funkcjonariusze Straży Granicznej podczas czynności, których celem była deportacja dwóch cudzoziemców stwarzających istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego, Ustka, 9 stycznia 2026 r. FOT. KOMENDA GŁÓWNA STRAŻY GRANICZNEJ

czące zmiany. Niewielu Polaków zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że istnieje coś takiego, jak lista cudzoziemców niepożądanych w Polsce. Konkretnie chodzi o to, co ustawa „o cudzoziemcach" z 12 grudnia 2013 r. nazywa „Wykazem cudzoziemców, których pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest niepożądany". W wielu miejscach ustawa ta jest wadliwa i nieaktualna, choć doczekała się już kilkukrotnie swojej nowelizacji, chociażby w czerwcu 2025 r. Wprowadzona została za rządów Platformy Obywatelskiej, gdy premierem był Donald Tusk, a prezydentem Bronisław Komorowski. Samo istnienie tej listy może oznaczać tylko jedno. Nie wszyscy cudzoziemcy przebywający w Polsce to grzeczni ludzie, szanujący miejsce, do którego przybyli. Nie jest to szokujący wniosek. Sam fakt istnienia tego typu ewidencji jest jednak niczym szpilka przekłuwająca lewicowy ideologiczny balon, który pełen jest frazesów o tym, że wszystkim wszystko i wszędzie z góry się należy, a granice państw to tylko chory faszystowski wymysł. Jak widać – nie.

Zaskoczenie budzi nawet nie sam fakt istnienia „wykazu cudzoziemców, których pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest niepożądany", ale właśnie to, że prawie nikt o nim nie mówi. W Internecie niewiele jest artykułów, w których się pojawia ten temat. Jedni boją się o tym mówić czy pisać, byle tylko nie popełnić myślozbrodni, przekraczając przy tym to, co dopuszczalne w ramach stale zawężającego się pola politycznej poprawności. Z kolei drudzy nie chcą o tym poinformować Polaków, bo są ważniejsze tematy na agendzie, bo mogłoby to wzbudzić kontrowersje, a do tego – po co straszyć Polaków? No i wreszcie, po co drażnić tych i owych? Co najgorsze – zepsułoby to „dobre" stosunki z innymi państwami, które i tak są już w większości zepsute, bo obecny rząd dba głównie o dobre relacje z Niemcami, kosztem innych państw, co można było zobaczyć na przykładzie lekceważącego podejścia do wizyty premiera Tuska w Angoli, gdzie był witany na płycie lotniska w Luandzie przez prezydenta João Lourenço. Premier nie tylko nie miał na sobie marynarki i krawata, lecz także podwinął rękawy koszuli, zupełnie tak, jakby zamierzał zabierać się do obierania ziemniaków. Butów z grzeczności nie skomentuję. Wróćmy jednak do interesującej nas sprawy, ponieważ jest tam jeszcze kilka istotnych szczegółów.

Sam wykaz jest niejawny, a więc dane wszystkich cudzoziemców, którzy zostali wprowadzeni na listę, są tajne – i to zarówno dla samych cudzoziemców, jak i Polaków. Zgodnie z ustawą umieszczenie danych cudzoziemca w wykazie może nastąpić bez jego zgody i wiedzy na okres do 10 lat. Oczywiście imigranci mają prawo złożyć do szefa urzędu wniosek, aby udzielono im informacji, czy znajdują się w wykazie lub w Systemie Informacyjnym Schengen zawierającym nazwiska osób, którym odmówiono prawa wjazdu lub pobytu na terenie Strefy Schengen. Akurat warto pochwalić to, że tego typu dane krążą pomiędzy państwami będącymi w Schengen.

Wpisane na listę mogą być osoby zagrażające bezpieczeństwu państwa i ludzie mogący negatywnie wpływać na kwestie związane z obronnością, czyli np. szpiedzy

Rejestr prowadzony jest przez Szefa Urzędu do spraw Cudzoziemców, który ewidencjonuje z urzędu wszelkich burzycieli porządku publicznego, a więc skazanych prawomocnymi wyrokami przestępców, i inne tego typu osobniki, co do których otrzyma stosowne dokumenty, a więc – jak widzimy – czyni to na wniosek odpowiednich organów. Jakich? Ministra Obrony Narodowej, ministra właściwego do spraw zagranicznych, Komendanta Głównego Policji, Komendanta Głównego Straży Granicznej, Szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Szefa Agencji Wywiadu, Szefa Krajowej Administracji Skarbowej, Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, który stoi na czele Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, czy wojewody. W zasadzie to chyba wszystkie polskie służby mogą wnioskować o umieszczenie takiego wpisu w rejestrze.

Wpisane na listę mogą być również osoby zagrażające bezpieczeństwu państwa i ludzie mogący negatywnie wpływać na kwestie związane z obronnością, czyli np. szpiedzy. Sama lista przesłanek, na podstawie których cudzoziemiec może być wpisany do rejestru osób niepożądanych w Polsce, jest bardzo

eprasa.pl b6d7b4f1ea

długa i nie ma potrzeby wymieniać wszystkich, które znajdują się w art. 302 wspomnianej ustawy. We wpisie, obok danych cudzoziemca, mogą znaleźć się zarówno jego fotografia, jak i odciski linii papilarnych.

DEPORTACJA... DOBROWOLNA

Czym skutkuje umieszczenie na liście osób niepożądanych w Polsce? Automatycznie zapada wówczas ostateczna decyzja o zobowiązaniu cudzoziemca do powrotu do swojego ojczystego kraju, czyli deportacja. Niestety, w praktyce deportacja wykonywana jest dobrowolnie. Innymi słowy, osoba zobowiązana do powrotu musi samodzielnie wrócić do swojego kraju pochodzenia lub do kraju, z którego przyjechała, i co więcej, nie ustalono żadnego terminu określającego, do kiedy taki niepożądany cudzoziemiec ma wyjechać z Polski. To brzmi wręcz groteskowo, ale tak właśnie w praktyce często się dzieje. Wielu imigrantów, których zobowiązano do wyjazdu, niestety przebywa w Polsce nielegalnie i pozostają tutaj aż do momentu ich wykrycia.

To trzeba powtórzyć, ponieważ aż trudno w to uwierzyć. W Polsce przebywa spora liczba cudzoziemców, którzy są niepożądani w naszym kraju, do tego zostali skazani prawomocnymi wyrokami sądowymi i znajdują się w odpowiednim rejestrze osób, których sobie tutaj nie życzymy, a nawet wydano decyzję o ich „deportacji". Zgodnie z tą ustawą pomimo że zostali zobowiązani do powrotu, to wciąż u nas nielegalnie przebywają, bo nie podano terminu ich dobrowolnego wyjazdu. Samo to sformułowanie o dobrowolnej deportacji to już jest jakiś niesamowity odlot. W takich przypadkach dosłownie mamy czekać, aż ktoś, kto stanowi realne zagrożenie, zechce sobie sam łaskawie wyjechać z Polski. A co, jeśli nie zechce? Skoro deportacja jest dobrowolna, to może po prostu nie będzie chciał tego zrobić.

Ponadto w tej samej decyzji wobec cudzoziemca orzeka się również zakaz ponownego wjazdu do Polski. Zakaz ten, w niektórych wypadkach, może obejmować tylko terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, choć na ogół dotyczy zarówno terytorium Polski, jak i innych państw Strefy Schengen. Polskie służby powinny niezwłocznie deportować, i to przymusowo, osoby, które w określonym czasie same nie opuszczą Polski. Inaczej będziemy mieli do czynienia z coraz większym chaosem. Ustawa ma jeszcze jeden aspekt pozytywny, o którym warto wspomnieć. Dostrzega bowiem problem z zawieraniem fikcyjnych małżeństw w celu wyłudzenia polskiego obywatelstwa. Pytanie tylko jak urzędnicy zamierzają to weryfikować. Zapis zapisem, a rzeczywistość – rzeczywistością.

Osoba zobowiązana do powrotu musi samodzielnie wrócić do swojego kraju pochodzenia lub do kraju, z którego przyjechała. Nie ustalono żadnego terminu określającego, do kiedy taki niepożądany cudzoziemiec ma wyjechać z Polski

Jak już ustaliliśmy na początku, polscy obywatele nie mają wglądu w rejestr niepożądanych cudzoziemców w Polsce. Można jednak wysłać wniosek na podstawie dostępu do informacji publicznej z zapytaniem o same dane statystyczne. I tu robi się jeszcze ciekawiej. Co nam mówią dane?

30 TYSIĘCY NIEPOŻĄDANYCH

„W 2024 roku liczba wydanych decyzji zobowiązujących do powrotu wyniosła ponad 8,5 tys. Dotyczyły one m.in. obywateli Gruzji, Białorusi i Mołdawii. W okresie od 1.01 do 7.09.2025 r. liczba wydanych decyzji zobowiązujących do powrotu wyniosła prawie 6,2 tys.". Decyzje te również dotyczyły m.in. obywateli Gruzji, Białorusi i Mołdawii. Natomiast „liczba zrealizowanych przez obywateli Ukrainy decyzji zobowiązujących do powrotu na Ukrainę w 2024 r. to prawie 450 osób, a w 2025 r. to już blisko 600" i to w krótszym czasie. Co oznacza, że cudzoziemiec został „zobowiązany do powrotu"? Niestety, nie jest to jednoznaczne z deportacją. Większość tych osób wciąż tu faktycznie jest. Zobowiązanie do powrotu to wyłącznie wydana decyzja administracyjna, która jeszcze nie przyniosła realnego efektu. Decyzje te podjęto głównie na podstawie przesłanek dotyczących nielegalnego pobytu bądź pracy cudzoziemca w Polsce, figurowania danych cudzoziemca w wykazie cudzoziemców, których pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest niepożądany, figurowania danych cudzoziemca w Systemie Informacyjnym Schengen do celów odmowy wjazdu i pobytu, ze względów obronności lub bezpieczeństwa państwa lub ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego lub zważając na interes Rzeczypospolitej Polskiej, choć sam katalog jest dłuższy. Najgorsze jednak na koniec.

Obecnie na liście osób „niepożądanych" w Polsce jest ponad 30 tys. osób. Przywołajmy też jakiś konkretny przypadek. W ostatnim czasie został wydalony z Polski 46-letni Ukrainiec, którego zatrzymano w Oświęcimiu, ponieważ notorycznie prowadził samochód po pijanemu lub po zażyciu narkotyków, choć wcześniej już odebrano mu uprawnienia do prowadzenia pojazdu. Straż Graniczna ostatecznie doprowadziła go do granicy, a następnie musiał opuścić terytorium naszego państwa z zakazem ponownego wjazdu, przynajmniej na najbliższe 10 lat. Godne ubolewania jest to, że w ciągu roku tylko niewielki odsetek takich osób zostaje faktycznie deportowany lub wydalony z Polski.

Najlepszym podsumowaniem będą słowa nadinsp. Adama Rapackiego, byłego wiceszefa MSWiA, twórcy policyjnego CBŚ, który powiedział, że „jeżeli się przymyka oko i nie wykonuje deportacji, to później skutkuje to rosnącą przestępczością cudzoziemców". Natomiast płk Jacek Mąka, były wiceszef ABW, skwitował sytuację jeszcze dosadniej: „Przychodzi czas koniecznej reakcji na zdarzenia z przeszłości, które skutkowały masowym, nie do końca kontrolowanym napływem cudzoziemców do naszego kraju. Te sytuacje z przeszłości skutkują wzrastającą kryminalizacją, enklawizacją struktur przestępczych niektórych nacji, zwłaszcza Gruzinów". Co tam jednak taki nadinsp. Rapacki czy płk Mąka, skoro Magdalena Biejat, poseł Lewicy Razem, twierdzi, że „wszystkie te opowieści o strasznych migranckich gangach to po prostu bzdura". Mnie jednak nie przekonała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Żarty, drwiny i memy są formą komentowania rzeczywistości, która – odbierana na chłopski rozum – nie pasuje do oficjalnych komunikatów

FOT. FACEBOOK.COM/PROBOSZCZEŁ, @SILLYBALOO/ INSTAGRAM.COM/BOMBOWA_MAMA, @MRBEASTON

Zimne żarty

Radosław Wojtas

Podejrzliwość wobec centralnego planowania mamy zapisaną w polskim DNA. Kiedyś Partia mówiła, że jest dobrze, a w sklepach był tylko ocet. Dziś Unia mówi, że jest globalne ocieplenie, a my musimy odśnieżać samochód przez 20 minut. Dla przeciętnego Kowalskiego to ten sam dysonans poznawczy. Żarty, drwiny i memy są formą komentowania rzeczywistości, która – odbierana na chłopski rozum – nie pasuje do oficjalnych komunikatów

Wciąż nie spełniło się wielkie marzenie Romana Giertycha, które wyraził na Twitterze ponad dekadę temu: „A ja lubię globalne ocieplenie i chętnie finansowałbym jego postęp. Winorośla i palmy w Polsce? Super!". Nadal trudno o widok palm rosnących u nas na świeżym powietrzu, choć akurat wina z polskich winnic są godne polecenia. Ile były szef Ligi Polskich Rodzin wydał w ostatnim dziesięcioleciu na wspieranie postępu globalnego ocieplenia – prędko się nie dowiemy, finanse pana mecenasa to supeł, który dopiero czeka na rozwiązanie. Łatwiej policzyć, ile kosztowało nas wszystkich pchanie tego wózka w przeciwnym kierunku.

Tylko że te rachuby mogą nam co najwyżej popsuć nerwy. I tak już zszargane coraz wyższymi rachunkami za energię elektryczną, która miała zielenieć i tanieć, a uparcie staje się coraz droższa, zakazami, nakazami i – mniej lub bardziej obowiązkowymi – zachętami do rezygnacji z własnego komfortu na rzecz ratowania klimatu. A że nerwy dobrze koi śmiech, to minusowe temperatury i ich konsekwencje, a przy okazji inne bóle fantomowe Polacy podleczają na półserio.

MAŁY DZYNDZEL I WIELKA IRYTACJA

Trzy szyjki od butelek z nakrętkami przytwierdzonymi według nowych wymogów unijnych na górze, a na dole zdjęcie mężczyzny odśnieżającego łopatą chodnik. Podpis: „I co niedowiarki? Wystarczyło 18 miesięcy przyczepiania nakrętek do butelek i koniec globalnego ocieplenia. Wróciła zima jak za Gierka". To jeden z memów, które w ostatnich tygodniach krążyły w mediach społecznościowych. Początek 2026 r. przyniósł w Polsce zjawiska atmosferyczne, które w dobie ocieplenia klimatu wywołują dysonans poznawczy. Ostrzeżenia IMGW przed silnym mrozem i opadami śniegu stały się tłem dla zderzenia wielkiej polityki (Zielony Ład, „Fit for 55") z małym realizmem dnia codziennego (zamarznięte szyby, pękające rury, niepraktyczne opakowania).

– To była cena, którą musieliśmy zapłacić – ogłosiła zbiorowa mądrość internautów. – Każda kropla napoju rozlana na koszulę, każde zadrapanie nosa, każda cicha klątwa rzucona przy odkręcaniu mleka – to wszystko nie poszło na marne. Nośnikiem ogłoszenia sukcesu stały się memy i instagramowe rolki: Unia Europejska niczym czarnoksiężnik zaklęła zimę w plastikowej pętelce. I choć teraz musimy skrobać szyby przy minus

eprasa.pl b6d7b4f1ea

15 stopniach, to z tyłu głowy kołacze satysfakcjonująca myśl: naprawiliśmy to. Ugasiliśmy planetę. Wystarczyło tylko trochę pocierpieć przy nawadnianiu.

Dlaczego ten kawałek plastiku stał się symbolem walki z klimatem? Psychologia zna na to odpowiedź. Ludzki mózg, choćby nie wiem jak wyedukowany, ma problem z procesowaniem liczb z wieloma zerami. Tony CO_2, gigawaty energii, stopnie Celsjusza w skali planetarnej – to abstrakcja. A nakrętka? Nakrętka jest namacalna. Jest tu i teraz. A do tego mamy wrażenie absurdu skali. Gdy słyszymy, że planeta płonie, a oceany się gotują, oczekujemy działań na miarę Avengersów. Wielkich maszyn, fuzji jądrowej, tamowania cieśnin. Co dostajemy w zamian? Nakaz przywiązania korka do butelki. Nic dziwnego, że rodzi się dysonans poznawczy. To tak, jakby lekarz na otwarte złamanie kości udowej zaproponował plasterek z Myszką Miki. Intencja może i jest dobra (żeby się nie brudziło), ale pacjent czuje się niezrozumiany. Polski internauta, istota z natury podejrzliwa i wyczulona na fałsz, natychmiast wyłapuje te dysproporcje.

Tu wchodzi w grę kolejny mechanizm psychologiczny: przeniesienie irytacji. Jesteśmy wściekli. Wściekli na inflację, na korki, na szefa, na to, że rano trzeba wstać, na sąsiada, bo głosuje na KO, PiS, Konfederację, Lewicę, PSL (niepotrzebne skreślić). Ale te gniewy są rozproszone. Nakrętka daje im cel. Jest fizyczną manifestacją systemu, który wtrąca się w nasze życie. Skrobanie samochodowej szyby na mrozie też jest irytujące. Kiedy więc łączymy te dwa fakty – irytującą nakrętkę i irytujący mróz – następuje fuzja. Nie wyśmiewamy nakrętki. Jesteśmy sędziami, którzy wydali wyrok na absurd rzeczywistości.

Jeśli nakrętka jest generałem tej armii absurdu, to papierowa słomka jest jej tragicznym piechurem, ginącym (z rozmiękczenia) na pierwszej linii frontu. Zima dodaje papierowej słomce nowego wymiaru. Wyobraźmy sobie taką scenę: wracamy z pracy, zmarznięci na kość. Marzymy o czymś, co poprawi nam humor. Zajeżdżamy do popularnej sieci fast food, zamawiamy napój. W pakiecie musimy dopłacić za jednorazowy kubek i dostajemy papierową rurkę, która ma ratować żółwie w oceanach. Problem w tym, że nie jesteśmy na oceanie, jesteśmy w Sosnowcu, jest styczeń, a słomka po trzech minutach kontaktu z cieczą zamienia się w papkę. Polski Internet uwielbia zestawiać tę nieszczęsną słomkę z prywatnymi odrzutowcami elit lecących na szczyt klimatyczny w Davos.

To klasyczny opór, reakcja obronna. Kiedy ktoś zabiera nam poczucie kontroli (narzucając słomkę, nakrętkę, zakaz wjazdu starym autem, zakaz palenia w kominku), budzi się w nas mały buntownik. Nie możemy obalić dyrektywy unijnej, nie możemy zmienić prawa w Brukseli. Ale możemy wyśmiać. Możemy stworzyć mema. Możemy powiedzieć: „Zima wróciła, bo słomki rozmiękły". To nasza mała zemsta.

JAK TAM WASZE POMPY CIEPŁA?

Nie wszystkim jednak do śmiechu. Niewinne, trochę niegramatycznie sformułowane pytanie postawione w lokalnej grupie na Facebooku mieszkańców mojego miasteczka – „Jak tam drodze sąsiedzi wasze pompy ciepła. Sprawdzają się?" – zadane akurat w dniu, w którym mieliśmy kilkugodzinną awarię prądu, wywołało mieszane reakcje. Od szczerej chęci niesienia pomocy: „Posiadacze PC na dłuższe przestoje powinni zaopatrzyć się w awaryjne źródło ciepła, ja np. mam mały piecyk naftowy. Kupujesz raz, masz na całe życie" – napisał pan Michał; po irytację: „Piece gazowe też nie działają bez prądu, ale tego pewnie taki niskich lotów internetowy pieniacz nie zauważył" – skomentował pan Łukasz.

Ale co tam pompy ciepła, co tam solary, które też padają ofiarą drwin, bo zasypało i nie produkują prądu – najwięcej szpilek internauci wbijają właścicielom samochodów elektrycznych. Zima jest bezlitosnym weryfikatorem technologii. Widok nowoczesnego cudu techniki, który stoi bezradnie na poboczu, bo bateria straciła połowę zasięgu przez ogrzewanie, filmy na TikToku pokazujące pozamarzane, niewysuwające się z elektryków klamki budzą w Polakach satysfakcję. Kiedy Teslę zasila prąd produkowany z węgla, absurd jest ukryty. Kiedy wiezie ją laweta napędza silnikiem Diesla, można sobie podworować. Kiedy jeden właściciel Tesli radzi w Internecie innemu, że baterię przed ładowaniem najlepiej rozgrzewać przez 40 minut, by „szybko" ją naładować w trzy godziny, to wystawia piłkę na pustą bramkę, a pogardzani Janusze, dumni posiadacze 1,9 TDI muszą tylko przyłożyć nogę.

Dlaczego się śmiejemy? Czy dlatego, że nie lubimy oddychać czystym powietrzem? Nie. Dlatego, że nie znosimy, gdy ktoś nam mówi, że nowe jest zawsze lepsze, podczas gdy nasze własne doświadczenie mówi co innego. Unia sprzedaje marzenie o cichych, czystych miastach. Zima serwuje rzeczywistość, w której specyfika baterii litowo-jonowych nie podlega głosowaniu w Parlamencie Europejskim. Śmiejemy się z tego, bo to kolejna odsłona walki „zwykłego człowieka" z utopijną wizją. Czujemy się mądrzejsi. My, ludzie Północy (no, prawie), wiemy, że jak przyciśnie mróz, to nie liczy się emisja CO_2, tylko ciepło w kabinie. I ten chichot nad zamarzniętą ładowarką jest chichotem kogoś, kto czuje, że nie dał się nabrać.

JAKI MAMY KLIMAT?

Musimy tu dotknąć delikatnej materii. Czy te memy oznaczają, że Polacy są denialistami klimatycznymi? Że nie wierzą w naukę? Że nie zauważają tego, że kilkanaście dni z mrozem 15- czy 20-stopniowym, które dziś stają się wydarzeniem i które paraliżują polskie metropolie, to igraszka w porównaniu z zimami sprzed kilkudziesięciu lat? Że „coś się zmienia"? Otóż – niekoniecznie. Większość ludzi wrzucających obrazki i rolki o „zimie wywołanej nakrętkami" doskonale wie, że jedna śnieżyca o niczym nie świadczy. Ale… to nie ma znaczenia. W memach nie chodzi o prawdę naukową. Chodzi o prawdę emocjonalną. A prawda emocjonalna jest taka: jest mi zimno, wszystko jest drogie, Unia wymyśla kolejne utrudnienia, media straszą mnie, że spłoniemy, i znów spóźniłem się do pracy, bo młodzi ludzie, którzy zupełnie na serio myślą o sobie jak o „ostatnim pokoleniu", przykleili się do asfaltu. Kiedy więc widzę śnieg, czuję ulgę. Czuję, że świat wrócił do normy.

No prawie, bo gdybyśmy dziś posadzili dzieci z całego osiedla na sankach i pociągnęli w kuligu za samochodem, tobyśmy stali się bohaterami wieczornych wiadomości. Ale przynajmniej możemy poodśnieżać jak kiedyś – łopatą. Na odśnieżarkę elektryczną jest za zimno, a spalinowej już nie wolno używać, bo sąsiedzi doniosą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Pierwszy pędzel Jego Cesarskiej Mości

Piotr Semka z Paryża

Dwieście lat temu zmarł malarz, który oddał swój kunszt polityce i z racji tejże polityki zmarł na wygnaniu. Francuzi wolą widzieć w nim emanację wielkości, która opromienia ich historię. To dlatego Luwr ściągnął na wystawę dzieła Davida z całego świata. A to, czy był propagandzistą tej czy innej ekipy, wynagradza piękno, którego był sługą

Obraz Bonapartego na Przełęczy św. Bernarda na każdym musi robić wrażenie. Tak naprawdę to Napoleon przebył tę drogę na jucznym mule

FOT. MUSÉES DES CHÂTEAUX DE MALMAISON ET DE BOIS-PRÉAU

Kiedy myślimy o Napoleonie, widzimy obrazy Jacques'a-Louisa Davida" – napisał jeden z krytyków sztuki. To prawda. Młody Bonaparte spinający do skoku konia na alpejskiej przełęczy, „Bóg wojny" rozdający swoim wiernym żołnierzom orły na ich sztandary bojowe czy cesarz podający sobie koronę na głowę w czasie koronacji w Notre Dame – w wypadku wszystkich tych obrazów patrzymy na epokę napoleońską poprzez dzieła Davida. Ale równie dobry był ten geniusz pędzla jako malarz uwznioślający bohaterów rewolucji. Jego „Śmierć Marata" wprowadziła rewolucyjnego trybuna do wizualnej zbiorowej świadomości większości świata.

Dwieście lat temu zmarł malarz, który oddał swój kunszt polityce i z racji tejże polityki zmarł na wygnaniu. Z tej okazji paryski Luwr uczcił twórcę wielką wystawą. To hołd dla mistrza neoklasycyzmu. Człowieka, który niezwykle unowocześnił malarstwo. Przeżył sześć reżimów – od rządów Ludwika XVI, poprzez rewolucję, terror epoki Robespierre'a, dyrektoriat, epokę konsulatu, cesarstwo Napoleona aż po powrót monarchii Burbonów. Za każdym razem wyczuwał świetnie wstrząsy swojej epoki i służył aktualnym władcom swoją sztuką. Czy gdyby życie Davida przypadło na spokojniejszy okres, malowałby tak samo dobrze? Nie wiemy i nigdy się tego nie dowiemy.

W GASNĄCYM SŁOŃCU EPOKI LUDWIKA XVI

Urodził się w 1748 r. w zamożnej paryskiej rodzinie. Monarchia francuska wydawała się wieczna. Ojciec był kupcem wyrobów żelaznych, ale zginął w pojedynku, gdy mały Jacques miał dziewięć lat. Od tej pory chłopca wychowywali wujowie. Na szczęście równie zamożni. Od maleńkiego miał talent do rysunków, co doprowadziło go do Akademii św. Łukasza,

eprasa.pl b6d7b4f1ea

kształcącej młodych adeptów malarstwa. Z czasem na młodego adepta zaczęły się sypać łaski dworu, które doprowadziły go na studia w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tu poznaje wpływowych artystów związanych z dworem, na czele z Josephem-Marie Vienem, promotorem czystego stylu neoklasycystycznego. Zdobywa kolejne nagrody, ale bardzo często najważniejsze trofea sprzątają mu sprzed nosa bardziej wpływowi rywale. W 1774 r. 26-letni David zdobywa nagrodę Prix de Rome, która uprawnia do czteroletniego królewskiego stypendium w Akademii Francuskiej w Rzymie.

Pierwszy obraz, który jest jakby zapowiedzią przyszłej specjalności Davida – „Przysięga Horacjuszy" z 1784 r. FOT. MUSÉE DU LOUVRE/MICHEL URTADO

Pod słońcem Italii młody malarz Francji zachwyca się zabytkami klasycyzmu w Wiecznym Mieście i jeszcze bardziej ugruntowuje się w swojej miłości do antyku. Po pewnym czasie otrzymuje nawet od króla wyjątkowy przywilej założenia w Luwrze swojej pracowni. Tymczasem maluje przesłodzone obrazki na tematy religijne lub mitologiczne. Dobrym przykładem tego stylu jest św. Roch orędujący do Matki Bożej w sprawie chorych na dżumę. Ale jeszcze w tamtej „królewskiej epoce" David maluje swój pierwszy obraz, który jest jakby zapowiedzią jego przyszłej specjalności. To „Przysięga Horacjuszy" z 1784 r. Tematem obrazu jest scena z jednej z komedii Racine'a o zakończeniu sporu Rzymu z rywalizującą z nią Alba Longą. Trzech młodzieńców z rodu Horacjuszy przysięga walczyć dla dobra swojej ojczyzny aż do śmierci. Jest w tym płótnie duch ofiarności i miłości ojczyzny zderzony z uczuciami najbliższych. Zapału bojowych młodzieńców nie podzielają siostry i matki, które płaczą, przewidując śmierć bliskich sobie mężczyzn.

David zderzył rację stanu i rację serc. Po lewej młodzi wojownicy sięgają z dumą po miecze, po prawej kobiety przewidują ich śmierć. Mężczyźni na obrazie to linie proste, rozpaczające kobiety układają się w kształty zaokrąglone. Nikt tak wcześniej nie malował. Gdyby rewolucji nie było, być może utknąłby w takich klasycznych wzorach. Ale przyszła rewolucja i wszystko się zmieniło.

GORĄCE CZASY

W czasach monarchii od malarza nie oczekiwano jakiegoś specjalnego posłannictwa. Miał wykonywać zamówienia od możnych tego świata, aby ozdobić obrazami pałace lub kościoły. Czasami (choć nie zawsze) obrazy malarza bywały wyrazem głębokiej wiary. Po wybuchu rewolucji malować znaczy działać. Opowiadać się za zmianami, dawać ideowe oparcie nowym czasom. Neoklasycyzm Davida wyzbył się rokokowej miękkości lub religijnej delikatności. Nie jesteśmy dziś w stanie zrozumieć, skąd wzięło się tak żywiołowe zaangażowanie się Davida w ideę rewolucji. Być może tkwiło w nim uczucie jakiejś krzywdy osobistej, która wpłynęła na poparcie nowej władzy. Faktem jest, że zostaje organizatorem artystycznym uroczystości rewolucyjnych.

W 1792 r. zostaje wybrany na deputowanego do konwentu. Rok później następuje najbardziej haniebny incydent w jego życiu. Głosuje za karą śmierci dla Ludwika XVI – swego dobrodzieja z lat akademickich, za którego pieniądze przez cztery lata mógł uczyć się rysunku w Rzymie. Tym samym David staje się jednym z niewielu (może poza Caravaggiem, który zabił człowieka w czasie bójki) wielkich malarzy, o których można powiedzieć, że mają krew na rękach. Tym bardziej że głosował za śmiercią władcy całkowicie bezbronnego, mającego – owszem – i grzeszną, i gnuśną przeszłość, ale niemającego nic w sobie z krwawego tyrana.

W tym czasie David miał okazję poczuć na własnej skórze, jak szybko rewolucja pożera swoje dzieci. Musi przerwać rozpoczęty obraz „Przysięga w sali do gry w piłkę", gdyż w połowie malowania paru znajdujących się w centrum bohaterów staje się nagle bohaterami „niesłusznymi". Oto Jean-Sylvain Bailly oraz Antoine Barnabe zostali zgilotynowani, a Honoré Gabriel Riqueti, znany bardziej jako hrabia Mirabeau, został uznany za austriackiego szpiega.

Rewolucja nabiera tempa, rusza machina terroru i gilotyny pracują bez chwili przerwy. Terror wywołuje kontrterror. 13 lipca 1793 r. bojowniczka Charlotte Corday zasztyletowuje Jeana-Paula Marata, jednego z przywódców rewolucji. David, który osobiście znał Marata, maluje obraz zgładzonego rewolucjonisty w konwencji quasireligijnej. Marat niczym zdjęty z krzyża Chrystus zostaje ukazany jako ofiara za zbawienie ludzkości. Stojąc przed tym płótnem na wystawie w Luwrze, widzę, jak sprawnie Dawid użył symboliki, którą jego widzowie pamiętali z obrazów kościelnych do wykreowania nowego rewolucyjnego świętego. Wszystko to w manierze malarstwa Caravaggia z mocnym, ciemnym tłem wypychającym na pierwszy plan umęczone jasne ciało Marata.

Rewolucja w tamtym czasie wciąż potrzebuje nowych bohaterów. Robespierre dowiaduje się o śmierci młodego żołnierza rewolucji Josepha Bary i chce nawet ściągnąć ciało chłopca do Panteonu. David otrzymuje polecenie namalowania martwego bojownika znów w konwencji wczesnochrześcijańskiego męczennika. Tyle że na obrazie Davida Bara zamiast krzyża ściska w palcach wstążkę z barwami rewolucji.

Ale przyjaźń z Robespierre'em szybko przestała być bezpieczna. Prowadzony przez „nieprzekupnego" terror wywołuje w końcu reakcję i adwokacina, który zapragnął być bezlitosnym wodzem rewolucji, zostaje w końcu obalony. A David utożsamiany z krwawą epoką trafia do więzienia. Pobyt za kratkami otrzeźwił nieco malarza, który zachłysnął się rewolucyjnym terrorem. David ma szczęście, że posttermidoriański dyrektoriat nie jest

eprasa.pl b6d7b4f1ea

zbyt mściwy. W końcu w tamtej epoce każdy miał coś za uszami, więc artysta zostaje w końcu wypuszczony na wolność.

Szybko dostaje zamówienia, bo wszyscy pamiętają, jak dobrym mistrzem potrafi być. Niedawny królożerca nagle staje się zwolennikiem pojednania i rekoncyliacji. A malarskim manifestem jego nowych idei staje się płótno „Sabinki" wystawione na paryskim salonie w 1799 r. Historyczny motyw obrazu David wybrał z rozmysłem. Chodzi o opowieść o plemieniu Sabinów, w którym Rzymianie porwali ich kobiety. Gdy skrzywdzeni przygotowują się do odwetowej walki z Rzymem – między walczących wpadają kobiety, które nie dopuszczają do starcia, nie chcąc kolejnych ofiar. Przesłanie jest zatem jasne. Musi zapanować zgoda, a wszystko to namalowane jest w nienagannej klasycznej konwencji. Na dodatek obraz cechuje doskonała kompozycja, perfekcyjna dbałość o szczegóły, a wszystko to w konwencji uwielbianych wówczas odniesień do republikańskiego Rzymu. Ale historia Francji nie zamierzała zwalniać. Powoli zaczyna błyszczeć gwiazda Napoleona Bonapartego.

PREMIER PEINTRE DE L'EMPEREUR

Napoleon znał się nie tylko na generałach i politykach, lecz także na artystach. Dlatego natychmiast orientuje się, że David to gwiazda pierwszej wielkości, i mianuje go pierwszym malarzem cesarstwa. David doskonale wie, czego się od niego oczekuje. W 1800 r. maluje Bonapartego na Przełęczy św. Bernarda. Ten obraz na każdym musi robić wrażenie. Wspaniały wierzchowiec staje dęba, trzymany za lejce przez republikańskiego generała na wąskiej alpejskiej ścieżynce, którą armia republiki posuwa się na drodze do zdobycia Włoch. Tak naprawdę to Napoleon przebył tę drogę na jucznym mule. Ale czy Bóg wojny chciałby być sportretowany na prozaicznej krzyżówce osła i konia? Napoleon doskonale wiedział, że sztuki wizualne są dla jego potęgi tak samo ważne jak armaty i oddziały huzarów. A David wie, jak pokazać możnych tego świata. Cesarz umie też myśleć perspektywicznie. Dlatego rozkazuje, by David otrzymał specjalnie wyznaczone miejsce do obserwowania cesarskiej koronacji w Notre Dame 2 grudnia 1804 r. Malarz obejrzał uroczystość i rychło potem zabrał się do odtworzenia jej na płótnie. Planując kompozycje, David nie odkrywał Ameryki. Sięgnął po wzorzec obrazu Rubensa „Koronacja Marii Medycejskiej". Tak powstał prawdziwy gigant malarski – obraz o wysokości 6,21 metra i długości 9,79 metra. Malował tego olbrzyma trzy lata. Dzieło zawisło w sali tronowej Pałacu Tuileries. Nie pomijał najmniejszego szczegółu. Napoleon był zachwycony. „To nie jest zwykły obraz. Poruszają się na nim prawdziwi ludzie" – miał wykrzyknąć na widok arcydzieła.

„Śmierć Marata" wprowadziła rewolucyjnego trybuna do wizualnej zbiorowej świadomości większości świata FOT. MUSÉES ROYAUX DES BEAUX-ARTS DE BELGIQUE

Jeszcze jeden obraz cesarza. Napoleon w gabinecie z 1812 r. Bonaparte pokazany jest jako sługa narodu. Zegar wskazuje późną nocną godzinę. Na podorędziu leży Kodeks Napoleona – duma cesarza. Cesarz patrzy uważnie w oczy widza, jakby zależało mu, by obserwator pojął skalę poświęceń władcy dla swojego narodu. Epoka Napoleona była końcem największych dzieł Davida. Jeszcze w 1814 r. otarł się o wielkość, malując płótno „Leonida w Termopilach". Rychło potem cesarstwo złotych orłów runęło pod ciosami sojuszu trzech czarnych orłów.

GORZKI SCHYŁEK

Powracający na tron Burbonowie dobrze pamiętali, że David skazał na śmierć ich poprzednika. Ale z racji szacunku dla talentu malarza zaproponowano mu amnestię, o ile pokaja się za przyłożenie ręki do zgilotynowania Ludwika XVI. Ale David unosi się dumą. Nie będzie nikogo o nic prosił. Wyjeżdża na emigrację do sąsiedniej Brukseli w Belgii. Tu utrzymuje się z malowania portretów dla bogaczy. Kolejne 10 lat życia Davida upływa bez wielkich wydarzeń. Prowadzi ustabilizowane życie brukselskiego mieszczanina.

W 1824 r. ma miejsce tragedia. Po wyjściu z teatru wpada pod powóz i zostanie stratowany przez konie. Rozległe obrażenia wywojują paraliż i po pewnym czasie nie jest w stanie już malować. Umiera 29 grudnia 1825 r. Po śmierci rząd francuski odrzuca wniosek rodziny o sprowadzenie jego szczątków do Francji i artysta znajduje pochówek na cmentarzu w Brukseli. W końcu XIX w. zostaje przeniesiony na inny cmentarz brukselski. Jedynie jego serce pochowano na paryskim Cmentarzu Père-Lachaise obok jego żony Charlotte, która zmarła pół roku po śmierci męża. Szczątki znanego malarza do dziś znajdują się na wygnaniu.

„NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ"

To nie Edith Piaf pierwsza wystąpiła z tym hardym wyznaniem. Na autoportrecie z 1794 r. patrzy na nas człowiek, który zna swoją wartość i nie ma ochoty na tłumaczenie się z niczego. Wykształcił w swym warsztacie takich kontynuatorów jak: Anne-Louis Girodet, Francois Gerard, Antoine Jean Gros i największy z nich Jean Auguste Dominique Ingres. Według znanej anegdoty po upadku Napoleona Talleyrandowi zarzucono, że porzucił stan duchowny dla rewolucji, rewolucję zdradził dla Napoleona, a Napoleona porzucił po jego klęsce, przechodząc na służbę powracających na tron Burbonów. Talleyrand odpowiadał na takie przytyki jednym zdaniem: „Przez cały czas służyłem jedynie Francji".

Czy David odpowiedziałby tak samo, wskazując, że faktycznie służył jedynie swemu talentowi? No cóż, wielkich artystów zawsze łatwo się rozgrzesza. Francuzi wolą widzieć w nim emanację wielkości, która opromienia ich historię. To dlatego Luwr ściągnął na wystawę dzieła Davida z całego świata. A to, czy był propagandzistą tej czy innej ekipy wynagradza piękno, którego był sługą.

Kurator wystawy Sébastien Allard podsumowuje Davida jako artystę aktywistę. Kogoś, kto przyjął klasyczny styl malarstwa, aby nadać uporządkowany kształt nieładowi i przemocy rewolucji. Jego styl był tak silny, że przetrwał reżim, i z tego powodu Luwr odwiedzają dla jego płócien setki tysięcy ludzi. Artystom zawsze wolno więcej niż zwykłym zjadaczom chleba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Jacques-Louis David" potrwa w Luwrze do 26 stycznia br. Szczegóły na: www.louvre.fr.

eprasa.pl b6d7b4f1ea

„Helena", czyli prostota jest najtrudniejsza

FOT. MAGDALENA RYBIJ

Grzegorz Kondrasiuk

W styczniu w obiegu opinii kulturalnych panuje szał podsumowań. Ale w dziedzinie teatru tworzenie list rankingowych najlepszych (najlepiej 10) spektakli roku 2025 oparte jest na zasadniczym nieporozumieniu. Dlaczego? Polski teatr jest zjawiskiem nie do ogarnięcia przez jednego człowieka. Składa się z wielu równolegle funkcjonujących obiegów, a na uwagę niekoniecznie zasługuje obieg uchodzący za najważniejszy i reprezentatywny – czyli tych kilkadziesiąt instytucjonalnych teatrów zawodowych. Na początek kolejnego roku chciałbym więc wskazać – odchodząc do konstruowania list i przydzielania gwiazdek – spektakle po prostu zasługujące na uwagę, powstałe w mniejszych ośrodkach i na obrzeżach głównego nurtu.

„Helena". O takich spektaklach mówi się, że to etiuda albo miniatura. Krótki, trochę ponad pół godziny grania, z minimalną scenografią i obsadą. Białostocka filia Akademii Teatralnej podaje, że powstał on na zajęciach z drugiego roku reżyserii, pewnie jako praca zaliczeniowa. Takich szkiców powstaje w murach szkół teatralnych wiele, ich życie trwa krótko, a potem pracuje się nad następnymi i następnymi. Zdarza się jednak, że uwolnienie od wymogów typowych dla stałego teatru, wszelkie ograniczenia wynikające np. ze skromnego budżetu są katalizatorem. Że powstaje forma czysta, oszczędna, pozbawiona jakiegokolwiek nadmiaru, trafiająca każdą minutą w samo sedno. Taka właśnie jest „Helena".

Przez większość spektaklu opowieść prowadzona jest z offu: słyszymy nagranie historii mówionej. Starsza pani opowiada o swoim życiu, skupiając się na temacie małżeństwa. Mówi pięknym językiem, ma charakterystyczny, „uśmiechnięty" tembr głosu, opowiada prosto, naturalnie, ale też potrafi słowem rysować obrazy i sytuacje. Dzieli się sprawami osobistymi i najważniejszymi, domyślamy się zatem, że ta – jak to się dziś określa – „historia mówiona" przekazywana jest komuś godnemu zaufania. A teraz my, publiczność, tym zaufaniem jesteśmy obdarzeni. Tak, to prawdziwy dar: jednostkowy los konkretnego człowieka, z całym jego pięknem i dramatyzmem.

Słowa z nagrania uruchamiają sytuacje. Na scenę, w skromną scenografię symbolicznie odwzorowującą wiejską izbę, wchodzi dziewczyna, potem dołączy do niej chłopak. Grają z lalkami-obiektami, figurami dziewczyny i chłopaka, których głowy zasłaniają twarze wykonawców, a ich kostium przymocowany jest do pasa. Aktor jest zatem zrośnięty z lalką, tym przedmiotem niesamowitym, który potrafi być wehikułem w zaświat i symbolizować kogoś więcej. Użyta w spektaklu autentyczna opowieść Olimpii, babci reżyserki, Magdaleny Dąbrowskiej, w zestawianiu z wybraną do jej inscenizacji techniką daje nadzwyczajne rezultaty. Nie ma tu ani jednej zbędnej sekundy, żadnego fałszywego ruchu, nadmiaru czy zbanalizowania. Język gestów uzupełnia, a nie ilustruje płynącą opowieść o dzieciństwie wiejskiego dziecka, wyjątkowej dziewczyny obdarzonej talentami teatralnymi, których nie była w stanie zrealizować, o małżeństwie zaaranżowanym przez krewnych, a więc – małżeństwie bez miłości. A potem – jednak o miłości, wbrew wszystkiemu, i o wdowieństwie. O stawaniu się człowiekiem, zdobywaniu sensu życia, w całym towarzyszącym temu cierpieniu.

W tak prostych warunkach powstał spektakl, który uzmysławia, jak wielką moc ma teatr, jeśli nie udaje czegoś więcej – a wtedy znienacka tym „czymś więcej" się staje i potrafi odświeżyć tak bardzo dziś przytępioną wrażliwość na cudzą opowieść i czyjś los. Istotna była tu rezygnacja z kupczenia cudzym cierpieniem, z emocjonalnego szantażowania widzów. Po sukcesie wydawniczym „Chłopek" Joanny Kuciel-Frydryszak, po licznych, odmienianych na wszystkie sposoby, zideologizowanych projektach „ludowej historii Polski" jest to populistyczny i łatwy chwyt, wystawić kilka łzawych i chwytających za serce historii. Tymczasem „Helena", mimo że jest opowieścią o losie młodej kobiety na wsi, i to w koszmarnych, środkowych dekadach XX w., idzie całkowicie obok popularnych dziś schematów narracyjnych.

Bywa, że autentyk ma wielką moc. Brzmi jeszcze głośniej w podrobionym prawie w całości świecie, w kakofonii autopromocyjnych, podrasowanych medialnie prezentacji. Przysłuchuję się głosowi nieżyjącej dziś Olimpii i wierzę jej, że to zdarzyło się naprawdę, że naprawdę istnieją uczucia wobec najbliższych i że można ocalić siebie, uchronić wrażliwość, nie zatracić człowieczeństwa nawet w najtrudniejszych warunkach. To jest właśnie siła świadectwa, pod jednym wszakże warunkiem – zostanie ono przekazane bezinteresownie, a nie użyte jako element kolejnej ramy narracyjnej, jako narzędzie perswazyjne, pouczająca opowiastka z morałem. ©℗

„HELENA"
AKADEMIA TEATRALNA IM. A. ZELWEROWICZA W WARSZAWIE – FILIA W BIAŁYMSTOKU
REŻYSERIA: MAGDALENA DĄBROWSKA
ETIUDA NA ZAJĘCIA „PRACA Z AKTOREM W PLANIE LALKOWYM" PROWADZONE PRZEZ HELENĘ RADZIKOWSKĄ (II ROK REŻYSERII AT W BIAŁYMSTOKU)
POKAZ W RAMACH FESTIWALU PRAPREMIER W BYDGOSZCZY (13 LISTOPADA 2025 R.)

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Prawdziwy rycerz

Piotr Gociek

Serial „Rycerz Siedmiu Królestw” to „Gra o tron” w wersji light. Uważam to za zaletę

Ser Duncan Wysoki, „tępy jak buzdygan i powolny w myśleniu”, pojawił się w świecie George’a R.R. Martina i jego czytelników w sierpniu 1998 r., gdy na amerykańskim rynku ukazała się antologia „Legendy”. Był to zredagowany przez Roberta Silverberga tom opowiadań najznamienitszych żyjących autorów fantasy. Tom zbierał nowe teksty osadzone w wymyślonych wcześniej światach, napisane specjalnie na zamówienie Silverberga. Wśród autorów byli m.in. Ursula K. Le Guin, Terry Pratchett, Stephen King czy Robert Jordan. Martin wymyślił swój tekst jako nieco żartobliwy prequel do serii powieści z cyklu „Saga Lodu i Ognia”. Było to w czasach, kiedy ukazały się dopiero jej dwa pierwsze tomy: „Gra o tron” oraz „Starcie królów”. I nikomu nie śniło się jeszcze, że na podstawie sagi powstanie kiedyś serial HBO bijący rekordy popularności.

PO ŚMIERCI OSTATNIEGO SMOKA

Pierwszy sezon nowego serialu HBO Max to ekranizacja noweli „Wędrowny rycerz”, właśnie tej z roku 1998. Martin napisał potem jeszcze dwie – całość wydana została w Polsce pt. „Rycerz Siedmiu Królestw”. I taki jest też tytuł serialu. Tytułowy rycerz to wspomniany ser Duncan Wysoki, znany też po prostu jako „Dunk”. Sierota wychowany przez wędrownego rycerza ser Arlana, jego wierny giermek, a po śmierci Arlana – nowy właściciel skromnego rycerskiego dobytku w postaci miecza, tarczy i trzech koni. W serialu gra go Peter Claffey, irlandzki aktor i były rugbysta, który rozmiarami i dobroduszną twarzą przypomina przerastającego innych o głowę ser Duncana.

Akcja tych opowiadań rozgrywa się niespełna 100 lat przed wydarzeniami z „Gry o tron”, długo po śmierci ostatniego smoka Targaryenów, ale jeszcze zanim szaleństwo do końca pochłonęło smoczą dynastię. Nie oznacza to, że czasy były spokojne: co jakiś czas krainą Westeros wstrząsały wojny o sukcesję. A nawet gdy wojen nie było, to codzienne życie w świecie feudałów było takie, jakiego można się spodziewać, szukając analogii do historii naszego średniowiecza. To znaczy zatargi, waśnie rodowe, kłótnie o honor, miedzę, spadek, pobór podatków, rekruta itd., itp. Sprawy czasem rozstrzygano decyzją suwerena, a czasem cóż, z mieczem w garści, co znaczy, że popyt na rycerzy do wynajęcia nigdy nie malał. Cała sztuka w tym, by najmować się w słusznej sprawie.

Zatem zamiast skali makro, którą pamiętamy z pierwszego serialu, gdzie toczył się tytaniczny bój o los całego świata zagrożonego wieczną zimą oraz trwały krwawe wojny o to, kto ma zasiąść na Żelaznym Tronie, tym razem dostajemy skalę mikro. Akcja wszystkich sześciu odcinków „Rycerza Siedmiu Królestw” to kilka dni rycerskiego turnieju plus trochę retrospekcji. W serialowej „Grze o tron” rzecz byłaby najwyżej kilkuminutowym fragmentem któregoś z odcinków. Tutaj błonia pod murami miasta Ashford są niemal całym światem. Bo to tu marzący o sławie Dunk po raz pierwszy będzie miał okazję zmierzyć się z prawdziwymi rycerzami i przyjrzeć się z bliska temu, jakie prawa rządzą światem sławniejszych i bogatszych. Oczywiście szybko odkryje, że nie ma za bardzo z kogo brać przykładu. Ludzi honoru jest tyle co kot napłakał; każdy dba jedynie o własny interes, a jeśli popadłeś w kłopoty – to cóż, twoja sprawa.

TAJEMNICA ŁYSEGO CHŁOPCA

Zmienia się też ton opowieści – zgodnie zresztą z literackim oryginałem. Nie jest to może jeszcze parodia fantasy czy fantasy satyryczna, ale na pewno historyjka zabawniejsza od właściwej „Sagi Lodu i Ognia”. Zachowując wszelkie proporcje, myślę, że jest „Rycerz Siedmiu Królestw” od „Gry o tron” zabawniejszy w sposób podobny, jak „Hobbit” Tolkiena zabawniejszy jest od „Władcy Pierścieni”. Dlatego zawsze powtarzałem, że Peter Jackson zupełnie niepotrzebnie uparł się w zamienianie na potrzeby ekranizacji lekkiego i uroczego „Hobbita” w mroczny, rozbudowany prequel „Władcy Pierścieni”.

Co ciekawe – i na co zwraca uwagę sam autor – można się zastanawiać, czy w ogóle „Rycerza Siedmiu Królestw” nazwać opowieścią fantasy. Nie ma w nim żadnej magii, żadnych elementów nadnaturalnych. Jest to więc fabuła awanturnicza niczym w książkach Waltera Scotta. Tyle

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Akcja nowego serialu rozgrywa się niemal 100 lat przed wydarzeniami z „Gry o tron” FOT. STEFFAN HILL

że autor powieści „Waverley” czy „Ivanhoe” opisywał przygody rycerzy w realiach znanych z naszej historii, a Martin opisuje podobne eskapady w realiach świata wymyślonego przez siebie, czyli Westeros. Źródło inspiracji jest oczywiste i podobne jak w przypadku „Gry o tron”. Martin nieraz opowiadał w wywiadach, że jego sagę fantasy inspirowały m.in. dzieje Wojny Dwóch Róż, a w rozmowie, którą przeprowadziłem kiedyś dla tygodnika „Uważam Rze” (tego oryginalnego), dodał, że zaczytywał się także w cyklu powieściowym Maurice’a Druona „Królowie przeklęci” oraz „Kronikach” Jeana Froissarta zawierających m.in. szczegółowe informacje na temat pierwszych dekad wojny stuletniej (w Polsce przełożono jedynie fragmenty tego dzieła, uznawanego za jedno z podstawowych źródeł do badania historii średniowiecza).

Myślę, że po tym nakreśleniu tła wszyscy już wiedzą, jakiego typu historii się spodziewać. Prawdę mówiąc, nawet jedną dość podobną widzieliśmy na dużym ekranie ćwierć wieku temu w filmie „Obłędny rycerz” („A Knight’s Tale”, 2001) w reżyserii Briana Helgelanda. Była to komediowa opowieść o giermku, który po śmierci swego rycerza zakłada jego zbroję, by zastąpić go w turniejowych szrankach. W „Rycerzu Siedmiu Królestw” giermek Dunk traci mentora jeszcze przed turniejem i chce zdobywać sławę pod własnym imieniem, ale sporo innych elementów jest podobnych. Cóż, wszyscy szukają w podobnych źródłach: Helgeland sięgał do „Opowieści kanterberyjskich” Chaucera; tak czy inaczej żadna porządna fantasy nie może obejść się bez inspiracji dziełami ze średniowiecza.

George R.R. Martin bardzo sprawnie żongluje motywami zapożyczonymi od klasyków, robi to nieco inaczej, ale równie umiejętnie jak Andrzej Sapkowski w sadze o wiedźminie Geralcie (przed nimi czynił to popisowo Roger Zelazny w cyklu o królestwie Amberu). Same z tego korzyści – widzowie nowego serialu HBO Max nie będą czuli się wyalienowani, nawet jeśli nie oglądali właściwej „Gry o tron”. Decydenci już wiedzą, że mają w rękach dobry towar, bo nie czekając na premierę pierwszego sezonu, już w listopadzie ubiegłego roku zamówili sezon drugi. Jednak chwaląc za tonację i za obsadę, będę jednocześnie tonował nastroje – „Rycerz Siedmiu Królestw” to błyskotka, a nie nowy ważny rozdział wielkiej sagi (a tak było w przypadku prequelu, czyli serialu „Ród Smoka”).

SERIAL „RYCERZ SIEDMIU KRÓLESTW” USA 2026

Zarazem zapamiętali fani „Gry o tron” będą mieli frajdę, wyszukując nawiązania do „Sagi Lodu i Ognia” i zastanawiając się nad tym, z jakimi to już znanymi im bohaterami łączą nowych bohaterów więzy rodzinne czy lenne. Oczywiście wszystko odbywa się w ramach wcześniej nakreślonych stereotypów. Zatem przedstawiciele rodu Targaryenów są wyniośli, okrutni i nieco szaleni; bitny ser Lyonel Baratheon jest podobnie jak król Robert Baratheon równie chętny do miecza, jak i do zabawy po biały świt; a zaułki dzielnicy biedaków w Królewskiej Przystani okazują się miejscem jeszcze bardziej plugawym, niż ukazano to w „Grze o tron”. Zresztą przedostatni odcinek, z którego poznajemy dzieciństwo Duncana jako ulicznego wyrzutka z Zapchlonego Tyłka, jest akurat najsłabszy w całym sezonie.

„Rycerz Siedmiu Królestw” to „Gra o tron” w wersji light. I uważam to za zaletę. W odróżnieniu od pełnej moralnie dwuznacznych postaci i wątpliwych życiowych lekcji sagi głównej opowieść o ser Duncanie jest historią z jasnym morałem. Dobro czynić trzeba z podniesionym czołem, nawet jeśli oznacza to śmiertelne ryzyko. Potrzebującym trzeba pomagać, nawet jeśli nie czeka nas za to żadna nagroda. O sprawiedliwość trzeba walczyć zawsze, nawet gdy zdaje się, że to sprawa beznadziejna. Oszustwo nie popłaca, nawet gdy naciąga się reguły w słusznej sprawie (śledźcie uważnie losy księcia Baelora). Tajemnicy pochodzenia łysego chłopca, którego Dunk bierze na swojego giermka, zdradzał nie będę, bo wszystko dopiero przed wami. Mogę tylko zdradzić, że jeden i drugi zajdą kiedyś bardzo wysoko.

FOT. STEFFAN HILL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Piana złudzeń

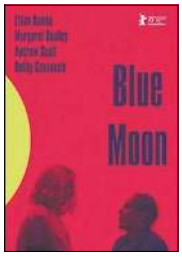

★★★★★☆

REŻ. RICHARD LINKLATER „BLUE MOON" (USA 2025)

wyst. Ethan Hawke, Andrew Scott, Margaret Qualley

Wieczór 31 marca 1943 r. Lorenz Hart (Ethan Hawke), wieloletni współpracownik Richarda Rodgersa (Andrew Scott) i legenda Broadwayu (wspólnie napisali ok. tysiąca piosenek), topi smutki w kieliszku. Ma powody do frasunku – kompozytor Rodgers zerwał 20-letnią kooperację i znalazł sobie nowego tekściarza: Oscara Hammersteina II. Pierwsze wspólne dzieło nowego duetu okaże się ich największym hitem – musical „Oklahoma!" ma premierę właśnie tej nocy. W barze restauracji Sardi's na Manhattanie sfrustrowany Hart dzieli czas na szermierkę słowną z barmanem (przerzucają się cytatami z „Casablanki") i gawędę z pisarzem E.B. White'em (przyszły autor „Stuarta Malutkiego"), ale przede wszystkim czeka na Elizabeth, 20-letnią studentkę Yale (Margaret Qualley). Kocha się w niej bez pamięci, choć jest to miłość platoniczna. Ona – cóż, szuka przepustki do świata show-biznesu.

To dziewiąty wspólny film reżysera Richarda Linklatera i Ethana Hawke. Ciekawe ćwiczenie z formy dla pierwszego (skromny, kameralny „Blue Moon" bardziej przypomina sztukę teatralną niż film) i wielki triumf aktorski tego drugiego. Chciałoby się rzec: Oscar gwarantowany, ale można zmienić zdanie, widząc, jak dobrą prasę ma Timothée Chalamet za występ w „Wielkim Martym". Z jednej strony, „Blue Moon" to historia w duchu „Straconego weekendu" – alkoholizm jest główną przyczyną kłopotów Harta i ostatecznie zabije go kilka miesięcy później. Z drugiej – rzadko się zdarza, by opowieści o demonach zatracającego się w kieliszku artysty były tak błyskotliwe i zabawne jak film Linklatera.

Dla wielu będzie to przede wszystkim lekcja z dziejów amerykańskiego musicalu, ale można na dramat napisany przez Roberta Kaplowa spojrzeć szerzej. Lorenzo Hart żyje nadzieją, że nowa, wyidealizowana miłość wyniesie go ponad kłopoty i zbawi. Wszyscy żyjemy podobnymi złudzeniami na co dzień: może nowa praca, nowe miasto albo i nowy partner; tak czy inaczej nowy początek: wszystko nagle jakoś się ułoży i pójdzie z górki. Otóż nie pójdzie, bo zawsze pozostajemy sobą, niezależnie od zmieniających się scenerii i znajomości. A przed kłopotami z samym sobą nie uciekniemy nigdzie: ani do Oklahomy, ani w objęcia Erosa, ani na dno butelki. ©℗

GRA TYGODNIA: „TERMINATOR 2D: NO FATE"

★★★★☆☆

Połączenie kultowego filmu z początku lat 90. i gry, która utrzymana jest w klimacie i konwencji rodem z tamtych lat, to PIN do kart kredytowych dzisiejszych czterdziestoparolatków. Ceniący nostalgię będą bawili się świetnie, rozpoznając sceny oglądane aż do zdarcia kasety VHS. Choć będą głęboko rozczarowani tym, że twórcom wystarczyło dolarów na zakup licencji oprócz… wizerunku samego Arniego. Twarz Schwarzeneggera musimy sobie zatem wyobrazić. Ale akurat dla tej generacji graczy to żaden problem. Króciutka gra głównie dla zgredów. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, platformowa, 2D*
- ***Platforma:*** *PS 4/5, XSX/XONE, NS, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Bitmap Bureau, Reef Entertainment*

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Powrót nudziarza

KINO

Śpieszcie się kochać rodzinę, jaka jest, bo lepszej mieć nie będziecie. Taki morał płynie z nowego filmu Jima Jarmuscha. Gdyby z identycznym przekazem wystąpił twórca mniej okrzyczany, zbyto by go wzruszeniem ramion. Jarmusch, pieszczoch krytyki, widzącej w nim epigona Nouvelle Vague, banalistą być nie może. W ojczyźnie dostąpił uznania głównie w kręgach uniwersyteckich. Resztę Amerykanów odstraszały niemrawe tempo tudzież pogarda Jima dla hollywoodzkiej estetyki. Europa mu to zrekompensowała, przyjmując kolejne dzieła z należnym szacunkiem, lecz ze słabnącym entuzjazmem. Outsider z Ohio flirtował bowiem coraz śmielej z gatunkami omijanymi przez snobów. Nawet (o zgrozo!) z horrorem.

Złoty Lew, którym jury festiwalu w Wenecji nagrodziło 72-letniego reżysera, potwierdza starą prawdę, że największe szanse na zaszczyty ma nawrócony grzesznik. Jarmusch cofnął się bowiem do korzeni. Jego nowy film jest składanką, jak „Mystery Train" czy „Noc na ziemi". Akcja trzech nowel rozgrywa się w Dublinie, Paryżu i amerykańskiej głuszy. W obsadzie kilka nowych twarzy, jednak królem przedstawienia jest weteran Tom Waits. Byłoby to typowe kino gadane, gdyby nie fakt, że rozmowa się nie klei i często panuje krępujące milczenie. Bohaterów łączą więzy krwi, lecz poza festiwalem uników, drobnych kłamstewek i zdawkowych uprzejmości nic z tego nie wynika.

Jarmuscha bawią różnice charakterów. Jeśli jedno z rodzeństwa jest podejrzliwe, to drugie musi być ufne. Siostra niesforna zamiast lustra ma siostrę poukładaną. Gdy tato to ladaco, mamusia hołduje pedanterii. W trzeciej noweli autor zrywa z tym schematem, gdyż na koniec postanowił widza wzruszyć. Największa zmiana: nikt nie pali papierosów. Największe zaskoczenie: w centrum Paryża łatwo jest zaparkować samochód. Od jakiegoś czasu reżyser kolaboruje ze słynnym domem mody, co widać na ekranie. Ktoś mógłby pomyśleć, że człowiek, którego nazwisko od czterech dekad jest synonimem kina autorskiego, z racji wieku zaczyna tracić kontakt ze współczesnością. To nieprawda: zauważył powrót mody na jazdę na rolkach. Zamiast dalej przynudzać, powtórzę za mistrzem: „Za resztą stoi wuj Robert". ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JIM JARMUSCH
„FATHER, MOTHER, SISTER, BROTHER"
USA 2025

wyst. Tom Waits, Charlotte Rampling, Cate Blanchett

ŚMIECH ZOILA

Prawdziwy krytyk zbrodni się nie boi, czyli kolejny benefis Iana McKellena. Mając lat 83, angielski aktor zapragnął odpocząć od Marvela i Szekspira, wcielając się w pismaka cynika. Niby wiadomo, czym jest rozum pozbawiony serca, jednak Mr Erskine potrafi zaskoczyć. Ten zblazowany ateusz marzy o nieśmiertelności. Dekady recenzowania spektakli na łamach poczytnego szmatławca zryły mu banię tak bardzo, że przychodzi do pracy wstawiony i otwarcie sygnalizuje skłonność do mężczyzn (w roku 1934 wyjście z szafy skutkowało poważnymi kłopotami). Typowi pisane jest stać się sprawcą własnego upadku, lecz skądinąd wiemy, że diabeł łatwo swoich sług nie porzuca, a show-biznes z moralnością zawsze był na bakier. Nawet jeśli finał trochę rozczarowuje, to trzeba docenić brytyjski sznyt oraz wysiłki (daremne) adwersarzy McKellena. ©℗

sky SHOWTIME

★★★★☆☆

REŻ. ANAND TUCKER
„THE CRITIC"
WIELKA BRYTANIA 2023

wyst. Ian McKellen, Gemma Arterton, Mark Strong

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Europejscy mistrzowie

Z Europeum przy Placu Sikorskiego do gmachu głównego Muzeum Narodowego w Krakowie trafiły zbiory sztuki MNK ze Starego Kontynentu. Zostaną tam na dłużej, w otwartej w grudniu Galerii Sztuki Europejskiej.

Zwiedzanie rozpoczynamy od podziwiania zbiorów najnowszych, XX-wiecznych i z biegiem czasu cofamy się do coraz odleglejszej przeszłości, aż do wieku XIII.

Na końcu podróży, w miejscu zarezerwowanym dla najstarszych prac, czekają na nas hiszpańskie madonny, jedne z najcenniejszych i najbardziej spektakularnych dzieł z okresu sztuki romańskiej. Łącznie wyselekcjonowano ponad 100 prac. Nazwiska? Wymieńmy kilka. Od rzeźbiarzy: Antonio Canova, Gustav Vigeland, po malarzy: Paolo Veneziano, Lorenzo Lotto, Lavinia Fontana, Pieter Brueghel mł., Lucas Cranach mł., Luca Giordano, Mattia Preti, Élisabeth Vigée-Lebrun i Maurice de Vlaminck.

Swoje miejsce na wystawie znaleźli też darczyńcy, bez których ta kolekcja byłaby znacznie uboższa, o ile w ogóle by powstała. ©℗

FOT. KACPER TRZMIEL

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Krakowie*
KIEDY? *wystawa stała*

eprasa.pl b6d7b4f1ea

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zaklinanie, czarowanie

Jan Lechoń tak ją zdefiniował: „… była czarownicą, tylko inną, bardziej niebezpieczną, bo warzyła zioła z upajających zapachów, bo wabiła nie tylko uroczym smutkiem, ale nawet śmiechem. Bardzo dużo napisano o niej, ale wszystkim tym pochwałom czegoś brak: pisze się o niej, jak zawsze u nas, prawie jak o świętej. A to była czarownica. Rusałka, to też znaczy czarownica".

O Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej traktuje „Czarująca poetka", która zgodnie z deklaracją samej autorki nie jest biografią poetki, lecz „próbą opisania czarodziejskiej mocy Lilki w obu znaczeniach tego słowa, jej kobiecości i jej fascynacji zjawiskami nadnaturalnymi". A 100 lat temu triumfy święciły teozofia i okultyzm, seanse spirytystyczne, biała i czarna magia. Drugi mąż Marii, Jan Gwalbert Henryk Pawlikowski, podzielał te zainteresowania, do czasu wszak: „Też, tak jak ona, chciał poznawać świat i świat go ciekawił – czytamy – ale uznał, że u niej ciekawość przerodziła się w manię. Zmysłowy i pozazmysłowy świat w pełni poznać się przecież nie pozwala. Uparte próby kontaktu z tamtym światem, próby odkrycia jego tajemnic, były niebezpieczne i mogły zniszczyć psychikę. Jan Pawlikowski, czciciel natury, przyrody, dzikich ostępów tatrzańskich, czuł, że może się zarazić, jak człowiek zaraża się śmiertelną chorobą, »metafizyką, kabałą, razem ze wszystkimi przeklętymi szarlatanami«. Nie pozwalał dłużej »ćmić rozumu i wzroku«, zbuntował się przeciwko rytuałom związanym z przedmiotami przynoszącymi pecha, przeciwko wypowiadanym zaklęciom i zabobonom".

Pawlikowski, nazywany przez Kossaków Jasiem-Gwasiem, porzucił ją dla wiedeńskiej tancerki także z innych, jak się zdaje, powodów. Wspominając Lilkę, miał powiedzieć, że była ona świetną poetką, ale „trudno się było do niej dostać". Określenie to niekoniecznie odnosiło się do sfery umysłowej autorki „Niebieskich migdałów". Jej krótkotrwały kochanek, Witkacy, oceniał w liście do niej: „Nasze erotyczne (pożal się Boże) stosunki były nonsensem". Lilka uporczywie usiłowała potwierdzać, że wciąż jest kobietą atrakcyjną, wzbudzającą namiętności. Ale jej wielkie pragnienie, aby zostać matką, nigdy się nie spełniło.

FOT. NAC

Miała mężów (trzech), kochanków, adoratorów, nie tylko polskich, bo byli wśród nich Rumun Guido Della Scala czy portugalski lotnik i poeta Sarmento de Beires. Romansowała też, po rozstaniu z Pawlikowskim, z Marianem Steinsbergiem, księgarzem i wydawcą, trzecim mężem Mieczysławy Ćwiklińskiej. Był ponoć brzydki jak noc, ale czarujący i uroczy. Zmarł w warszawskim getcie, podobno z głodu.

Kiedy w 1926 r. ukazały się „Pocałunki", kuzynka Lilki, Zofia Kossak-Szczucka, znana i ceniona już wtedy pisarka, pytała: „Ciągle czekam na coś godnego jej wielkich zdolności, a cóż to jest? Prestidigitatorstwo, wytrząsanie z rękawa kolorowych piórek i dmuchanie na nie, żeby wiatr je poniósł, gdzie chce. A ona ma olbrzymi talent, po prostu olbrzymi; nawet trudno sobie wyobrazić, jak wielki i oryginalny. Po podwójnym biegu, bo maluje i pisze. Zupełnie niepospolicie obdarowana natura, że tak się marnuje. Ogromny talent Lilki Pawlikowskiej wisi w powietrzu jak storczyk i jak storczyk kwitnie ślicznie dla znawców, ale tylko tyle". Tylko? A „Pocałunki" wydał nie kto inny, jak Marian Steinsberg.

O miłości pisała tak pięknie jak żadna inna polska poetka. Z tym że najważniejszym mężczyzną jej życia, może nie do końca, pozostał… Wojciech Kossak: „Maria i Magdalena ojca nazywały »Królem Słońce« i nawet uważały, że żaden mężczyzna nie jest mu w stanie dorównać, być może dlatego tak trudno było im znaleźć idealnego męża. Nikt nie był taki jak Tatko. On też był z córek dumny i nimi zachwycony. Tego samego nie można powiedzieć o jego relacjach z synem".

Tak jak córki uwielbiały ojca, tak z pewną dozą lekceważenia odnosiły się do matki. Otrzeźwienie przyszło za późno. To ona była spoiwem łączącym tę niezwykłą rodzinę, której losy od lat tak zajmująco przedstawia Joanna Jurgała-Jureczka, że przypomnę w tym miejscu takie książki jak m.in.: „Kobiety Kossaków", „Kossakowie. Biały mazur", „Kossakowie. Tango", „Kossakowie. Wachlarz". Teraz otrzymaliśmy „Czarującą poetkę", którą warto zainteresować nasze dzieci i wnuki. Także po to, by dowiedziały się czegoś więcej o autorce pisującej dla Sanah. To naprawdę nie jest największy i najważniejszy tytuł do jej chwały. ©℗

★★★★★☆

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA „CZARUJĄCA POETKA. O MARII PAWLIKOWSKIEJ-JASNORZEWSKIEJ" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2025

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nawrócony

Jednorożec wśród noblistów, biały kruk wśród pisarzy: Jon Fosse nie dość, że wierzy, to jeszcze nawrócił się na katolicyzm. O czym opowiadać bardzo długo nie chciał. Bo skoro „Bóg istnieje w zupełnie inny sposób niż wszystko inne, co istnieje", to jak tu o tym rozprawiać? Szermierka na argumenty nie ma sensu, „trzeba coś przeżyć" – dopowiada Fosse. A czyni to w formie wywiadu rzeki, który przeprowadził z nim Eskil Skjeldal, co ciekawe – były pastor, który także przeszedł na katolicyzm.

Wiara jest kluczem do twórczości Fossego, a zarazem czyni go mało atrakcyjnym dla dzisiejszych komunikatorów, bo wiadomo przecież, w jaki sposób się o Bogu, a już na pewno Kościele katolickim pisze i mówi w przeważającej liczbie mediów. Warto porównać zainteresowanie, które wywołała nagroda dla południowokoreańskiej pisarki Han Kang. Wszyscy tak chętnie o niej pisali, choć za bardzo nie ma o czym. W przypadku Fossego było odwrotnie: po rutynowych informacjach, że nagrodę przyznano, jakiegoś wzmożenia krytycznego nie odnotowałem, choć mówimy o autorze, który wcześniej mocno obecny był na deskach polskich teatrów, a którego proza w ostatnich latach wydawana była regularnie.

Zostawmy to, wróćmy do wiary i literatury. Jako wprowadzenie w temat rekomenduję niewielką książeczkę, którą recenzowałem dwa lata temu („Do Rzeczy" nr 13/2024), czyli „Białość", gdzie odniesienia religijne są bardzo silne. To połączenie jest dziś w literaturze rzadkością, natomiast drogę, która wiodła Fossego do Jezusa znamy dobrze: to droga cierpienia i krzyża. Jak opowiada, wiarę odnalazł w najciemniejszych chwilach swego życia, gdy zdawało się, że nikt i nic nie może mu pomóc: samotny, w depresji, zapijający się na śmierć.

Kiedy ostatnio słyszeliśmy noblistę mówiącego: „Katolicka msza przynosi odpoczynek ciału i pokój duszy. Daje spokój"? Ciekawe pytanie, nieprawdaż? Jednocześnie akt wiary i akt pisania splatają się w opowieści Fossego, zamieniając w jedno: akt słuchania. Obecność Jezusa – mówi noblista – wyczuwał od kilku dekad, ale nie umiał tego dostrzec. Dziś jego opowieść zamienia się w wielką pochwałę mistyki, w której jest Wittgenstein i Mistrz Eckhart, i codzienna komunia. Tym razem, szanowni czytelnicy, gwiazdek dla opisywanej książki nie przyznam: Jak oceniać gwiazdkami nawrócenie? ©℗

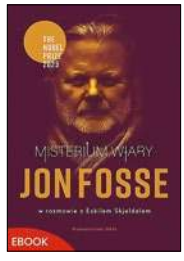

WESKIL SKJELDAL, JON FOSSE „MISTERIUM WIARY" WYDAWNICTWO WAM 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Chleb i nadzieja" mówi o emigracji sprzed 1939 r., tom „Fale i pokolenia" to rzecz o okresie od 1939 r. po czasy współczesne. Trzecia książka to prawdziwy skarb: przebogaty wybór źródeł „Polonia amerykańska o sobie". Warto.

AUTORZY RÓŻNI „HISTORIA POLONII AMERYKAŃSKIEJ", T. 1–3 PIW

Wznowienie jednej z najsłynniejszych powieści hiszpańskiego autora bestsellerów, na podstawie której Polański nakręcił „Dziewiąte wrota". Niby horror, a tak naprawdę pean ku czci miłości do książek i sztuki czytania.

ARTURO PEREZ-REVERTE „KLUB DUMAS" ARTRAGE

Nie chciał napisać autobiografii, bo musiałby powiedzieć złe rzeczy o zbyt wielu ludziach. Jego życie opisują zatem inni, choć książka O'Connella to nie tyle biografia, ile przegląd filmowego dorobku gwiazdy „Szklanej pułapki".

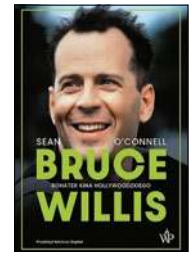

SEAN O'CONNELL „BRUCE WILLIS" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Absolwent angielskiej elitarnej szkoły prywatnej krytycznie o tradycyjnych metodach wychowania. Zatem „Stalky i S-ka" to nie jest, ale… Czy brytyjskie imperium nie miało się lepiej, gdy wychowywało Kiplingów, a nie Spencerów?

recenzuje Piotr Gociek

CHARLES SPENCER „SZKOŁA BARDZO PRYWATNA" CZARNE

KOMIKS TYGODNIA:
GED, CIEŃ I SMOK

Fred Fordham, artysta który adaptował na powieść graficzną m.in. „Wielkiego Gatsby'ego" czy „Nowy wspaniały świat", tym razem przedstawia komiksową wersję najsłynniejszej, obok „Władcy Pierścieni", powieści fantasy XX w. Powieść oryginalnie na polski przełożył Stanisław Barańczak, natomiast za tłumaczenie wersji Fordhama odpowiada Agnieszka Sylwanowicz.

Piotr Gociek

URSULA K. LE GUIN „CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2025

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Nawrocki w głównym nurcie

Łukasz Warzecha

Za prezydentury Andrzeja Dudy wyborcy sprzeciwiający się nieustającemu powiększaniu kompetencji państwa kosztem wolności obywateli wiedzieli doskonale, że nie mogą na niego liczyć. Mieli jednak nadzieję, że będą mogli liczyć na Karola Nawrockiego. Teraz zaczynają odczuwać rozczarowanie – a zapewne czekają ich kolejne

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Dla wielu wyborców Karola Nawrockiego największym jak dotąd zawodem było podpisanie przez niego pod koniec grudnia ustawy o zmianie niektórych ustaw w celu poprawy bezpieczeństwa ruchu drogowego, wprowadzającej drakońskie i bezzasadne kary dla kierowców. Ustawa penalizuje także – co brzmi już jak wyjęte wprost ze skeczu Monty Pythona – zgromadzenia ponad 10 pojazdów, których celem jest omawianie ich cech lub modyfikacji. Co prawda, wobec fali krytyki prezydent skierował raptem dwa zapisy ustawy do kontroli następczej Trybunału Konstytucyjnego, ale było to gaszenie pożaru wobec reakcji części jego własnych wyborców. TK jest dysfunkcjonalny, a wniosek nie dotyczył tego, co w ustawie najbardziej skandaliczne: kar pozbawienia wolności za przekroczenie prędkości bez spowodowania wypadku. (Skandalicznych i nadmiarowych kar jest w tej ustawie więcej, ale nie o niej jest ten tekst).

Wielu wyborców Nawrockiego uznawało zapewne, że weto jest tutaj oczywiste. Kto jednak uważniej obserwował nową głowę państwa przez prawie pięć miesięcy urzędowania, ten mógł już nie być taki pewien.

Te pięć miesięcy to wystarczająco wiele, aby wyłowić schemat działania, zauważyć, w jakich obszarach prezydent jest wyraźnie uczulony, a na jakie niespecjalnie zwraca uwagę. To wystarczająco wiele czasu, aby stwierdzić, że Karol Nawrocki nie będzie prezydentem łamiącym schematy, prawdziwie kontrrewolucyjnym – takim, jakim jest Donald Trump w USA czy – może to lepsze porównanie – Javier Milei w Argentynie. Obaj wspomniani politycy – pomijając różnice w kompetencjach, wynikające z odmiennych systemów politycznych – wybrali paradygmat rządzenia radykalnie zrywający z dotychczasowymi nawykami i praktykami. Owszem, w przeciwieństwie do Nawrockiego obaj byli wcześniej znaczącymi figurami w swoich środowiskach politycznych, ale to nie ma zasadniczego znaczenia.

Złudzenia dotyczące Nawrockiego nie były całkowicie bezpodstawne. W kampanii wyborczej kandydat PiS dobrze manewrował pomiędzy segmentami elektoratu bardziej etatystycznego, głosującego na PiS, a bardziej wolnościowego i liberalnego, głosującego na Mentzena czy Brauna. No i bez zawahania podpisał deklarację toruńską, czyli listę zobowiązań, którą w trakcie spotkania na żywo na swoim kanale na YouTube przedstawił mu Sławomir Mentzen. Również sam początek urzędowania mógł tworzyć złudne wrażenie, że będziemy mieli do czynienia z politykiem zdecydowanie zrywającym ze schematami, w tym dotyczącymi akceptowania lub odrzucania ustaw. Szczególnie że naprzeciwko miał nowy prezydent nieprzychylny rząd, a jego wyborcy bynajmniej nie oczekiwali, że będzie podpisywał spływające z Sejmu ustawy – raczej przeciwnie.

Te daleko posunięte oczekiwania były także odbiciem rozczarowania Andrzejem Dudą, który bez zawahania podpisywał dziesiątki ustaw absurdalnych i szkodliwych. I to nawet wtedy, gdy miał już do czynienia z rządem Tuska. Dzisiaj Duda w rozmowie z krakowskim portalem krytykuje strefę czystego transportu, a przecież jako prezydent trzykrotnie podpisywał ustawy, zawierające najpierw możliwość tworzenia SCT, potem rozszerzenie tego uprawnienia na praktycznie wszystkie gminy – to jeszcze za PiS – a w końcu obowiązek ich tworzenia przy przekroczeniu stężenia NO_2 – to już za Tuska – co było odbiciem jednego z kamieni milowych, za co odpowiadał Mateusz Morawiecki. Z kolei w programie Bogdana Rymanowskiego były prezydent skompromitował się dokumentnie, oznajmiając, że

eprasa.pl b6d7b4f1ea

podpisał idiotyczną nowelizację Kodeksu pracy, wprowadzającą wymóg publikowania ogłoszeń o pracę neutralnych płciowo – za rządu KO – bo uznał, że i tak za dużo blokował. Za prezydentury Dudy wyborcy sprzeciwiający się nieustającemu powiększaniu kompetencji państwa kosztem wolności obywateli wiedzieli doskonale, że nie mogą na niego liczyć. Mieli jednak nadzieję, że będą mogli liczyć na Karola Nawrockiego. Teraz zaczynają odczuwać rozczarowanie – a zapewne czekają ich kolejne.

Prezydent dotychczas podpisał 144 ustawy, a zawetował 23. Zatem spośród otrzymanych ustaw podpisał blisko 87 proc. Trudno to nazwać masowym wetowaniem, nawet jeżeli liczba zawetowanych ustaw jest znacząco wyższa niż w przypadku poprzedników. Trzeba też jednak pamiętać, że poza częścią prezydentury Lecha Kaczyńskiego (lata 2007–2010) i żałosną końcówką prezydentury Dudy żaden z poprzedników nie działał z tak jednoznacznie wrogim sobie rządem i w sytuacji tak radykalnego podziału. To ułatwia wetowanie.

Weta Karola Nawrockiego można podzielić na trzy grupy. Pierwsza to sprzeciw wynikający z partyjnej konfiguracji, często niedostrzegany przez opinię publiczną, bo dotyczący nierzadko spraw z punktu widzenia zwykłego wyborcy trzeciorzędnych. Kto np. wie, że prezydent zawetował w listopadzie ustawę zmieniającą m.in. Kodeks spółek handlowych oraz Ustawę o Krajowym Rejestrze Karnym? Uzasadnienie brzmiało: „Zdaniem Prezydenta RP, regulacje wprowadzają możliwość uchylenia lub skrócenia zakazu pełnienia funkcji w organach spółek przez osoby skazane za określone przestępstwa. Rozwiązanie to w praktyce znacząco podwyższa ryzyko, że do organów spółek powrócą osoby, które prawomocnie dopuściły się naruszeń prawa". Tłumacząc na ludzki język, Karol Nawrocki chciał utrudnić koalicji obsadzanie w organach spółek Skarbu Państwa ludzi z przeciwnego obozu politycznego, którzy mogą mieć na kontach wyroki. Rzecz dla obywateli bez praktycznego znaczenia, ważna jedynie w logice wojny PiS z KO.

Druga grupa to weta wymuszone przyjętymi wprost zobowiązaniami, w tym deklaracją toruńską. Do takich można zaliczyć weto do ustawy o kryptoaktywach, wobec podwyższenia opłaty cukrowej i akcyzy na alkohol, a także weto do implementacji unijnego aktu o usługach cyfrowych. Przy okazji te weta należą i do pierwszej grupy.

Trzecia grupa to weta, które zostały spowodowane aktywnością doradców, ważnych polityków czy przedstawicieli branż. Tak było z wetem do ustawy zmieniającej Prawo o ruchu drogowym i kilka innych ustaw. Prezydent przywoływał negatywny wpływ na rynek lokalnych przewozów autobusowych. Był to skutek wpływu społecznego doradcy głowy państwa, byłego głównego inspektora transportu drogowego Alvina Gajadhura, a także spotkania w tej sprawie z udziałem reprezentantów branży transportowej i zainteresowanych posłów, w tym zaangażowanej w te kwestie Pauliny Matysiak.

Dlaczego w żadnej z tych grup nie znalazła się wspomniana na początku ustawa, wprowadzająca drastyczne kary dla kierowców, albo dlaczego na początku prezydentury Karol Nawrocki zawetował akurat sensowną zmianę, rozluźniającą nieco absurdy wynikające z „lex Kamilek" – pomysłu PiS? Odpowiedź jest prosta: Karol Nawrocki sam nie czuje problematyki wolnościowej, także gdy idzie o gospodarkę, na której kompletnie się nie zna, a w jego otoczeniu nie ma nikogo, kto by go w tej sprawie pilotował. Własne kompetencje nowego prezydenta dotyczą głównie polityki historycznej. Karol Nawrocki w swojej karierze nie miał nigdy do czynienia z biznesem, makroekonomią, a tym bardziej nie zajmował się problematyką relacji między państwem o obywatelem. To samo w sobie nie jest zarzutem, bo te braki zawsze mogą uzupełnić współpracownicy.

Jednak i tutaj jest kłopot. Gdy kształtowała się Kancelaria Prezydenta, pojawiały się pytania, ilu znajdzie się w niej przedstawicieli środowisk, które można uznać za wolnościowe. Nie znalazł się nikt. Wśród ministrów są tylko dwie grupy: ci delegowani przez etatystyczno-socjalistyczny PiS z Boguckim i Szefernakerem na czele oraz ci ze środowiska IPN, tacy jak Agnieszka Jędrzak, Mateusz Kotecki czy rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz.

NA WYDEPTANEJ ŚCIEŻCE

Wśród doradców – zarówno etatowych, jak i społecznych – próżno szukać przedstawicieli środowisk liberalnych ekonomicznie czy wolnościowych. Owszem, są wśród nich ekonomiści albo osoby mające doświadczenia w świecie finansów, tacy jak Paweł Gruza, Piotr Głowacki czy Leszek Skiba. Wszystko to są jednak ludzie, by tak rzec, z głównego nurtu, a więc myślący w kategoriach utrwalonego porządku. Nie ma w tym gronie nikogo z Centrum im. Adama Smitha, Warsaw Enterprise Institute czy Instytutu im. Ludwiga von Misesa – najważniejszych polskich liberalnych (w klasycznym tego słowa znaczeniu) think tanków. Wszystkie te środowiska – to ważne – zajmują się nie tylko gospodarką i ekonomią, lecz także szeroko pojętą problematyką wolności obywatelskiej.

Wniosek nie jest optymistyczny. Można założyć, że gdy w przyszłości do prezydenta będą trafiać kolejne antywolnościowe regulacje, niepodpadające pod którąś z opisanych wyżej trzech kategorii wet, głowa państwa podejdzie do nich sztampowo – podpisze, bo nie ma w „dużym pałacu" nikogo, kto mógłby w takiej sytuacji bić na alarm. Mało tego: brak w kierownictwie kancelarii i wśród doradców choćby jednej osoby o wyraziście wolnościowych poglądach oznacza, że tego typu środowiska z zewnątrz nie mają w otoczeniu Karola Nawrockiego nikogo, kto uchyliłby im drzwi do prezydenckiego gabinetu i pozwoliłby choćby regularnie prezentować własne stanowisko.

Pamiętać przy tym trzeba, że i tak w tej chwili sytuacja jest dla prezydenta relatywnie wygodna. Co jednak działoby się w sytuacji, gdyby naprzeciw był nie rząd Tuska, ale kolejny gabinet pod kierownictwem polityka PiS? Czy również wówczas Karol Nawrocki wetowałby podwyżki podatków, do czego przecież wyraźnie się zobowiązał? A przecież jedną z nich – podwyżkę CIT dla banków – podpisał, choć jasne jest, że jak każda podwyżka obciążeń dla firm, tak i ta zostanie przerzucona na klientów.

Powie ktoś, że nie należy się uprzedzać i że to przecież dopiero początek prezydentury. To prawda, ale jeżeli w jakimś momencie jest szansa na odejście od schematów, to tylko na początku. Doświadczenie polityczne pokazuje, że o ile dana osoba na wstępie nie zerwie z nawykami i nie zejdzie z wydeptanej ścieżki – tak jak to zrobił od razu po objęciu urzędu Javier Milei – to nie zrobi tego już nigdy. Wręcz przeciwnie – im dłużej będzie sprawować urząd, tym bardziej będzie skłonna dostosowywać się do „realiów" i oczekiwań głównego nurtu. Niestety, wydaje się, że na tę drogę wszedł właśnie Karol Nawrocki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Łukasz Zawadzki

Powrót sędziowskiej oligarchii?

FOT. ADOBE STOCK

Środowisko elit Iustitii oraz Themis i powielający ich postawę politycy są hipokrytami: kwestionują organy władzy publicznej i orzeczenia sądów tylko wtedy, gdy nie odpowiadają ich wyobrażeniom

W przededniu Wigilii świąt Bożego Narodzenia rząd przyjął projekty ustaw, procedowanych w Ministerstwie Sprawiedliwości od kilkunastu miesięcy: pierwsza – dotyczy statusu sędziów, powołanych po roku 2017 przez Andrzeja Dudę oraz Karola Nawrockiego, a druga – obsadzania członków sędziowskiego korpusu Krajowej Rady Sądownictwa. Wobec oczywistej kolizji z konstytucją – żadna z nich nie zostanie w tym kształcie podpisana przez głowę państwa, stanowiąc jedynie próbę zaspokojenia ambicji kastowych elit sędziowskich stowarzyszeń Iustitia i Themis.

O tym, że sędziowie są nadzwyczajną kastą, podczas Kongresu Sędziów Polskich wypowiedziała się przed niemal dekadą sędzia Irena Kamińska – w przeszłości szefowa obu wyżej wymienionych stowarzyszeń. Ich wierchuszka po 13 grudnia 2023 r. wsparła przejmowanie stanowisk kierowniczych w wymiarze sprawiedliwości: począwszy od ministra i wiceministra sprawiedliwości (Waldemar Żurek, Dariusz Mazur), a skończywszy na funkcyjnych w sądach powszechnych – od odwoływanych przed upływem kadencji prezesów sądów – w oparciu o wyimaginowane zarzuty o udziale w wadliwych rzekomo konkursach na stanowiska sędziowskie – po kierowników sekcji.

O politycznych ambicjach tej grupy świadczy też powierzenie przez Adama Bodnara sędziemu Krystianowi Markiewiczowi – do niedawna prezesowi Iustitii – szefostwa Komisji Kodyfikacyjnej Ustroju Sądów i Prokuratury. Ten właśnie sędzia zasłynął wypowiedzią o tym, że to aktywność kierowanego przezeń stowarzyszenia doprowadziła do wyniesienia na forum europejskie hasła: „pieniądze za praworządność". O tym, że był to szantaż polityczny, przesądził przebieg zdarzeń: po utracie władzy przez poprzednią większość parlamentarną nie zmieniły się ani na jotę zapisy w kwestionowanych przez Iustitię ustawach, a mimo to rozpoczęto wypłatę środków z Krajowego Planu Odbudowy.

BEZ DEMOKRATYCZNEGO NADZORU

Środowiska Iustitii i Themis negują status polskich sędziów, powoływanych po roku 2017. Skąd ta cezura temporalna? Otóż w grudniu 2017 r. znowelizowano ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa, tj. konstytucyjnym organie, który przedstawia prezydentowi kandydatów do powołania na urząd sędziego. W efekcie sędziowską część KRS wybiera Sejm, przy czym prawo skonstruowano w taki sposób, aby w obsadzie stanowisk uwzględnione zostały wszystkie siły polityczne – w tym opozycyjne. Model ten realizuje konstytucyjną zasadę demokratycznego państwa prawa, wprowadzając – choć pośrednio – kontrolę suwerena nad władzą sądowniczą. Tymczasem do roku 2018 wybór sędziów do KRS miał charakter oligarchiczny – środowisko sędziowskie pozbawione było jakiegokolwiek demokratycznego nadzoru, co w oczywisty sposób nie tylko godziło w regułę państwa prawa, lecz także stało w kolizji ze sposobem demokratycznego przecież wyłaniania władzy ustawodawczej oraz wykonawczej. Paradoks historii polega i na tym, że większość parlamentarna Zjednoczonej Prawicy w 2017 r. zrealizowała postulat… opozycyjnej w tym czasie Platformy Obywatelskiej, wyartykułowany w jej dokumencie programowym „Głęboka przebudowa państwa" z 2005 r., współtworzonym przez Bronisława Komorowskiego, Ewę Kopacz, Bogdana Zdrojewskiego, Adama Szejnfelda, Stanisława Gawłowskiego.

Ustawy, przyjęte przez rząd 23 grudnia 2025 r., z jednej strony proponują powrót do oligarchicznego sposobu wyboru sędziów do KRS – co wyprowadza władzę sądowniczą spod demokratycznej kontroli suwerena, a z drugiej – podważają prezydencką prerogatywę w procedurze sędziowskich nominacji. Zgodnie z konstytucją sędziowie są nieodwoływalni, a pozbawić ich urzędu można tylko w drodze zindywidualizowanego postępowania dyscyplinarnego. Tymczasem projekt ustawy tzw. praworządnościowej (sic!) aktem generalnym i w oparciu o arbitralne, dyskryminujące kryterium daty powołania na urząd sędziowski dzieli sędziów wedle woli politycznego „widzimisię". Nie tylko bowiem ustawodawca albo minister sprawiedliwości, lecz także nawet sam

eprasa.pl b6d7b4f1ea

prezydent w świetle konstytucji nie są uprawnieni do odwołania lub pozbawienia urzędu sędziego – a do tego sprowadza się mityczna bodnarowsko-żurkowa tzw. weryfikacja (zakwestionowana nawet przez Komisję Wenecką). Zamierza się bowiem usuwać sędziów z zawodu w ogóle (grupa czerwona – osoby, które weszły do służby z innych zawodów prawniczych) albo z obecnie zajmowanych stanowisk (grupa żółta – sędziowie awansowani do sądów wyższego rzędu po roku 2017).

Oczywisty brak konsekwencji – wedle reguł logiki formalnej – dotyczy grupy zielonej: chodzi o sędziów, którzy rozpoczynając szkolenie w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury, rzekomo – zdaniem Waldemara Żurka – nie mieli innej drogi dojścia do stanowiska sędziowskiego niż poprzez „upolityczniona" KRS. Jest to oczywiste łgarstwo, gdyż zdający po 2017 r. egzaminy wstępne do krakowskiej szkoły sędziów – dorośli już ludzie i magistrowie prawa – doskonale wiedzieli, że przyjdzie im stanąć przed tak, a nie inaczej ukształtowaną Krajową Radą Sądownictwa. Wbrew nadto politycznej narracji – i ta grupa sędziów podlega weryfikacji, ale z mocy prawa pozytywnej – w przeciwieństwie do grupy czerwonej oraz żółtej (te trzy kolorowe kategorie to tzw. neosędziowie – co jest określeniem deprecjonującym i pozaprawnym).

Zadziwiające w tym wszystkim pozostaje i to, że według ministerialnych założeń wprawdzie nominacje sędziowskie po roku 2017 są wadliwe, ale decyzje procesowe powołanych wówczas sędziów… pozostają jako niewadliwe w tzw. obrocie prawnym. Jak wskazano – logika formalna nie jest mocną stroną obu – od 13 grudnia 2023 r. – ministrów sprawiedliwości, a także wyżej wymienionej Komisji Kodyfikacyjnej sędziego Krystiana Markiewicza – jej autorstwa są bowiem oba projekty. Nie może być inaczej, skoro tzw. neosędziowie wydawali korzystne dla osobistych finansów wyroki w sprawach sędziowskich aktywistów, jak Waldemar Żurek czy Piotr Gąciarek, oraz w prywatnych sprawach niektórych polityków rządzącej koalicji – bez ich sprzeciwów. Tym oto sposobem sojusz elity sędziowsko-politycznej (Waldemar Żurek – dawniej Themis, Dariusz Mazur z Themis, Krystian Markiewicz z Iustitii) próbuje unicestwić atrybut niezawisłości

Polska nie oddała Unii Europejskiej uprawnienia do kształtowania ustroju sądownictwa

sędziowskiej (nieodwołalność), podporządkowując władzę sądowniczą władzy politycznej (uzależnienie pozostawania na stanowisku od woli aktualnej lub przyszłej większości parlamentarnej), co prowadzi do likwidacji trójpodziału władzy – ku realizacji zasady jedności władzy państwowej, znanej systemom reżimowym. Nie sposób nie podzielić zatem stanowiska o panującej w Polsce kryptodyktaturze, skoro stosunek władzy wykonawczej do władzy sądowniczej nie jest uzależniony od tego, czy ta ostatnia realizuje normę prawną, ale od tego, czy urzeczywistnia wolę polityków: ten sam sędzia Dariusz Łubowski, wychwalany przez Waldemara Żurka przed dwoma miesiącami za odmowę wydania ukraińskiego nurka do Niemiec, został skandalicznie napiętnowany publicznie przez ministra sprawiedliwości po jego orzeczeniu w sprawie Marcina Romanowskiego.

CO JEST ŹRÓDŁEM PRAWA?

Środowisko elit Iustitii oraz Themis i powielający ich postawę politycy są zatem hipokrytami: kwestionują organy władzy publicznej i orzeczenia sądów tylko wtedy, gdy nie odpowiadają ich wyobrażeniom, a obrazu zafałszowania dopełnia stosunek do Trybunału Konstytucyjnego. Nie słyszano bowiem o tym, aby któryś z sędziów odmówił przyjęcia wyrównania płacy za rok 2023, gdy TK uznał za sprzeczne z ustawą zasadniczą mrożenie wynagrodzeń sędziowskich przez poprzednią, prawicową większość parlamentarną. Nie przeszkadza to przedstawicielom władzy politycznej – z częścią życiorysów w którymś z wyżej wymienionych stowarzyszeń albo nawet w obu – w kwestionowaniu polskiego sądu konstytucyjnego, który 2 grudnia 2025 r. podważył zasadność pełnej jawności oświadczeń majątkowych sędziów. Regułę ich internetowej publikacji wprowadziła Zjednoczona Prawica, a wobec rzekomego nieistnienia Trybunału Konstytucyjnego należy spodziewać się, że sędziowie Dariusz Mazur, Krystian Markiewicz czy Piotr Gąciarek będą konsekwentni i swoje oświadczenia majątkowe udostępnią suwerenowi w Internecie. Oczywiście gdy wiosną 2026 r. zakończy się kadencja KRS – w tym samym trybie, co po 2017 r., zwolnione stanowiska obsadzi – dzięki sejmowej większości – awangarda Iustitii i Themis. Skala hipokryzji zostanie wyczerpana, choć na uzupełnienie oczekują wakujące etaty w Trybunale Konstytucyjnym. Bez obaw – i on zostanie uzdrowiony, bo leczą… swoi medycy.

Elity Iustitii i Themis sprzeniewierzyły się własnej tożsamości, wynikającej ze statusu polskiego funkcjonariusza publicznego oraz roty sędziowskiego ślubowania wierności polskiemu prawu. Poszukują i znajdują one sojusznika w Europejskim Trybunale Praw Człowieka oraz Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Decyzje tych ostatnich nie są źródłami prawa i nie posiadają prymatu wobec konstytucji – o czym przesądza ona sama, jak i orzecznictwo TK (słynne wyroki z 11 maja 2005 r., a w składzie m.in.: Marek Safjan, Ewa Łętowska, Jerzy Stępień i z 16 listopada 2011 r. z przewodniczącym składu Andrzejem Rzeplińskim). Tymczasem oba wyżej wymienione trybunały podważają od lat status polskich sądów (ale już nie sędziów – czego niestety wielu aktywistów wyżej wymienionych stowarzyszeń nie odróżnia, co dowodzi ich ignorancji, ale i przesądza o tym, że wypowiedzi swoich europejskich idoli po prostu nie czytali); co więcej – wyżej wymienione trybunały czynią to poza zakresem własnych kompetencji.

Polska nie oddała Unii Europejskiej uprawnienia do kształtowania ustroju sądownictwa – a tylko w zakresie kompetencji powierzonych UE może wypowiadać się TSUE – zgodnie z podstawami w umowach międzynarodowych. Z kolei legitymację ETPC do wypowiadania się o polskim sądownictwie zanegował Trybunał Konstytucyjny, do czego jest przecież uprawniony samą ustawą zasadniczą (tj. badania zgodności z konstytucją umów międzynarodowych – w tym Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, w oparciu o którą ETPC ustanowiono).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest sędzią Sądu Okręgowego w Opolu, członkiem Stowarzyszenia „Prawnicy dla Polski".

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Wielokulturowość Polskę wykończy

Filip Memches

Dzięki przesunięciu granic państwa polskiego w kierunku zachodnim Polacy odnieśli wielkie korzyści. Zniknęły konflikty na tle etnicznym. To osiągnięcie jest warte obrony

Demonstracja „antyfaszystowska" w Poznaniu, 16 sierpnia 2025 r.
FOT. ŁUKASZ WÓJCIK/REPORTER

Szczucie na osoby, które przybyły do Polski z Ukrainy, uciekając przed wywołaną przez Rosję pełnoskalową wojną – zwłaszcza chodzi o kobiety i dzieci – jest zarówno nieprzyzwoite, jak i niemądre. Ale nie oznacza to, że masowa imigracja i jej efekty mają stanowić temat tabu. Napływ Ukraińców oraz innych cudzoziemców zmienia polską substancję społeczną i nie jest to zjawisko dla rdzennych Polaków obojętne.

Tuż po tym, gdy Rosja zaczęła bombardować ukraińskie miasta, Piotr Gabryel na portalu DoRzeczy.pl opublikował felieton (31 marca 2022 r.), w którym wysunął przypuszczenie, że zalanie Polski ludnością ukraińską – niosące olbrzymie obciążenie dla budżetu państwa polskiego – mogło być dodatkowym zamiarem Władimira Putina ze wszelkimi tego konsekwencjami.

To śmiała i daleko idąca myśl. Od jej sformułowania minęły blisko cztery lata. Warto do niej wrócić, lecz tym razem rozważyć ją nie tyle pod kątem ekonomicznym, ile w szerokim kontekście cywilizacyjnym i historycznym.

Przypomnijmy, późną zimą roku 2022 przybywający do Polski Ukraińcy spotkali się z gościnnym, entuzjastycznym przyjęciem ze strony gospodarzy. Polskie domy otwierały się przed ludźmi, których traktowano po prostu jako uchodźców wojennych. Ale zjawisko to nie sprowadzało się wyłącznie do niesienia pomocy humanitarnej. Pojawienie się w Polsce ogromnej liczby Ukraińców ożywiło debatę publiczną na temat stosunków polsko-ukraińskich. W niej zaś do głosu doszli wizjonerzy marzący o wspólnym polsko-ukraińskim państwie przyszłości. Dyskutowano o tym, czy możliwe byłoby przekształcenie polsko-ukraińskiego sąsiedztwa w coś, co bywa określane jako federacja.

Warto przytoczyć słowa Andrzeja Zybertowicza z wywiadu, którego w tamtym czasie udzielił „Gazecie Pomorskiej". Znany socjolog – kojarzony przecież, co należy podkreślić, z prawicą – powiedział m.in.: „Zastanawiam się, czy koncepcja jakiejś unii polsko-ukraińskiej albo Rzeczypospolitej wielu narodów nie mogłaby być wspaniałą przygodą dla pokolenia młodych ludzi".

Tego rodzaju fantastyczne pomysły oddawały klimat, który zapanował w Polsce. Znamienne, że dawał on o sobie znać w kręgach prawicowych. Zaistniała sytuacja okazała się bowiem szansą dla tej części prawicy, która odwołuje się do politycznego dziedzictwa Józefa Piłsudskiego, w tym do mitu jagiellońskiego. Oto kłaniając się Ukrainie i Ukraińcom, można było zademonstrować, że się nie ma nic wspólnego z postponowanym przez lewicowe i liberalne środowiska opiniotwórcze polskim nacjonalizmem, bo pojmuje się Polskę inkluzywnie – jako kraj, którym była kiedyś, czyli obszar zamieszkiwany przez wiele etnosów. A nie ma to, jak zyskać uznanie na salonach – gdzie wyznaczane są kanony tego, co politycznie dopuszczalne i pożądane.

Ale, rzecz jasna, marzenie o Rzeczypospolitej wielu narodów zawiera również wątki imperialne. Państwo polskie za królowania dynastii Jagiellonów, przyłączając do siebie, w unii z Litwą, olbrzymią część ziem ruskich – w tym tych należących dziś do Ukrainy – stało się europejską potęgą.

Tyle że Rzeczpospolita wielu etnosów nie przetrwała próby czasu. A jednym z powodów, dlaczego tak się stało, okazał się właśnie jej wielokulturowy charakter. Owszem, przedrozbiorową Polskę rozdzierały konflikty wewnętrzne, których podłożem były antagonizmy dzielące poszczególne warstwy społeczne. Ale nie można też pomijać wielokulturowości jako czynnika sprzyjającego tendencjom odśrodkowym.

W polskich dyskusjach o imigracji często pada stwierdzenie, że Polska jest w innej sytuacji niż te chrześcijańskie czy – precyzyjniej rzecz ujmując – postchrześcijańskie kraje Zachodu, które się stały miejscem osiedlania się ludności muzułmańskiej spoza Europy. W nich bowiem nastąpiło zderzenie nieprzystających do siebie cywilizacji. Tymczasem Polacy i Ukraińcy są sobie cywilizacyjnie bliscy. Czy jednak na pewno?

RÓŻNICE MIĘDZY CYWILIZACJAMI

Ukraina jest wyjątkowym podmiotem politycznym na tle przytłaczającej większości innych państw dawnego Związku Sowieckiego (Litwę, Łotwę, Estonię pomińmy, one w ramach ZSRS zachowywały zawsze nieformalną odrębność). Mimo że ukraińską demokrację cechują różne patologie, to jednak – inaczej niż w przy-

eprasa.pl b6d7b4f1ea

padku systemów funkcjonujących w Rosji czy na Białorusi – nie można jej odmówić tego, że zawiera przestrzeń dla realnego pluralizmu partyjnego i rozmaitych swobód obywatelskich. To poniekąd spadek po polskiej demokracji szlacheckiej na ziemiach ruskich. Tyle że ta jednak miała ciemną stronę – warcholstwo. I od roku 1991 nieraz dawało ono o sobie znać również w polityce nowo utworzonego państwa ukraińskiego. A polityczne kryzysy nad Dnieprem wykorzystywali propagandowo Rosjanie, głosząc wszem wobec, że Ukraińcy nie są zdolni rządzić sami sobą (te przekazy dnia stanowiły niemal kopię XVIII-wiecznej narracji rosyjskiej dotyczącej ówczesnej Rzeczypospolitej).

Ale to tylko jedna strona medalu. Drugą jest fakt uwierający tych uczestników polskiej debaty publicznej, którzy się kierują wobec narodu ukraińskiego poprawnością polityczną. Trzeba jasno powiedzieć: Ukraińcom pod znacząco wieloma względami – choć nie pod każdym – mentalnie bliżej do Rosjan niż do Polaków. Mamy tu do czynienia z dwoma wschodniosłowiańskimi narodami o wspólnych – ruskich – korzeniach. I nie chodzi tylko o tożsamość kulturową kształtowaną przez wschodnie obrządki chrześcijaństwa i cyrylicę. Do roku 1991, czyli całkiem do niedawna, Ukraińcy i Rosjanie stanowili zbiorowość jednego państwa – Związku Sowieckiego. To, że wśród zamieszkującej Polskę diaspory ukraińskiej często słychać język rosyjski, jest czymś bardzo wymownym.

I tu trzeba poruszyć kwestię różnic cywilizacyjnych między Polakami a Ukraińcami. Zdaniem żyjącego na przełomie wieków XIX i XX historyka Feliksa Konecznego ekspansja I Rzeczypospolitej w kierunku wschodnim doprowadziła do zderzenia między cywilizacjami. Kozacy – przodkowie współczesnych Ukraińców – należeli bowiem do innego niż szlachta polska porządku cywilizacyjnego – tego, który był pozostałością po najazdach barbarzyńców z Wielkiego Stepu, a nie konsekwencją oddziaływania łacińskiego Rzymu na Europę. Mimo że Kresy zapełniły się barokowymi świątyniami katolickimi, to jednocześnie nastąpiła orientalizacja Polski, co przejawiło się w sarmatyzmie. Ten nurt kulturowy oddalał mentalnie Polaków od zachodniej

Ukraińcom pod znacząco wieloma względami mentalnie bliżej do Rosjan niż do Polaków

części Europy (widomy znak tej osobności stanowiły kontusze).

Koneczny zaliczał i Kozaków, i Rosjan do cywilizacji turańskiej. Narodziła się ona wśród plemion Wielkiego Stepu i w rezultacie podbojów mongolskich objęła sobą wschodnie rubieże Europy. W ramach tej cywilizacji kluczowym kodem komunikacyjnym jest przemoc. Etyka, prawo i religia nie znaczą nic lub są politycznie instrumentalizowane, filarem porządku cywilizacyjnego pozostaje zaś dyscyplina wojskowa, upodabniająca społeczeństwo do armii, na której czele stoi wódz. W społeczności kozackiej kimś takim był ataman.

Niemniej Koneczny także dostrzegał, że Kozacy tworzyli społeczność wolnych wojowników. Był to model polityczny, który jednak stanowił zaprzeczenie rosyjskiego despotyzmu państwowego. Biorąc to pod uwagę, łatwiej jest zrozumieć współczesne ukraińskie aspiracje niepodległościowe i suwerennościowe względem Rosji.

Z wywodów Konecznego można wywnioskować, że Polska, odwracając się od Zachodu w kierunku wschodnim, narobiła sobie kłopotów, które doprowadziły ją do katastrofy. Kresy stały się dla niej obciążeniem jako teren konfliktogenny i źródło kultury politycznej osłabiającej królestwo.

Niewypałem też okazało się polsko-ukraińskie współistnienie w ramach jednego państwa, którym była II Rzeczpospolita. Państwo polskie, podejmując wobec mniejszości ukraińskiej wysiłki asymilacyjne, dopuszczało się wobec niej działań represyjnych. Tymczasem dążenia niepodległościowe Ukraińców przybrały formę terroryzmu, a potem – po wybuchu drugiej wojny światowej – kolaboracji z III Rzeszą. W efekcie polska ludność Wołynia padła ofiarą okrutnego masowego mordu popełnionego przez ukraińskich nacjonalistów.

To oczywiście przeszłość, od której obecna sytuacja się różni. Niemniej jeśli pada argument, że Polaków dzielą z Rosjanami różnice cywilizacyjne, to nie wolno przemilczać i tego, że Polacy różnią się pod względem cywilizacyjnym także od Ukraińców.

ZACHOWAĆ BUFOR NA WSCHODZIE

Przypuszczenie, że Polska wielokulturowa byłaby ziszczeniem planu Putina, znajduje zatem jak najbardziej uzasadnienie. Rzecz jasna, tak jest przy założeniu, że – co należy mocno podkreślić – chodziłoby o takie warunki, w których państwo polskie nie wymagałoby od Ukraińców asymilacji. Dla Kremla ważne jest podsycanie waśni polsko-ukraińskich. Jeśli stają się one czynnikiem wewnętrznie destabilizującym państwo polskie, to Putinowi w to graj (włącznie z traktowaniem Ukraińców w Polsce jako potencjalnie zasobów ludzkich do użycia we wrogich działaniach „hybrydowych").

Ktoś może zaoponować, że Polska jest w zapaści demograficznej, więc potrzebuje imigrantów jako rąk do pracy. Tyle że ściąganie pracowników z Ukrainy, nie mówiąc już o pozaeuropejskich krajach egzotycznych, niesie ze sobą inne bolączki, o których mowa wyżej. Dlatego potrzeba nie masowej imigracji, lecz tego, żeby znacząco wzrosła dzietność rdzennych mieszkańców Polski.

Z dzisiejszej perspektywy widać, jak wielkie korzyści Polacy odnieśli dzięki przesunięciu granic w kierunku zachodnim po drugiej wojnie światowej (i to nie za sprawą komunizmu, a pomimo niego). Oczywiście Polska poniosła gigantyczne straty ludzkie, materialne, terytorialne – temu zaprzeczać nie sposób. Niemniej stała się zarazem państwem jednolitym kulturowo, dla którego problem konfliktów na tle etnicznym zniknął. Tak więc to, co bywa nazywane Polską piastowską, a co wyszydzają odgrzewający mit jagielloński nadwiślańscy piewcy wielokulturowości, jest warte obrony.

Natomiast Ukraińcy są potrzebni na Ukrainie. Bez nich ona jako państwo niepodległe i suwerenne nie przetrwa. A przecież polskie elity polityczne, powołując się – świadomie lub nieświadomie – na doktrynę Jerzego Giedroycia, słusznie chcą, żeby Ukraina pozostała buforem oddzielającym Polskę od Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Liberalny skręt papieża

Paweł Chmielewski

Papieży można poznać po ich nominacjach biskupich. W przypadku Leona XIV wyraźna jest pełna kontynuacja z poprzednikiem. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych oznacza to silne wzmocnienie kościelnej lewicy

Od czasów Soboru Watykańskiego II światowy episkopat – tak jak cały Kościół – dzieli się na dwie zasadnicze frakcje: konserwatystów i liberałów. Odcienie są oczywiście różne, ale chodzi o pewne fundamentalne ukierunkowanie. Stanowisko zajmowane w sporach wewnątrzkościelnych ma też odniesienie do świata polityki. Biskupi konserwatywni w sprawach doktryny czy liturgii chętniej wspierają prawicę, podczas gdy postępowcy – lewicę. W Polsce ten podział jest ewidentny od lat. Dzięki Leonowi dość istotnie umocniona została bardziej progresywna część Kościoła. W jednym z poprzednich wydań tygodnika „Do Rzeczy" (nr 50/2025) opisywałem sylwetkę kard. Grzegorza Rysia, nowego metropolity Krakowa. Chociaż pod pewnymi względami konserwatywny, to hierarcha co do zasady sytuuje się w kościelnym milieu bliskim „Tygodnikowi Powszechnemu" i „Więzi". Politycznie, jak pokazał choćby spór o migrantów – po przeciwnej stronie niż „prawe skrzydło" PiS czy obie Konfederacje. Wszystkie znane mi środowiska lewicowe są zachwycone tą nominacją Leona XIV. Mają nadzieję, że uda im się wykorzystać kard. Grzegorza Rysia do tego, by przepchnąć swoje postulaty – w dobie sekularyzacji przecież bardzo atrakcyjne dla społeczeństwa. Nowy arcybiskup krakowski najpewniej zdaje sobie sprawę z taktyki środowisk progresywnych, być może uniknie takiej instrumentalizacji. Tak czy inaczej, postępowcy są dziś zadowoleni i przekonani, że za pontyfikatu Leona XIV Polska będzie zmierzać w stronę przychylną reformistycznej agendzie. Przykład Ameryki pokazuje, że mogą mieć rację.

KONIEC ERY KONSERWATYSTÓW?

Polityka personalna nowego papieża jest jak dotąd najbardziej wyrazista właśnie względem jego ojczyzny. Można tu mówić o pełnej kontynuacji z Franciszkiem. Nic w tym zresztą dziwnego: w końcu Robert Prevost został przez papieża Bergoglia wybrany na prefekta Dykasterii do spraw Biskupów już w 2023 r. Argentyński pontifex chciał, żeby to właśnie on pomagał mu kreować światowy episkopat – wierzył zatem, że Prevost jest mu ideowo bliski. Fakty pokazują, że się nie mylił.

Już w maju tego roku papież Leon nominował nowego biskupa diecezji San Diego w Kalifornii. Został nim Michael Pham, urodzony w Wietnamie w czasie wojny. Do Ameryki przyjechał, gdy miał 13 lat, jako uchodźca. W lipcu 2025 r. w diecezji San Diego zorganizowano huczną ceremonię dla środowisk LGBT. Przewodził jej ówczesny biskup pomocniczy Ramón Bejarano. Oficjalnie zapewniono jednak, że wszystko odbywa się za zgodą nowego biskupa, Michaela Phama. Bejarano odprawił Mszę Świętą dla zaproszonych gejów, lesbijek i transseksualistów. Przy ambonie ustawił tzw. drag queen, który opowiadał o swoich doświadczeniach. W świątyni znalazło się miejsce dla wizerunku Matki Bożej z Guadalupe otoczonej tęczowymi barwami.

Już po Mszy Świętej Bejarano fotografował się z burmistrzem San Diego, jawnym homoseksualistą. Trzeba przyznać,

eprasa.pl b6d7b4f1ea

że rządy Michaela Phama zaczęły się pod dość szczególną, tęczową gwiazdą. Na tym jednak nie koniec całej historii. Ramón Bejarano nie został za swoje działania ukarany przez papieża. Wprost przeciwnie – doczekał się nagrody. W grudniu 2025 r. Ojciec Święty obdarzył go własną diecezją, Monterey, również w Kalifornii. Trudno uznać tę decyzję za przejaw konserwatyzmu papieża. Ktoś powie: może i Pham czy Bejarano to progresiści, ale przecież Kalifornia to specyficzny stan, z powodów historycznych niezwykle liberalny, żaden inny biskup po prostu by tam nie przeszedł. Cóż, spójrzmy zatem dalej, na inną, znacznie ważniejszą nominację Leona XIV – bo dotyczącą Nowego Jorku, z oczywistych racji chyba najważniejszej diecezji w całych Stanach Zjednoczonych.

KOŚCIELNA „CENTROLEWICA"

W 2009 r. metropolitą nowojorskim został z woli papieża Benedykta XVI wcześniejszy arcybiskup Milwaukee, Timothy Dolan. Niezwykle jowialny, dobrze czujący się w mediach, sympatyczny – a przy tym wszystkim dość konserwatywny. Dolan nie należał nigdy do ruchu tradycjonalistycznego, ale był sceptycznie nastawiony do liberalnej rewolucji – zarówno wewnątrz samego Kościoła katolickiego, jak i w świecie polityki. Często krytykowano go właśnie z powodu jego nastawienia politycznego. Dolan nie krył, że sympatyzuje z Partią Republikańską. W 2017 r. Donald Trump poprosił go, by poprowadził oficjalną modlitwę na inauguracji jego prezydentury, na co Dolan przystał. To samo zrobił w roku 2025. Kiedy zmarł papież Franciszek, a Donalda Trumpa zapytano, kogo widziałby teraz na tronie św. Piotra, polityk bez wahania wskazał właśnie na kard. Dolana. Konserwatywni krytycy zarzucają byłemu metropolicie Nowego Jorku, że wykazywał się nadmierną koncyliacyjnością wobec środowisk LGBT. Nie w tym sensie, by aktywnie promował tęczową agendę – nie, wielokrotnie krytykował postulaty ruchu homoseksualnego; nie zwalczał jednak zbyt gorliwie różnych przejawów kościelnego zaangażowania tych grup. W Nowym Jorku, mieście szczególnie przeżartym przez liberalną rewolucję, nie było to zresztą zadaniem łatwym. Tak czy inaczej, archidiecezja Nowego Jorku pod kierownictwem kard. Dolana była solą w oku środowisk progresywnych – i oczywiście samej Partii Demokratycznej. Papież Leon XIV postanowił ten „problem" rozwiązać – choć wcale nie musiał.

Dolan mógłby pozostać na stanowisku. Wprawdzie na początku 2025 r. skończył 75 lat, co oznacza osiągnięcie przepisowego wieku emerytalnego biskupów; jednak zgodnie z praktyką Kościoła papieże często przedłużają kardynałom posługę, aż do ukończenia 80. roku życia. Leon XIV nie zdecydował się na to w przypadku Dolana. Postanowił zamienić go na człowieka zupełnie innego rodzaju – Ronalda Hicksa, 58-letniego biskupa niewielkiej diecezji Joliet w stanie Illinois, nieopodal Chicago. Jeżeli zdrowie mu dopisze, to Hicks będzie kierować archidiecezją nowojorską przez prawie dwie dekady. Nowy biskup jest tymczasem typową emanacją amerykańskiej kościelnej „centrolewicy". Podąża za mainstreamem, co skutkuje bliskością Partii Demokratycznej. Nie jest jednak zupełnie bierny: potrafi otwarcie zaangażować się w obronę bliskich sobie „wartości". W 2021 r. był jednym z niespełna 70 biskupów USA, którzy podpisali list przeciwko wyrazistemu skrytykowaniu popierania przez polityków legalnej aborcji. W Episkopacie Ameryki myślano wówczas o tym, by publicznie potępić Joe Bidena czy Nancy Pelosi za to, że wspierają dzieciobójstwo prenatalne, choć są członkami Kościoła. Planowano ogłosić, że wyklucza ich to z przyjmowania Eucharystii. Wspomniana grupa biskupów była temu przeciwna. W ostatecznym rozrachunku chodziło o to, by nie eskalować napięcia między Kościołem a Partią Demokratyczną. Krytycy komentowali, że oznacza to złożenie prawa do życia nienarodzonych na ołtarzu interesów politycznych amerykańskiego Kościoła.

W końcu wyrazisty list Episkopatu nigdy nie powstał – zablokował go Watykan. Ogromny wpływ na tę decyzję Stolicy Apostolskiej miał wtedy metropolita Chicago, kard. Blase Cupich. To patron Ronalda Hicksa – nowy arcybiskup Nowego Jorku zawdzięcza mu niemal całą eklezjalną karierę. Cupich jest ściśle związany ze środowiskiem Partii Demokratycznej – występował na konwencji wyborczej Kamali Harris, a niedawno chciał nagrodzić proaborcyjnego senatora demokratów, Dicka Durbina. Kardynał promuje wizję, w której sprawa aborcji nie powinna mieć w USA priorytetu duszpasterskiego: należy ją traktować tak samo, jak temat imigrantów czy wykluczenia ubogich. W praktyce pozwala to duchownym na analogiczne podejście do republikanów i demokratów, bo wszystkich uznaje się za „niekatolickich". Republikanie są „przeciwko imigrantom", demokraci „przeciwko ochronie życia" – uznaje się, że waga moralna tych spraw jest taka sama, a w efekcie współpraca Kościoła i politycznych progresistów może kwitnąć… Z takiego środowiska wywodzi się Ronald Hicks.

Co istotne, podobnych wyborów Robert Prevost dokonywał jeszcze przed objęciem urzędu papieskiego. Jako prefekt Dykasterii do spraw Biskupów na początku 2025 r. osadził w archidiecezji Waszyngtonu kard. Roberta McElroya, zwolennika skrajnie liberalnego programu typowego dla niemieckiej „drogi synodalnej", zadeklarowanego przyjaciela demokratów i krytyka Donalda Trumpa.

Jednym z członków Dykasterii do spraw Biskupów jest właśnie kard. Cupich. Uważa się, że to on kreuje politykę personalną Watykanu w USA. Leon XIV na to pozwala. Dlaczego? Niektórzy twierdzą, że pomimo wszystkich braków to w sumie całkiem rozsądna polityka. Taką tezę postawił np. znany krytyk Franciszka, argentyński filozof i bloger Caminante Wanderer. Jego zdaniem Leon XIV za wszelką cenę chce uniknąć schizmy i pogłębiania podziałów w Kościele, dlatego wybiera kandydatów bardzo mainstreamowych, takich, którzy nie będą prowokować… Nie sądzę, by publicysta miał rację. Papież mógłby przecież wybrać centrowych kandydatów, ale o bardziej konserwatywnych skłonnościach. Robi coś dokładnie przeciwnego – nie tylko w USA, widzieliśmy to przecież także w Polsce. Wszystko wskazuje na to, że liberalna frakcja kardynałów, która jesienią 2024 r. wymyśliła kandydaturę Roberta Prevosta (wiemy to od jednego z nich, Węgra Ladislava Nemeta), dobrze wiedziała, co robi – i nie popełniła błędu. Światowy episkopat budowany jest przez obecnego papieża tak, by zagwarantować przewagę skrzydłu postępowemu. Będzie to mieć konkretne konsekwencje dla katolicyzmu na świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Żywoty niemal równoległe

Rafał Łatka

Ksiądz Józef Glemp był Kościołowi wierny. Swoje poglądy prezentował otwarcie – nawet jeśli były niepopularne w społeczeństwie. Jednocześnie zbyt często jego wypowiedzi publiczne przypominały propagandę serwowaną przez rządzących PRL. Z kolei ks. Henryk Gulbinowicz uwikłał się w długoletnie kontakty z funkcjonariuszami SB. Później wsparcie dla Solidarności łączył z podtrzymywaniem tych relacji. Zdobył się na odwagę przerwania tej współpracy dopiero w 1985 r., po nominacji kardynalskiej

Peregrynacja kopii obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej po Polsce, Wrocław, 29 sierpnia 1993 r. Od lewej: kard. Henryk Gulbinowicz, kard. Franciszek Macharski, kard. Józef Glemp

FOT. ADAM HAWAŁEJ/PAP

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Badania naukowe dotyczące postaw biskupów wobec rzeczywistości społeczno-politycznej PRL systematycznie się rozwijają. Dysponujemy już monografiami poświęconymi prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu, abp. Antoniemu Baraniakowi czy bp. Zygmuntowi Choromańskiemu. Niemniej jednak ciągle brakuje nam biografii innych znaczących hierarchów, by wspomnieć tylko o kard. Karolu Wojtyle, kard. Bolesławie Kominku, abp. Bronisławie Dąbrowskim czy wreszcie o dwóch bohaterach niniejszego tekstu, czyli kardynałach Józefie Glempie i Henryku Gulbinowiczu.

Józef Glemp urodził się 18 grudnia 1929 r. w Inowrocławiu. Młodość spędził w miejscowości Rycerzowo, gdzie jego rodzice prowadzili gospodarstwo. Uczęszczał do szkoły powszechnej w Kościelcu Kujawskim. Przed wybuchem drugiej wojny światowej ukończył cztery klasy. Ze względu na reżim okupacyjny panujący w okręgu Warthegau (Kraj Warty) niemożliwe było kontynuowanie przezeń edukacji szkolnej, a jego rodzina została wysiedlona z rodzinnego domu. Pracował więc przymusowo w niemieckim gospodarstwie rolnym. Po opuszczeniu przez Niemców ziemi kujawskiej rozpoczął w marcu 1945 r. naukę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. Uczył się tam w latach 1945–1950 i był wyróżniającym się uczniem. 25 maja 1950 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. Wstąpił do Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego im. św. Wojciecha w Gnieźnie. W latach 1950–1952 odbył dwuletnie studia filozoficzne w Gnieźnie, a następnie przez cztery kolejne lata studia teologiczne w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Poznaniu. Święcenia kapłańskie przyjął 25 maja 1956 r. z rąk bp. Franciszka Jedwabskiego, sufragana poznańskiego.

Henryk Gulbinowicz urodził się 17 października 1923 r. w Wilnie. Był synem Antoniego i Walerii z domu Gajewskiej. Młodość spędził w rodzinnym majątku w Szukiszkach pod Wilnem. Kształcił się w gimnazjum prowadzonym przez jezuitów w Wilnie. W październiku 1944 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Wilnie i jednocześnie rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W lutym 1945 r. alumni wspomnianego seminarium zostali zmuszeni przez NKWD do jego opuszczenia. Gulbinowicz na skutek polecenia abp. Romualda Jałbrzykowskiego trafił do parafii Rudomino. W lipcu 1945 r. uzyskał maturę, a miesiąc później ewakuował się do Białegostoku. Święcenia kapłańskie otrzymał w czerwcu 1950 r. w Białymstoku z rąk abp. Romualda Jałbrzykowskiego.

Józef Glemp i Henryk Gulbinowicz pochodzili z dwóch różnych i odległych od siebie regionów Polski. Ten pierwszy wywodził się z ziemi kujawskiej i tam też spędził swoją młodość. Ten drugi związany był z Wileńszczyzną, o której pamiętał do końca życia. Wybuch wojny przerwał edukację Glempa, którą dokończył w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. Gulbinowicz kształcił się w gimnazjum prowadzonym przez jezuitów w Wilnie. Inne były też ich doświadczenia wojenne i sposób, w jaki je przeżywali (sześcioletnia różnica wieku była znacząca). Glemp zetknął się głównie z okupantem niemieckim, podczas gdy Gulbinowicz miał najwięcej doświadczeń z okupantem sowieckim i w mniejszym stopniu z okupantem litewskim. Pierwsze lata w kapłaństwie też ich dość mocno różniły.

INTENSYWNA INWIGILACJA

Urząd do spraw Wyznań zablokował nominacje ks. Glempa na pierwszą parafię, na którą skierowali go kościelni przełożeni w 1956 r. Chodziło o funkcję wikariusza w parafii Zwiastowania Najświętszej Marii Panny w Inowrocławiu. Pierwsze miesiące kapłaństwa spędził z tego względu przy rodzinie, pracując w parafii św. Jakuba w Mogilnie. Sytuacja zmieniła się na skutek odwilży z października 1956 r. 7 grudnia duchowny objął funkcje kapelana sióstr dominikanek w Mielżynie koło Gniezna, był też kapelanem w domu poprawczym w Witkowie. W 1957 r. został kapelanem sióstr Sacré Coeur w Polskiej Wsi koło Pobiedzisk (prowadzących tam prywatne liceum dla dziewcząt). W latach 1957–1958 pełnił posługę jako wikariusz kolejno w parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Wągrowcu i parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Miasteczku Krajeńskim. Na skutek decyzji prymasa Wyszyńskiego wiosną 1958 r. ks. Glemp został skierowany na studia specjalistyczne w zakresie prawa konicznego na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. W czerwcu 1960 r. uzyskał licencjat, a cztery lata później doktorat obojga praw: kanonicznego i cywilnego. Duchowny z archidiecezji gnieźnieńskiej powrócił do Polski w 1964 r. Został wówczas sekretarzem w Prymasowskim Seminarium Duchownym oraz notariuszem w Trybunale Metropolitalnym Gnieźnieńskim. W listopadzie 1967 r. został powołany do pracy w Sekretariacie Prymasa Polski w Warszawie i stopniowo stał się jednym z najbliższych współpracowników i domowników Prymasa Tysiąclecia. Biskupem został w 1979 r., obejmując funkcję ordynariusza diecezji warmińsko-mazurskiej.

Sposób zachowania ks. Glempa można uznać za niemal wzorowe realizowanie wytycznych Episkopatu Polski z lat 60., które wprost zakazywały kontaktów z funkcjonariuszami SB

Z kolei ks. Gulbinowicz w latach 1950–1951 pełnił funkcje wikariusza w parafii pw. św. Wincentego i św. Bartłomieja w Szudziałowie w powiecie sokólskim oraz prefekta w miejscowych szkołach podstawowych. W latach 1951–1955 studiował teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1955 r. uzyskał doktorat z teologii moralnej na podstawie rozprawy obronionej pod kierunkiem ks. prof. Józefa Kellera. Po studiach Gulbinowicz powrócił do Białegostoku, gdzie w latach 1956–1959 pracował jako wikariusz w parafii katedralnej pw. św. Rocha. Pełnił wówczas również funkcje duszpasterza akademickiego dla studentów Akademii Medycznej w Białymstoku. W 1959 r. na prośbę rządcy diecezji warmińskiej bp. Tomasza Wilczyńskiego objął wykłady z teologii moralnej i etyki

eprasa.pl b6d7b4f1ea

w Warmińskim Seminarium Duchownym „Hosianum" w Olsztynie. W 1960 r. został prefektem, a w 1962 wicerektorem. W 1967 r. objął funkcję diecezjalnego duszpasterza pracowników nauki i lecznictwa. W latach 1968–1970 był rektorem Seminarium Duchownego w Olsztynie. W styczniu 1970 r. ks. Gulbinowicz został biskupem, rządcą Administracji Apostolskiej w Białymstoku.

Aparat bezpieczeństwa od lat 60. intensywnie inwigilował i rozpracowywał ks. Glempa. Wynikało to przede wszystkim z tego, że duchowny znajdował się w bezpośrednim otoczeniu kard. Wyszyńskiego i był jego bliskim współpracownikiem. Od 1969 r. kilkukrotnie podejmowano próbę werbunku. Duchowny za każdym razem stanowczo odmawiał jakichkolwiek kontaktów z funkcjonariuszami SB. Podczas próby kontaktu 13 lipca 1972 r. sekretarz prymasa oświadczył na nagabywanie mjr. Czesława Wiejaka, że „nie pała chęcią kontaktów z nami. Gotów jest jednak spotkać się, jeśli mamy coś rzeczowego. Postulował, by złożyć mu wizytę w miejscu pracy". Sposób zachowania ks. Glempa można uznać za niemal wzorowe realizowanie wytycznych Episkopatu Polski z lat 60., które wprost zakazywały kontaktów z funkcjonariuszami SB, a jeśli niemożliwe byłoby ich uniknięcie, to nakazywały, by rozmowa odbyła się w oficjalny sposób. Oficerowie aparatu bezpieczeństwa prowadzący jego sprawę w 1972 r. bezradnie stwierdzili: „Nie udało się na ks. Glempa uzyskać kompromitujących materiałów". Twarda postawa ks. Glempa wobec SB powodowała, że był on negatywnie oceniany przez aparat bezpieczeństwa jako osoba całkowicie wierna prymasowi. Z tego też powodu władze komunistyczne dwukrotnie odrzucały kapłana jako kandydata do ważnych godności kościelnych. Najpierw nie wyrażono zgody na jego kandydaturę na stanowisko metropolity wrocławskiego po śmierci kard. Bolesława Kominka (w 1975 r.), a następnie na funkcje metropolity poznańskiego po zgonie abp. Antoniego Baraniaka (w 1977 r.).

UTRZYMAĆ DOBRE STOSUNKI Z WŁADZAMI

Zupełnie inaczej wyglądały kontakty z SB ks. Gulbinowicza. W obszarze zainteresowania aparatu represji Gulbinowicz znalazł się już w czasie studiów na KUL. W okresie pełnienia funkcji duszpasterza akademickiego w latach 1956–1959 był już pod regularną obserwacją SB. Gdy wykładał w WSD w Olsztynie, bezpieka zintensyfikowała swe działania. 18 listopada 1969 r. kontakt z ks. Gulbinowiczem nawiązał ppłk Józef Maj, inspektor w Departamencie IV MSW. Funkcjonariusz SB, przedstawiając się, powiedział, że jest oficerem MSW. Pierwsza faza spotkania dotyczyła postaw kleryków i wykładowców w WSD. W drugiej części rozmowy ppłk Maj przeszedł do właściwego tematu i poinformował ks. Gulbinowicza, że prawdopodobnie otrzyma sakrę biskupią i nominację na administratora apostolskiego w Białymstoku. W odpowiedzi ks. Gulbinowicz zaznaczył, że zdaje sobie sprawę, z jakimi obowiązkami wiąże się funkcja, o której mówił jego rozmówca, ale dopiero czas pokaże, czy to prawda. Równocześnie jednak dość jasno zadeklarował swoją wolę utrzymania dobrych relacji z władzami i podkreślił: „[…] ja nie jestem taki, jak mnie większość księży ocenia. Jestem człowiekiem patrzącym realnie na zachodzące zjawiska społeczne". Wspominane kontakty, jak się okazało, miały trwać aż 16 lat, do 1985 r. W czasie dialogu operacyjnego prowadzonego przez SB z ks. Gulbinowiczem doszło m.in. do czterech spotkań hierarchy z Konradem Straszewskim, dyrektorem antykościelnego Departamentu IV MSW. Dobrej ocenie aparatu bezpieczeństwa bp Gulbinowicz zawdzięczał też zgodę władz komunistycznych na nominację na metropolitę wrocławskiego. Zresztą po jej uzyskaniu w czasie spotkania z ppłk. Czesławem Wiejakiem i gen. Straszewskim 9 stycznia 1976 r. hierarcha półżartem, półserio wypowiedział następujące słowa: „Dobrze, że chociaż wiem, komu i jakiej instytucji to zawdzięczam". Kontakty abp. Gulbinowicza z funkcjonariuszami MSW, jak wynika z dokumentacji SB, zakończyły się ostatecznie w październiku 1985 r.

Postawa obydwu duchownych różniła się także dość znacząco w sferze społeczno-politycznej i sposobem zarządzania powierzonymi diecezjami. Analizując postawę bp. Gulbinowicza w realiach społeczno-politycznych PRL oraz przyglądając się jego działaniom jako ordynariusza, możemy podzielić jego życiorys z czasów rządów komunistycznych na trzy etapy: pierwszy – spolegliwa wobec władz postawa jako administratora apostolskiego w Białymstoku – lata 1970–1976; drugi – umiarkowana postawa bez radykalnych działań, czyli pierwsze lata sprawowania funkcji metropolity wrocławskiego – styczeń 1976–jesień 1980 r. (do momentu, gdy stało się jasne, że Solidarność będzie stałym elementem rzeczywistości społeczno-politycznej PRL; trzeci – twarda postawa wobec władz komunistycznych cechująca się wspieraniem środowisk opozycyjnych i krytyką linii kard. Józefa Glempa – lata 1981–1989. Dobrze i całościowo postawę abp. Gulbinowicza z okresu sprzed 1980 r. oddaje charakterystyka sporządzona przez Urząd do spraw Wyznań, podsumowująca działalność tego hierarchy jako administratora apostolskiego i metropolity wrocławskiego. Czytamy w niej: „Jako rządca diecezji jest niejednoznaczny. Dotychczas nie przeprowadził istotnych zmian personalnych i strukturalnych. Nawet w sprawach małej wagi nie podejmuje jednoosobowo decyzji. Przy występujących różnicach zdań nie zajmuje stanowiska i zawiesza bieg sprawy. Do wydarzeń sierpniowych w 1980 r. oceniany był przez wojewódzkie władze administracyjne jako umiarkowany, dość realistycznie myślący ordynariusz".

UNIKANIE KONFLIKTÓW

Odnosząc się do drugiego bohatera tego tekstu, 4 marca 1979 r. Jan Paweł II mianował ks. Glempa biskupem ordynariuszem diecezji warmińskiej. Nominację ogłoszono w Watykanie dwa dni później. Duchowny był drugim biskupem diecezjalnym powołanym przez Stolicę Apostolską z pominięciem konsultacji z władzami komunistycznymi. Biskup Glemp kierował diecezją warmińską zaledwie przez dwa lata, jednak jego działalność była owocna i została dobrze zapamiętana przez wiernych. Hierarcha szczególnie troszczył się o rozwój sieci parafialnej, dołożył również starań o pozyskanie wielu opuszczonych świątyń poewangelickich. Generalnie relacje z władzami na poziomie wojewódzkim młody biskup

eprasa.pl b6d7b4f1ea

układał w sposób dość ostrożny. Starał się unikać konfliktów, mając nadzieję na uzyskanie większej liczby pozwoleń na budowę nowych kościołów, których dotkliwie w diecezji brakowało. Równocześnie bp Glemp występował zdecydowanie przeciwko jakimkolwiek kontaktom duchowieństwa z SB. W lipcu 1981 r. decyzją Jana Pawła II został metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim. Pierwsze miesiące działalności prymasowskiej były trudne także ze względu na sytuację społeczno-polityczną, gdyż nasilał się już wyraźnie konflikt między Solidarnością a władzami PRL. Arcybiskup Glemp starał się łagodzić napięcia, wzywał obie strony do odpowiedzialności. Jego działania nie mogły jednakże odnieść żadnego skutku, gdyż komuniści przygotowywali już siłowe rozwiązanie w postaci wprowadzenia stanu wojennego. Działania podjęte przez komunistów w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanowiły zaskoczenie dla prymasa, podobnie jak dla większości polskich biskupów. Głównym celem abp. Glempa po wprowadzeniu stanu wojennego było uniknięcie rozlewu krwi i zapobiegnięcie wybuchowi niepokojów społecznych. Podjął decyzję o zmianie zdecydowanego w treści Komunikatu Rady Głównej Episkopatu z 15 grudnia (zawierającego mocną krytykę decyzji władz PRL), który miał zostać ogłoszony we wszystkich kościołach w Polsce, na o wiele bardziej łagodne w swojej wymowie Słowo Prymasa Polski. Główną przyczyną tej decyzji były prawdopodobnie tragiczne wydarzenia w Kopalni „Wujek". Nie wszyscy biskupi akceptowali ten krok prymasa (w tym również abp Gulbinowicz). Główną troską abp. Glempa w czasie całego stanu wojennego było zapewnienie opieki i wsparcia wszystkim prześladowanym: aresztowanym, internowanym i ich rodzinom oraz osobom wyrzucanym z pracy za przynależność do Solidarności. Przez kolejne lata abp/kard. Glemp zajmował wobec władz stanowisko umiarkowane, był zwolennikiem dialogu z komunistami i wypracowywania kompromisu.

Po uzyskaniu nominacji na metropolitę wrocławskiego bp Gulbinowicz półżartem, półserio wypowiedział następujące słowa: „Dobrze, że chociaż wiem, komu i jakiej instytucji to zawdzięczam". Miał na myśli aparat bezpieczeństwa

WIĘKSZA ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRYMASA

Arcybiskup Gulbinowicz zajmował od początku 1981 r. stopniowo coraz bardziej krytyczne wobec władz komunistycznych stanowisko. Wiązało się to także z silnym poparciem dla Solidarności. 29 grudnia 1981 r. na spotkaniu z księżmi w Miliczu hierarcha wskazał, że sytuacja społeczno-polityczna w Polsce jest „anormalna, gdyż ograniczone są prawa ludzkie. Uprzedzał księży, by nie zajmowali oficjalnego stanowiska, lecz realizowali posłannictwo Kościoła, tzn. bronili istoty ludzkiej, rodziny i narodu". Prawdopodobnie właśnie z powodu takiej postawy, w ramach ostrzeżenia i groźby, funkcjonariusze SB podpalili jego samochód w Złotoryi 19 maja 1984 r. Rządzący PRL dostrzegali zmianę podejścia metropolity wrocławskiego do spraw społeczno-politycznych. Trafnie oddaje to charakterystyka Urzędu do spraw Wyznań z 1984 r.: „Tuż po wydarzeniach sierpniowych w oficjalnych wystąpieniach do duchowieństwa, a także w kazaniach włączył nurt totalnej krytyki partii i rządu oraz naszych sojuszy. Szczególną sympatią darzył za to Solidarność, także w wydaniu ekstremalnych działaczy. Okazał także swój krytyczny stosunek do wprowadzenia stanu wojennego. Wspierał materialnie i moralnie internowanych oraz ich rodziny. Nie ograniczał działalności politycznej podległego mu kleru. Po zawieszeniu stanu wojennego, szczególnie po jego zniesieniu, jego stanowisko polityczne nie wyraża się wprost. Wystąpienia ma bardziej stonowane, ale nadal zawierają one szereg politycznych podtekstów".

Porównując postawy obydwu hierarchów wobec rzeczywistości społeczno-politycznej w latach 1980–1989, należy wskazać, że kardynałowie Glemp i Gulbinowicz różnili się dość znacząco. Poniekąd wynikało to także z funkcji, które sprawowali w Kościele w Polsce. Odpowiedzialność prymasa Polski za duchowieństwo i wiernych była o wiele większa niż metropolity wrocławskiego. Kardynał Glemp preferował działania ostrożne i umiarkowane. Niestety, także przywiązywał zbyt dużą wagę do deklaracji Wojciecha Jaruzelskiego, wierząc, że ten przywódca komunistyczny jest prawdziwym patriotą (sic!). Jednocześnie dodać należy, że ta ostrożna linia kard. Glempa była popierana przez większość biskupów i realizowana w praktyce w zdecydowanej większości diecezji. Kardynał Gulbinowicz z kolei związał się w 1981 r. silnie ze środowiskami opozycyjnymi, popierając je słowem i czynem. Był uznawany przez władze za hierarchę o antykomunistycznych poglądach i był traktowany jako wróg PRL w niemal tym samym stopniu, co bp Ignacy Tokarczuk.

Podsumowując, ks. Glemp szedł w swoim życiu prostą drogą: wierności Kościołowi, prymasowi Wyszyńskiemu, swoje poglądy prezentował otwarcie – nawet jeśli były niepopularne w społeczeństwie. Bez wątpienia też jednak mają rację krytycy jego postawy, że zbyt często pozytywnie jego wypowiedzi publiczne przypominały propagandę serwowaną przez rządzących PRL. Ksiądz Gulbinowicz nie wybierał tak jednoznacznej drogi; uwikłał się w nieciekawe i długoletnie kontakty z funkcjonariuszami SB, którym zawdzięczał relatywny spokój przy pełnieniu funkcji w Białymstoku, a także możliwość budowania własnej kariery na czele z nominacją na metropolitę wrocławskiego. Później wsparcie dla Solidarności łączył z podtrzymywaniem kontaktów z SB. Zdobył się na odwagę ich przerwania dopiero w 1985 r., po nominacji kardynalskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl b6d7b4f1ea

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Krwawa Luna”

Pułkownik Julia Brystiger jest najbardziej znaną i rozpoznawalną postacią Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego po 1944 r. Nie bez powodu uzyskała taki sadystyczny pseudonim, choć sama tak naprawdę niewiele zajmowała się więźniami i ich torturowaniem. Ona była od innych rzeczy i sprawy przyziemne mniej ją zajmowały. Była od ideologii i polityki partii wobec Kościoła. Dla komunistów religia była „opium ludu” i wrogiem numer jeden. Gdy w 1945 r. objęła Departament V (Społeczno-Polityczny), w jego skład wchodził wydział „obsługi kościoła”. Obsługa przesądzała, że będzie to zaciekła z nim walka.

Politykę wobec Kościoła przesądziła na samym początku, korzystając z doświadczeń sowieckich. W jednym z referatów wskazała: „W istocie cała polska inteligencja jest przeciwna systemowi komunistycznemu i właściwie nie ma szans na jej reedukację. Pozostaje więc jej zlikwidowanie. Ponieważ jednak nie można zrobić błędu, jaki uczyniono w Rosji po rewolucji w 1917, eksterminując inteligencję i w ten sposób opóźniając rozwój gospodarczy kraju, należy wytworzyć taki system nacisków i terroru, aby przedstawiciele inteligencji nie ważyli się być czynni politycznie”. Była to praca długofalowa i bezwzględna. Rozpoczęło się werbowanie i nasadzanie agentury, w tym wśród dostawców do klasztorów, katechetów i nawet żebraków. Celem było oplecenie instytucji kościelnych własną pajęczyną. Ale równolegle trwały też represje bezpośrednie.

Tylko do 1953 r. usunięto z diecezji, aresztowano i osadzono w więzieniach dziewięciu biskupów. Prymas ks. kard. Stefan Wyszyński został „internowany”, czyli faktycznie uwięziony, pozostając bez kontaktu z Kościołem. 37 księży zabito, 260 zmarło lub zaginęło po aresztowaniu, 350 zesłano, 700 przebywało w aresztach i więzieniach, 900 wygnano z ich parafii. Do tego doszły straty duchowieństwa zakonnego: 54 księży zabito, 200 zesłano, 170 uwięziono, 300 wygnano. A represje trwały nadal. W referacie z lipca 1949 r. „Krwawa Luna” wprost wezwała do zniszczenia Kościoła katolickiego jako „agentury watykańskiej”.

Nawet gdy „stalinizm” w Polsce formalnie się kończył, Brystigerowa w 1955 r. wzywała do „wzmożenia walki z Kościołem”. Walka ta trwała aż do końca PRL, czego efektem była m.in. śmierć ks. Jerzego Popiełuszki. I te zbrodnie nigdy nie zostały do końca wyjaśnione.

Do dziś trwa legendowanie „Krwawej Luny”, że jakoby „nawróciła się” i zmarła w klasztorze w Laskach. Nieprawda. Miała ubecki pogrzeb, z udziałem bezpieki, Biura Politycznego, członków Komitetu Centralnego i dawnych podwładnych. Nekrologi zamieszczono m.in. w „Trybunie Ludu”. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Odbudowa symbolu stolicy

Warszawski Zamek Królewski został zniszczony na osobisty rozkaz Adolfa Hitlera podczas oblężenia miasta we wrześniu 1939 r. Budowlę zbombardowano i w dużej części spalono, a zegar na wieży zatrzymał się o godz. 11.15. Do rangi symbolu urósł fakt, że zamek został zniszczony tego samego dnia, kiedy najazd Armii Czerwonej zadał ostateczny cios istnieniu II RP. Po kapitulacji miasta Niemcy zagrabili wszystko, co można było jeszcze wywieźć, a wypalone mury zostały wysadzone po powstaniu warszawskim. Pozostał tylko Pałac pod Blachą, a niewielka, ocalona ściana z dwoma pustymi oknami przez wiele lat przypominała Warszawiakom o tragedii ich miasta.

Władze PRL z Władysławem Gomułką na czele przez długie lata sprzeciwiały się odbudowie rezydencji jako symbolu „pańskiej Polski”. Sytuacja zmieniła się po objęciu władzy przez ekipę Edwarda Gierka i już 19 stycznia 1971 r. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło odpowiednią decyzję. Prace poprzedzono badaniami archeologicznymi, a inwestycja trwała do 1984 r. Jednak już 10 lat wcześniej ruszył zegar na wieży, chociaż nie obyło się bez pewnych podtekstów politycznych. Czasomierz uruchomiono wprawdzie o godz. 11.15, ale dwa miesiące przed wrześniową rocznicą. Ekipa Edwarda Gierka wolała uniknąć nawiązywania do daty sowieckiej agresji.

Wprawdzie malkontenci twierdzą, że chociaż bryłę zamku udało się odtworzyć względnie wiernie, to większość pomieszczeń jest raczej wizją konserwatorów niż rekonstrukcją. Nie przeszkodziło to jednak, by budowla wraz z odbudowanym Starym Miastem trafiły na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Chociaż faktycznie trudno uznać zamek za zabytek, to dobrze się stało, że tak jak wiele innych gmachów historycznych Warszawy powstał na nowo. Jak bowiem wyglądałaby nasza stolica bez jego bryły, domów Starego i Nowego Miasta, kościołów i pałaców? Przecież trudna historia naszego kraju sprawiła, że gdyby przestrzegać norm rekonstrukcyjnych zawartych w Karcie Weneckiej, to właściwie nic nie można byłoby w Warszawie odtworzyć. Przepisy dopuszczają bowiem tylko uzupełnienie braków w zabudowie i to w taki sposób, by było od razu możliwe ich odróżnienie od oryginalnej struktury budynku. W ten sposób w centrum Warszawy mielibyśmy architektoniczną betonową pustynię, a podobny los spotkałby także Gdańsk czy Wrocław. A tak odbudowany zamek poza wypełnianiem funkcji muzealnych i kulturalnych stanowi też symbol, którego znaczenie można porównywać tylko z krakowskim Wawelem. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Czy Dania straci Grenlandię?

Teresa Stylińska

Dlaczego Dania tak kategorycznie wyklucza możliwość oddania Grenlandii? Być może, wcale nierzadko pojawia się taka opinia, jej posiadanie to ostatnie, co zostało Danii z czasów minionej świetności. To klejnot w duńskiej koronie

Czy Dania straci Grenlandię? Oczywiście, że tak. Do takiej, bez wątpienia prowokacyjnej konkluzji prowadzi nie rzeczowa analiza współczesnych okoliczności przybierającego na sile konfliktu planów, oczekiwań i możliwości stron, lecz duch historii Danii. Bieg jej dziejów skłania do irracjonalnego z pozoru wniosku, że Grenlandii nie zdoła ona utrzymać. Przez ostatnie trzy stulecia Dania traciła po kolei wszystkie swe posiadłości zarówno bliskie w Europie, jak odległe zamorskie. Skoro tak, to dlaczegóż by z Grenlandią miało być inaczej?

W Europie Dania straciła Norwegię, Islandię, południowy Szlezwik i cały Holsztyn. Jeśli cofnąć się dalej w głąb historii, dojdą do tego Pomorze, południowa Szwecja i Inflanty. Duńczycy nie utrzymali także żadnej ze swych kolonii. To prawda, że Dania nigdy nie była mocarstwem kolonialnym, zupełnie nie kojarzy się z ekspansją kolonialną i mało kto, poza Duńczykami, wie, że w ogóle miała jakieś posiadłości. A jednak zdołała zająć i przez jakiś czas utrzymać niewielkie kolonie w południowych Indiach, zachodniej Afryce i na Karaibach. Wszystkie sprzedała. W tego rodzaju transakcjach ma zatem pewne doświadczenie.

Może warto mieć to na uwadze, gdy Duńczycy stanowczo deklarują, że „Grenlandia nie jest na sprzedaż". Powtarzają to jak mantrę od czasu, gdy latem 2019 r. Donald Trump, podczas swej pierwszej kadencji, po raz pierwszy podniósł kwestię przejęcia wyspy. Deklaracja jest jasna,

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Grenlandia jest od Danii ponad 50 razy większa, za to Dania ma 100 razy więcej ludności FOT. LOKMAN VURAL ELIBOL/ANADOLU/GETTY IMAGES

tylko nie bardzo wiadomo, jak poważnie należy ją traktować.

WIKINGOWIE, ŻEGLARZE I KUPCY

To, że państwa tracą swe terytoria, nie jest żadnym ewenementem. Każdy chyba kraj w swej historii tego doświadczył. To skutek przegranych wojen albo szczególnej sytuacji, jak w wypadku Węgier drastycznie okrojonych z dawnych swych ziem w traktacie z Trianon. Dania jednak w takim schemacie zupełnie się nie mieści. Traciła swe posiadłości stopniowo, w bardzo różnych okolicznościach, dla których niełatwo znaleźć wspólny mianownik.

Trudno uwierzyć, że Dania, najmniejszy z krajów nordyckich, o powierzchni zaledwie 43 tys. km kw., w dawnych wiekach była potęgą i postrachem. Znaczeniem przewyższała swych o wiele od niej większych skandynawskich sąsiadów. Wpływy Danii sięgały daleko, na cały obszar Bałtyku i Morza Północnego, po Anglię, której południowa część przez pewien czas pozostawała nawet pod duńskimi rządami.

Więzy Danii z innymi krajami czy regionami przybierały różne formy i nie zawsze była to bezpośrednia podległość. Z tego punktu widzenia prawdziwy przełom, dzięki któremu Dania znakomicie zwiększyła swój stan posiadania, stanowiła unia kalmarska, zawiązana w 1397 r. przez trzy kraje skandynawskie, pod przewodnictwem duńskiej królowej Małgorzaty. Unia istniała krótko, a gdy w 1523 r. wycofała się z niej Szwecja, na placu boju pozostały Dania z Norwegią. Ta ostatnia wniosła wcześniej do unii swe posiadłości: Grenlandię (którą – przypomnijmy – odkrył w X w. norweski wiking Eryk Rudy), Islandię i Wyspy Owcze. W ten sposób znalazły się one, pośrednio, pod władzą Danii.

Dania i Norwegia przez blisko 300 lat stanowiły jedno państwo, co znalazło odzwierciedlenie w nazwie: Królestwo Danii i Norwegii. Formalnie były pod każdym względem równoprawne, w rzeczywistości jednak rola hegemona przypadła Danii. Stolicą wspólnego państwa była Kopenhaga, tam zapadały decyzje. Do 1814 r., bo po wojnach napoleońskich, w ramach ustalania nowego porządku świata, Dania musiała oddać Norwegię Szwecji. Tylko Norwegię, bo wszystkie jej dawne posiadłości zdołała zachować.

Od tej chwili jednak duńskie rozległe państwo zaczyna się kurczyć. Kolejną stratę ponosi Dania w 1866 r., gdy po wojnach z Prusami i Austrią musi oddać Szlezwik i Holsztyn (północną część Szlezwiku po latach zdoła odzyskać). W 1944 r. odpada Islandia, która od 1918 r., na mocy zawartego układu, miała status królestwa w unii personalnej z Danią. Islandczycy nie chcą tego stanu przedłużać. Przeprowadzone referendum przynosi jasny wynik: Islandia zrywa z Danią i zostaje republiką.

W XIX w. Dania traci również wszystkie swe posiadłości zamorskie, niewielkie zresztą i mało znaczące. Na fali zabiegów o bogactwa Nowego Świata Dania stworzyła kompanie handlowe na wzór angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i u progu XVII w. wysłała w świat flotylle duńskich zdobywców. Duńczycy jednak nie bardzo sobie radzili w obcym otoczeniu, kolonie nie przynosiły dochodów i w końcu zostały sprzedane. W połowie XIX w. Wielka Brytania odkupiła duńskie forty handlowe na terenie obecnej Ghany i Fort Dansborg, kolonię w południowo-wschodnich Indiach. W 1917 r. zaś Stany Zjednoczone za sumę 25 mln dol. w złocie nabyły Duńskie Indie Zachodnie, dzisiaj znane jako Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych.

GRENLANDIA ZA MINDANAO

Amerykanie kupili karaibskie posiadłości Danii, by – jak to uzasadniali – w ich posiadanie nie weszły Niemcy, z którymi Ameryka była w stanie wojny. Transakcja ta jest jednak warta odnotowania z zupełnie innego powodu. Kilka lat wcześniej, w 1910 r., zrodził się bowiem pomysł, by Ameryka zaoferowała Danii wymianę: otrzyma ona od USA filipińską Wyspę Mindanao w zamian za oddanie Grenlandii, w pakiecie z owymi wyspami. Czy Dania by na to przystała, nigdy się nie dowiemy, skończyło się bowiem na pomyśle. Amerykanie nigdy nie złożyli Danii formalnej oferty w tej sprawie.

Było to już drugie, wyłącznie, jak widać, teoretyczne podejście do ewentualnego przejęcia Grenlandii. Donald Trump nie wymyślił zatem niczego nowego. Idzie po prostu śladem poprzedników, którzy od dawna dostrzegali sens przejęcia Grenlandii. Jak tego dokonać? Poza wspomnianym pomysłem wymiany odpowiedź była zawsze taka sama: po prostu kupić. Była to droga z powodzeniem wypróbowana. W taki właśnie sposób USA weszły w posiadanie Luizjany wraz z całym pasem stanów aż po granicę Kanady, nabytych od Francji w 1803 r. W 1819 r. od Hiszpanii Amerykanie kupili Florydę, w 1853 r. od Meksyku – południową część Arizony i Nowego Meksyku, w 1867 r. od Rosji – Alaskę.

Po raz pierwszy kwestia nabycia Grenlandii stanęła na porządku dziennym tuż po przejęciu Alaski. Ówczesny sekretarz stanu William H. Seward, który to wymyślił, być może działał po trosze siłą rozpędu, po udanej transakcji alaskańskiej. Według znawców tematu cele były jasne: brano pod uwagę zarówno kwestie bezpieczeństwa, jak i potrzebę poszerzania wpływów Ameryki w rejonie Pacyfiku.

Wówczas jednak sprawa nie wyszła poza stadium deliberacji i władzom Danii nie złożono konkretnych pro-

eprasa.pl b6d7b4f1ea

pozycji. Ofertę w pełnym znaczeniu tego słowa przedstawiono dopiero za rządów prezydenta Harry'ego Trumana, w grudniu 1946 r., podczas wizyty duńskiego ministra spraw zagranicznych Gustava Rasmussena w Waszyngtonie. Amerykanie, którzy podczas wojny na prośbę Danii, okupowanej przez Niemcy, zobowiązali się do obrony Grenlandii i wprowadzili na wyspę swe oddziały, nie kwapili się wcale do jej opuszczenia. Dania przeciwnie: nie chciała przedłużać umowy. Sekretarz stanu James Byrnes zaproponował kilka kompromisowych rozwiązań, nie kryjąc jednak, że USA najbardziej odpowiada jedno: chciałyby Grenlandię kupić. Ameryka, o czym dowiedziano się dopiero po latach, gdy dokumenty zostały odtajnione, gotowa była zapłacić 100 mln dol. w złocie.

Oferta nie została jednak przyjęta. Dania stanowczo odmówiła. „Dobrze wiemy, jak wiele zawdzięczamy Amerykanom. Ale nie sądzę, byśmy byli im winni całą wyspę Grenlandię" – powiedział później minister Rasmussen.

WIELKIE SKARBY WIELKIEJ WYSPY

„Kierujemy się względami zarówno politycznymi, jak i handlowymi. Wybrzeża Grenlandii to głębokie zatoki, ujścia rzek i fiordy [...]. To długa linia brzegowa i wielkie obszary połowowe. Skały i geologia Grenlandii pozwalają sądzić, że, poza odkrytymi już złożami węgla, jest tam wielkie bogactwo minerałów. Dzięki przejęciu Grenlandii Ameryka będzie mogła panować nad światowym handlem".

Tak entuzjastycznie Robert J.Walker, wcześniej minister skarbu i uczestnik rozmów w sprawie nabycia Alaski, opisywał atuty Grenlandii, zachęcając władze amerykańskie do dokonania zakupu. Za jednym zamachem, sugerował, można by też było nabyć od Danii Islandię. Ale – jak zaznaczył – Grenlandia jest o wiele ważniejsza. Tu ciekawostka: na Islandii uważano, że to ona ma wszelkie prawa do Grenlandii. Pisarz Einar Benediktsson w artykule, który opublikował w 1914 r., wywodził je z faktu, iż to Islandczycy skolonizowali wyspę, zakładając pierwsze osady, a Eryk Rudy, choć był Norwegiem, na północ wypłynął z Islandii. „Islandia była [wobec Grenlandii – przyp. T.S.] jak metropolia wobec kolonii" – pisał, podkreślając, że na obu wyspach obowiązywały takie same prawa i zasady.

Grenlandia zatem nie od dziś jest najbardziej pożądaną wyspą świata. Argumenty, którymi posłużył się Walker, do dzisiaj nie straciły na aktualności, może nawet przeciwnie. Grenlandia kusi jeszcze bardziej, bo po prostu o wiele więcej dziś o niej wiadomo. Ma nie tylko rudę żelaza, złoża węgla i ropę naftową. Pod grenlandzkim lądolodem kryją się ogromne bogactwa naturalne. Cenne minerały i metale ziem rzadkich. Z mapki i omówienia, które zamieścił ostatnio tygodnik „Newsweek" w swym amerykańskim wydaniu, wynika, że wielkość tych zasobów jest szacowana na 1,9 mln ton i że można tu znaleźć większość surowców i materiałów, bez których współczesne technologie istnieć nie mogą. Są także złoto i uran. W dodatku złoża znajdują się głównie na południu wyspy, co ułatwia wydobycie i transport. Tylko tu znajdują się porty, do których jest stały dostęp. Oczywiście nie można wykluczać, że tereny północne są po prostu niedostatecznie zbadane. Tak czy inaczej, jest o co zabiegać.

Donald Trump nie ukrywa, że względy ekonomiczne są ważne, za koronny argument na rzecz przejęcia Grenlandii uważa jednak względy bezpieczeństwa. Strategiczne położenie wyspy to aspekt fundamentalny i nie da się go pominąć. Z tego punktu widzenia istotne są zarówno drogi morskie, bo szlak przez Ocean Lodowaty to najkrótsza droga z Atlantyku na Pacyfik, jak kwestie czysto militarne. Grenlandia jest jak tarcza chroniąca Amerykę przed możliwym atakiem i taką jej rolę doceniano już w okresie zimnej wojny. Rozmieszczenie na wyspie żołnierzy i urządzeń wojskowych (z dawnych baz Amerykanom pozostała już tylko jedna) zwiększyłoby bezpieczeństwo USA. Istotny aspekt, na który Donald Trump zwraca uwagę w pierwszej kolejności, to również coraz bardziej widoczna obecność Rosji i Chin w Arktyce. Władze Grenlandii, nawet z pomocą Danii, nie są w stanie tego powstrzymać.

ARKTYCZNY KLEJNOT W KORONIE

Dania i Grenlandia, jeśli wziąć pod uwagę ich parametry i możliwości, stanowią bardzo dziwną parę. Z jednej strony, niewielki, ale bogaty kraj, zamieszkany przez 6 mln ludzi. Z drugiej, największa i najsłabiej zaludniona wyspa świata: blisko 2,2 mln km kw. I tylko 57 tys. mieszkańców. Grenlandia jest od Danii ponad 50 razy większa, za to Dania ma 100 razy więcej ludności. W Królestwie Danii, na które składają się Dania, Grenlandia i Wyspy Owcze, na Grenlandię przypada aż 98 proc. terytorium i maleńki ułamek liczby ludności, zaledwie 0,01 proc.

Oba kraje (autonomiczną Grenlandię można tak przecież określić) dzieli przy tym odległość ponad 3 tys. km i niemało żalów z przeszłości. Chodzi m.in. o przymusową, nazwijmy to, „danizację" grenlandzkich dzieci. Przywożono je do Danii i przekazywano duńskim rodzinom, które miały wychować je w duńskim duchu. Dodajmy, że Grenlandia bogata jest tylko potencjalnie i duńska pomoc jest jej niezmiennie potrzebna.

Dlaczego zatem Dania tak kategorycznie wyklucza możliwość oddania Grenlandii? Być może, wcale nierzadko pojawia się taka opinia, jej posiadanie to ostatnie, co zostało Danii z czasów minionej świetności. Grenlandia, zimna, trudno dostępna, jeśli atrakcyjna, to tylko dla amatorów północnych klimatów, jest wielka, ważna i pożądana, i trochę tego splendoru spływa też na Danię. To wymiar symboliczny. Miejsce Grenlandii w stosunku do Danii bywa przyrównywane do tego, które toutes proportions gardées zajmowały Indie w imperium brytyjskim. To klejnot w koronie.

Nie sposób dzisiaj, gdy sprawa jest jeszcze na bardzo wczesnym etapie (w środę 14 stycznia odbyło się w Waszyngtonie pierwsze spotkanie sekretarza stanu Marca Rubia z ministrami spraw zagranicznych Danii i Grenlandii), przewidzieć, w jakiej formie Ameryka mogłaby sprawować kontrolę nad wyspą i na jakiej drodze ją przejąć. Sprzedaż? Sposób wypróbowany i skuteczny, bo nie do podważenia. Przejęcie siłą? Mało prawdopodobne. Skuszenie, czyli przekupienie (tak, tak!) Grenlandczyków? Na razie z oburzeniem odrzucają oni plany Donalda Trumpa, nikt jednak nie wie, czy i jak długo będą skłonni w tym wytrwać. Współrządy na wyspie? Zadowolone mogłyby być obie strony – Ameryka, bo prawie osiągnęła cel, i Dania, bo zachowałaby twarz. Pytanie tylko: Czy takie rozwiązanie byłoby na zawsze?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

FOT. CDFW

NIE TEN NIEDŹWIEDŹ

Mieszkaniec Altadeny (Kalifornia) próbował przepłoszyć ze swojej posesji nieproszonego lokatora – ważącego ok. 250 kg niedźwiedzia czarnego, ale bez skutku. Z pomocą przyszła stanowa agencja zajmująca się zasobami naturalnymi. Pracownicy tego urzędu ustawili przed domem klatkę pułapkę spryskaną zapachami mającymi zwabić zwierzę. I owszem, zwabiono niedźwiedzia, tyle że innego niż dotychczasowy intruz.

CIEKŁY AZOT W BRZUCHU

Dramatycznie zakończyła się w Moskwie impreza firmowa dla 38-letniego mężczyzny. Spożył on koktajl zawierający ciekły azot, zachęcono go bowiem do szybkiego wypicia drinka. Gdy to zrobił, natychmiast doznał silnego bólu brzucha, upadł i stracił przytomność. Następnie został odwieziony do szpitala, gdzie przeszedł skomplikowaną operację. Ciekły azot, zwiększając swoją objętość, mocno uszkodził mu żołądek.

NIE TRACIĆ CZASU

Na poboczu jednej z londyńskich dróg płonął samochód. Tymczasem kierowca przejeżdżającego tamtędy Range Rovera zignorował zagrożenie związane z ogniem i rozlanym paliwem. Zamiast zachować bezpieczną odległość od palącego się pojazdu, zbliżył się do niego na tyle, że mogło się to dla niego skończyć tragicznie. Internauci skomentowali to z sarkazmem, że człowiek ten nie chciał tracić czasu na zatrzymanie się lub objazd.

PO 30 LATACH

Włoska miejscowość Pagliara dei Marsi świętuje. W tej liczącej ok. 20 osób wiosce urodziło się pierwsze dziecko od 30 lat. Pagliara dei Marsi znana jest z dramatycznego spadku liczby jej mieszkańców oraz starzenia się zamieszkującej ją społeczności. Rodzice nowo narodzonej dziewczynki, mimo finansowego wsparcia od państwa, narzekają na braki w systemie opieki nad dziećmi oraz trudności dotyczące pogodzenia pracy zawodowej z rodzicielstwem.

FAŁSZYWY LEKARZ

W Brazylii zdemaskowano mężczyznę, który podawał się za lekarza. Prawda wyszła na jaw podczas przeprowadzania USG u jednej z pacjentek. Kobiecie oświadczył, że jej pęcherzyk żółciowy jest w dobrym stanie, mimo że wiele lat wcześniej został usunięty. Sprawa trafiła na policję. Mężczyzna posługiwał się numerami rejestracyjnymi i pieczątkami, które należą do różnych lekarzy. Jego adwokat zapowiedział, że przed sądem udowodni niewinność swojego klienta.

©℗ ***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czy AI wyleczy Polaków?

System opieki zdrowotnej w Polsce jest w opłakanym stanie. I jest to opinia nie tylko wielu pacjentów czy publicystów, lecz także ekspertów międzynarodowych organizacji (o tym, jak wiele Polska ma do poprawienia w kwestii ochrony zdrowia, mówił choćby ubiegłoroczny raport OECD „Health at a Glance 2025”).

Na niski poziom zadowolenia pacjentów z systemu opieki oraz brak odpowiedniej liczby lekarzy od lat zwraca uwagę Naczelna Rada Lekarska. I chociaż w Polsce kształci się grubo ponad 100 proc. więcej lekarzy niż ćwierć wieku temu, to wielu z nich zamiast leczyć Polaków, wyjedzie z dyplomem na Zachód.

OECD alarmuje bowiem, że Polska – obok krajów takich jak Filipiny, Indie, Węgry, Grecja czy Słowacja – jest czołowym eksporterem lekarzy i pielęgniarek. Korzystają na tym np. chorzy w Luksemburgu. Kraj ten świetnie płaci lekarzom obcokrajowcom, za których wykształcenie zapłacili wcześniej podatnicy z innych państw.

Skoro polskie rządy od lat nie potrafią lub nie chcą rozwiązać tego problemu, to trzeba z nadzieją spoglądać na nowoczesne technologie.

Na początku 2026 r. OpenAI uruchomił ChatGPT Health. To musiało się stać – od lat miliony szukają diagnozy przez Internet. Samego ChataGPT każdego tygodnia o poradę zdrowotną pytało aż 230 mln internautów. I chociaż samodiagnozowanie wiąże się z poważnym ryzykiem, to połączenie algorytmów AI i prawdziwych lekarzy może znacząco zwiększyć skuteczność tych ostatnich. Dyrektor Google Health Susan Thomas prognozuje zaś wprost: dzięki AI wszyscy będziemy mieć wkrótce w kieszeni wiarygodnego lekarza pierwszego kontaktu. Oby! ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Chiński lotniskowiec „Fujian" podczas pierwszych ćwiczeń morskich dla wojska, 18 listopada 2025 r.

FOT. GAO ZEMING/ENG.CHINAMIL.COM.CN

Żarty się skończyły

Piotr Włoczyk

Chińczycy przyspieszają realizację swojego ambitnego programu budowy lotniskowców. Waszyngton ma powody, by mocno się niepokoić

Największy prezent Xi Jinping sprawił sobie tuż przed świętami. Zresztą takie „cacko" i tak nie zmieściłoby się pod żadną choinką. Mierzący 316 metrów długości i wypierający ponad 80 tys. ton „Fujian" to duma chińskiej marynarki wojennej – okręt, na który Pekin długo czekał. Tak więc Xi Jinping osobiście przyjmował go do służby. Huczna ceremonia w porcie w prowincji Hajnan transmitowana była przez państwową telewizję, która zadbała, by naród zobaczył niekończące się szeregi marynarzy w śnieżnobiałych mundurach i Xi kroczącego majestatycznie po pokładzie pięknie udekorowanego okrętu.

„Fujian" to wprawdzie drugi już lotniskowiec w całości „made in China", ale jest to pierwszy okręt, który jest nowoczesną konstrukcją z płaskim pokładem. Pozostałe dwa – mniejsze – chińskie lotniskowce bazują na zupełnie innym koncepcie. Samoloty nie są z nich „wystrzeliwane" z użyciem katapulty, lecz startują za pomocą charakterystycznej „skoczni" znajdującej się na dziobie. Jest to rozwiązanie tańsze w budowie i eksploatacji, ale wiąże się jednak z dużymi ograniczeniami. Samoloty bazujące na dwóch starszych lotniskowcach nie mogą być tankowane „pod korek" i nie są w stanie zabrać ze sobą dużo uzbrojenia. „Fujian", wyposażony w katapulty, może „wystrzeliwać" w powietrze samoloty cięższe, dzięki czemu mają one większy zasięg i są zdolne przenosić więcej bomb czy rakiet.

WBREW EKSPERTOM

Najnowszy chiński lotniskowiec otwiera nowy rozdział w historii marynarki wojennej ChRL. W budowie jest kolejna taka jednostka, a – jak czytamy w ostatnim raporcie Pentagonu na temat rozwoju chińskich sił zbrojnych – Państwo Środka do 2035 r. planuje posiadać w swojej flocie aż dziewięć lotniskowców.

Zdaniem Granta Newshama, emerytowanego pułkownika US Marines, który służył w wywiadzie tej formacji na Pacyfiku, dziś jeszcze marynarka wojenna Chin nie jest realnym zagrożeniem dla US Navy.

– Ale za pięć czy dziesięć lat będzie już inaczej. Tempo budowy chińskich lotniskowców o co najmniej dwie dekady wyprzedziło przewidywania niemal wszystkich „ekspertów" – mówi „Do Rzeczy" płk Newsham, autor książki „When China Attacks". – Sprawy bardzo przyspieszają w tym zakresie, co widzieliśmy w ostatnich miesiącach, gdy chińskie lotniskowce prowadziły działania na wschód od Japonii.

Budowa naprawdę dobrych lotniskowców najwyższej kategorii „wagowej" to niesamowicie skomplikowany projekt i jeszcze na początku XXI w. mogło się wydawać, że Chińczycy stoją w tej kwestii w miejscu, bazując na starych konstrukcjach, pamiętających jeszcze czasy sowieckie. Amerykanie mogli z politowaniem patrzeć na „Liaoninga" and „Shandonga", wyposażonych w „skocznie". Szczególnie ten pierwszy wyglądał jak żart na tle lotniskowców klasy Nimitz, nie mówiąc już o najnowszych jednostkach klasy „Gerald Ford".

„Liaoning" zaczynał swoją karierę jako sowiecki „Wariag". Po upadku ZSRS przejęła go Ukraina, ale ukończenie tego okrętu przerosło jej możliwości finansowe. „Wariag" został zatem sprzedany i miał stać się pływającym… kasynem w Makau. Nigdy jednak tam nie trafił. Kupiła go firma Chong Lot, która – jak się potem okazało – wykonywała zlecenie władz w Pekinie. Jednostka trafiła do stoczni w Dalian, gdzie została ukończona i w 2012 r. weszła do służby. Nic dziwnego, że patrząc na kopcą-

eprasa.pl b6d7b4f1ea

cy (napędzany dieslem) okręt ze „skocznią" lotniczą, zachodni eksperci uważali, iż zbudowanie lotniskowców zdolnych do rywalizowania z amerykańskimi zajmie Chińczykom kilka dekad.

Budując „Liaoninga" Chińczycy skopiowali projekt „Wariaga" i w ten sposób w 2017 r. ich marynarka wojenna mogła się pochwalić drugim lotniskowcem, który jednak jako pierwszy został od A do Z zbudowany w ChRL. Żarty skończyły się, kiedy dwa lata później światowe media obiegła informacja, że Chińczycy budują swój trzeci lotniskowiec, który na zdjęciach satelitarnych wygląda na konstrukcję zbliżoną wielkością do amerykańskich rywali. Po raz kolejny okazało się, że Pekin jest w stanie błyskawicznie nadrobić czas.

DWIEŚCIE RAZY WIĘCEJ

– Chińczycy potrzebują lotniskowców, by dokonywać projekcji siły po całym globie. Chińska marynarka wojenna kopiuje przy tym model wypracowany przez US Navy – mówi płk Newsham. – Lotniskowce dają władzom możliwość użycia siły lub straszenia użyciem siły praktycznie wszędzie na świecie. Dlatego posiadanie tych okrętów daje taką przewagę polityczną, a także ma wpływ psychologiczny. Obecnie ChRL nie jest w stanie chronić za granicą swoich interesów, jak choćby inwestycje czy szlaki handlowe, o czym zresztą władze w Pekinie same mówiły. Dlatego starają się szybko rozwiązać ten problem.

Chińczycy już od dawna sygnalizują, w jakim kierunku będzie się zmieniała ich flota. Piętnaście lat temu, gdy „Wariag" przeradzał się w „Liaoninga", mówił o tym gen. Qi Jianguo, zastępca szefa sztabu generalnego Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. – Wszystkie wielkie narody świata posiadają lotniskowce – podkreślał gen. Qi.

Amerykanie stopniowo zastępują starsze jednostki lotniskowcami klasy „Gerald Ford" (najnowszy wszedł do służby dekadę temu, kolejny zostanie oddany US Navy za rok), ale tempo budowy nowych okrętów pozostawia wiele do życzenia.

Pułkownik Newsham zwraca uwagę na przepaść dzielącą USA i Chiny, jeżeli chodzi o potencjał stoczniowy. – Na każdy jeden nowy okręt US Navy oni są w stanie zbudować dziewięć swoich – mówi „Do Rzeczy" płk Newsham. I dodaje: – A jeżeli chodzi o całkowity potencjał budowy jednostek pływających, to – jak powszechnie już wiadomo – Chiny mają tu 200 razy większe możliwości od USA. To jest katastrofa dla Ameryki, której elity – zarówno wojskowe, jak i cywilne – doprowadziły do takiego stanu w ciągu ostatnich 30 lat.

Mimo że Amerykanie jeszcze długo będą mieli najwięcej lotniskowców na świecie, to nietrudno sobie wyobrazić, że już za kilka lat – przy takim tempie modernizacji marynarki wojennej ChRL – USA stracą przewagę w tym zakresie na zachodnim Pacyfiku.

Dlatego Waszyngtonowi zależy, by jego sojusznicy w Azji Wschodniej ruszyli z kopyta z budową własnych lotniskowców. Japończycy przebudowują właśnie swoje dwa wielkie okręty desantowe klasy Izumo (znane na Wyspach Japońskich jako „niszczyciele śmigłowcowe"), aby przystosować je do wykonywania misji z udziałem myśliwców F-35. Korea Południowa również posiada dwie podobne jednostki, ale Seul myśli też o budowie „pełnoprawnego" lotniskowca.

KLUCZOWE DOŚWIADCZENIE

Eksperci podkreślają, że trzy lotniskowce bardzo ułatwiłyby Pekinowi prowadzenie ewentualnej blokady Tajwanu, co było zresztą ćwiczone już kilkukrotnie przez marynarkę wojenną ChRL (ostatnio miesiąc temu). Tajwan leży jedynie ok. 150 km od kontynentalnych Chin, więc w przypadku ewentualnej operacji przejmowania wyspy lotnictwo morskie nie byłoby niezbędne, jednak w razie realizacji scenariusza mniej drastycznego, czyli właśnie blokady, która miałaby „przekonać" Tajpej do zaprzestania oporu, lotniskowce operujące na wschód od wyspy odgrywałyby bardzo ważną rolę.

Inna sprawa, że Chiny potrzebują więcej okrętów tego typu, jeżeli poważnie myślą o ostatecznym rozstrzygnięciu rywalizacji o wyspy Senkaku/Diaoyu (toczą o nie spór z Japonią) i Spratly (konflikt z Wietnamem i Filipinami).

Już za kilka lat USA mogą stracić przewagę w zakresie posiadanych lotniskowców na zachodnim Pacyfiku

Co ciekawe, niewykluczone, że w jednej kluczowej kwestii chińskie lotniskowce będą bardziej nowoczesne niż ich amerykańscy rywale. Najnowszy „Fujian" wyposażony został w system EMALS, czyli elektromagnetyczny system startu samolotów (ang. Electromagnetic Aircraft Launch System). Amerykańskie lotniskowce klasy „Gerald Ford" również posiadają EMALS, ale wielkim przeciwnikiem tego systemu jest… Donald Trump. Prezydent USA przekonuje, że postawienie na tę technologię było błędem i lepszym rozwiązaniem są klasyczne katapulty napędzane parą. Trump powtarza, że EMALS jest drogi, zawodny i trudny w naprawie. „[W przypadku awarii] trzeba to wysłać na MIT [jedna z najlepszych uczelni technicznych na świecie] i zebrać najbardziej błyskotliwych ludzi, żeby to naprawili" – podkreślał w listopadzie zeszłego roku prezydent USA podczas swojego przemówienia skierowanego do amerykańskich marynarzy stacjonujących w Japonii. Trump zapowiedział wtedy, że chce podpisać dokument, który zmusi US Navy do porzucenia nowego systemu „wystrzeliwania" samolotów.

W tym lotniskowcowym wyścigu między USA a ChRL otuchy mogą dodawać Amerykanom opinie ekspertów, którzy zwracają uwagę na bardzo istotny element. O ile potencjał stoczniowy ewidentnie gra na korzyść Chin, to doświadczenie i zgranie załóg lotniskowców jeszcze przez lata może być wielkim atutem Amerykanów. US Navy właściwie cały czas używa swoich największych okrętów w misjach bojowych, a tymczasem Chińczycy – na razie – muszą ćwiczyć „na sucho".

Jednym z takich ekspertów jest Aita Moriki z Narodowego Instytutu Studiów Obronnych w Tokio (podlegającego japońskiemu ministerstwu obrony), który jesienią zeszłego roku napisał raport pt. „Chiński lotniskowiec »Fujian«: Przełom osiągnięty, wyzwania przed lotnictwem pokładowym".

„Doświadczenie podpowiada, że lotniskowiec »Fujian« i nowe bazujące na nim samoloty osiągną prawdziwą gotowość operacyjną dopiero po wielu latach eksperymentów" – pisze Aita Moriki. Pytanie, czy w przypadku ewentualnej wojny w Azji Wschodniej Chińczycy znów nie zadziwią ekspertów...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Wojna sprzyja

Maciej Pieczyński

Nadzieje na to, że obrona przed inwazją rosyjską wykreuje nowy panteon ukraińskich bohaterów, okazały się płonne. Jest wręcz przeciwnie: wojna z Rosją tylko umocniła kult OUN i UPA nad Dnieprem

Ukraińscy nacjonaliści świętują 117. rocznicę urodzin Stepana Bandery, Lwów, 1 stycznia 2026 r. FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

W nowy rok Ukraina weszła z imieniem Stepana Bandery na ustach. Jak co roku zresztą. 1 stycznia to w końcu data urodzin przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, którego kult nad Dnieprem nie maleje, lecz rośnie. Tradycyjnie tego dnia ulicami wielu miast przechodziły marsze ku czci Bandery. Sytuację zmieniła inwazja rosyjska. Ale tylko pod względem technicznym. W Kijowie marsze nie odbywają się od 2023 r., z uwagi na przepisy o stanie wojennym, zakazujące organizacji masowych zgromadzeń. Inaczej jest na zachodzie kraju. Po pierwsze dlatego, że kult OUN-UPA ma tam dłuższą tradycję niż w innych regionach. Po drugie dlatego, że rosyjskie bomby spadają tam stosunkowo rzadko.

We Lwowie urodziny zbrodniarza po wybuchu wojny skromnie, ale jednak świętowano. 1 stycznia 2026 r. po raz drugi w formie tradycyjnego marszu z pochodniami. Ukraińskie media informowały o tym fakcie w sposób albo neutralny, albo pozytywny. „Idea tego marszu polega na tym, że my, ukraińscy nacjonaliści, pamiętamy, kim był Stepan Bandera, pamiętamy naszą historię i jego walkę wyzwoleńczą" – mówił w rozmowie z portalem Suspilne szef organizacji Ukraińska Samoobrona Ludowa Wołodymyr Fercowycz. Przyznał też, że celem marszu jest popularyzacja nacjonalizmu wśród młodzieży. „W pierwszych dniach wojny to właśnie ukraińscy nacjonaliści poszli bronić kraju jako ochotnicy. Wojna wciąż się toczy, żyjemy na wojnie. Powinniśmy pamiętać naszą kulturę, nasze zwyczaje. Nie możemy tracić naszej tożsamości, musimy walczyć" – dodał Fercowycz. Media nad Dnieprem o urodzinach Bandery piszą albo neutralnie, albo pozytywnie. Portal nv.ua, relacjonując marsz, nazywa „jubilata" „jednym z najbardziej znanych bojowników o niepodległość Ukrainy w XX w.". Nigdzie nie pada ani jedno słowo wiążące Banderę ze zbrodniami na Polakach.

ISKRA NA PROCHU

Przez jakiś czas po 24 lutego 2022 r. w polskiej debacie publicznej dość powszechna była nadzieja na to, że bohaterowie obecnej wojny z Rosją zastąpią w ukraińskim panteonie terrorystów i zbrodniarzy z OUN czy z UPA. Warunki, mogło się wydawać, były idealne. Największy konflikt w Europie od 1945 r. Pełnoskalowa wojna, w której stawką jest niepodległość. Ginący na jej froncie żołnierze po prostu muszą stać się obiektem kultu. Ich ofiara nie może przecież budzić jakichkolwiek kontrowersji. Poza tym, żeby czcić ich pamięć, nie trzeba znać historii – wystarczy mieć świadomość, że zginęli w walce ze śmiertelnym wrogiem ojczyzny. Tymczasem Ukraińcy, zamiast wynosić na narodowe ołtarze współczesnych bohaterów, wskrzeszają tych sprzed prawie stulecia. Bandera i Roman Szuchewycz przeżywają renesans swojej popularności. W dużej mierze dzięki Rosji. Bynajmniej nie w tym sensie, że kult OUN-UPA został wykreowany przez wszechwładnych kremlowskich polittechnologów. Ukraińcy sami stawiają Banderze pomniki, z własnej woli wynoszą na sztandary Szuchewycza. To wyłącznie ich odpowiedzialność. Natomiast faktem jest, że inwazja rosyjska zadziałała w tym wypadku jak iskra na prochu. Nad Dnieprem panuje zafałszowana historia ruchu nacjonalistycznego. Według tej wersji OUN i UPA bohatersko walczyły o niepodległość Ukrainy najpierw z Polakami, potem z Sowietami, a na ich nieskazitelnym wizerunku nie sposób znaleźć ani kropli niewinnej krwi, ani jednej czarnej plamy zbrodni wojennej. Skoro dziś wrogiem jest Rosja, sojusznikiem zaś Polska, to ukraińscy politycy, historycy i publicyści formułują mniej więcej taki przekaz. Po pierwsze, robimy z OUN-UPA bohaterów, bo walczyli o niepodległość. Po drugie, na pretensje Polaków odpowiadamy: „Nie będziecie nam dyktować, kogo czcimy,

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Banderze

poza tym przecież nasi bohaterowie są święci; jeśli były nawet zbrodnie, to wy też ich dokonywaliście". Po trzecie, skoro Rosjanie nazywają nas „banderowcami" i przez wszystkie przypadki odmieniają „ukraiński neonazizm", to tym bardziej będziemy się afiszować z tym kultem – na złość Moskwie. Paradoksalnie zatem Putin przyczynił się do kultu Bandery na Ukrainie. Kult ten jest mu zresztą na rękę, stanowi bowiem argument na rzecz tezy o „faszystowskiej kijowskiej juncie".

„Popularność" Bandery i Szuchewycza w Rosji oraz ich prawdziwa popularność na Ukrainie nie wyczerpują odpowiedzi na pytanie, dlaczego kult nowych bohaterów nie wyparł kultu OUN-UPA. Jest jeszcze inny powód. Otóż odpowiedzialni za zbrodnię wołyńską nacjonaliści są bohaterami nie tylko dla ukraińskiej opinii publicznej, klasy politycznej czy medialnej, lecz także dla bohaterów obecnej wojny. Czyli dla tych, których pomniki miały stanąć na miejscu pomników czerwono-czarnych. W Konotopie w obwodzie sumskim pojawiła się ul. Wałerija Załużnego. To akurat, rzecz jasna, argument na rzecz tezy, w myśl której jednak Kijów upamiętnia nowych bohaterów. Po pierwsze jednak, zdarza się to stosunkowo rzadko. Można to poniekąd zrozumieć – zawsze bardziej wypada uhonorować poległego niż wciąż żyjącego bohatera. Po drugie natomiast, Załużny dał się kiedyś sfotografować z portretem Bandery w tle, co świadczy, że kult lidera OUN co najmniej mu nie przeszkadza. Jak wiadomo, wtedy zdjęcie zostało usunięte z mediów społecznościowych najprawdopodobniej po polskiej interwencji.

Jesienią 2024 r. lwowska rada miejska jednogłośnie zadecydowała o ustanowieniu w mieście pomnika Romana Szuchewycza. Pomysłodawcą uhonorowania dowódcy UPA był Anton Petrykiwśki, żołnierz 80. Samodzielnej Brygady Desantowo-Szturmowej Sił Zbrojnych Ukrainy. W tej inicjatywie poparli go również jego towarzysze broni. Upamiętnienia ludobójcy Polaków nie domagała się więc jakaś skrajna organizacja nacjonalistyczna, tylko bohaterowie walczący dziś w obronie niepodległości swojego kraju. Pomnik ma być odpowiedzią na zbombardowanie przez Rosjan muzeum Szuchewycza, znajdującego się w domu, w którym zbrodniarz zginął w potyczce z NKWD. Petrykiwśki, wykładając w obszernym wpisie na Facebooku powody, dla których należy uhonorować dowódcę UPA, pisał o tym, że tylko dzięki banderowcom Moskwie nie udało się zrusyfikować Ukrainy Zachodniej, tak jak to się stało na wschodzie kraju. Szuchewycz zatem, zdaniem bohatera obecnej wojny z Rosją, powinien zostać uhonorowany za bohaterstwo w poprzedniej wojnie z Moskwą. O odpowiedzialności za mordy na Polakach, rzecz jasna, Petrykiwśki milczy. We wpisie na temat Szuchewycza nazywa wprost Siły Zbrojne Ukrainy „prawnym następcą UPA w wojnie o tę samą niepodległość Ukrainy".

W RAMACH „DEKOLONIZACJI"

Popularność nacjonalizmu w Galicji jest faktem oczywistym i powszechnie znanym od dawna. Natomiast wojna z Rosją sprawiła, że również centrum, południe, a nawet wschód kraju uległy banderyzacji. Widać to wyraźnie w toponimii tamtejszych miejscowości. W Mikołajowie ulicę rosyjskiego poety Wasilija Żukowskiego latem 2024 r. przemianowano na ul. Romana Szuchewycza. Jesienią 2023 r. w mieście Hłobyne w obwodzie połtawskim (centralna Ukraina), w ramach „dekolonizacji", zmieniono 76 nazw. Wśród nowych patronów ulic czy placów, oprócz twórców kultury takich jak Łesja Ukrainka, Wasyl Stus czy Hryhorij Skoworoda, pojawili się również Bandera i Szuchewycz. W lipcu 2024 r. w Czernihowie (północny wschód kraju, miasto obwodowe) zmieniono 35 nazw, wpisujących się w miejską toponimię. Bandera dostał ulicę i aleję swojego imienia. Imieniem Szuchewycza nazwano ulicę, której dotychczasowym patronem był Aleksander Hercen – rosyjski pisarz o poglądach wolnościowych, przeciwnik carskiego despotyzmu, sympatyk polskiego ruchu narodowowyzwoleńczego. W Krzemeńczuku nad Dnieprem (obwód połtawski) w październiku 2022 r. ulicę Młodej Gwardii przemianowano na ulicę Szuchewycza. Swojego zadowolenia z tego powodu nie krył regionalny przedstawiciel Ukraińskiego IPN w obwodzie połtawskim Ołeh Pustowhar. „To symboliczne, że w Kremeńczuku uczczono pamięć bojownika o niepodległość

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Romana Szuchewycza akurat w roku pełnoskalowej inwazji rosyjskiej oraz w roku, w którym, zgodnie z uchwałą Rady Najwyższej, 80. rocznica powstania UPA została uczczona na poziomie państwowym" – komentował Pustowhar, cytowany przez portal Novynarnia. Przy czym warto dodać, że uchwała ta podjęta została jeszcze w grudniu 2021 r. Zatem jeszcze przed inwazją rosyjską Kijów był zdecydowany hucznie świętować jubileusz banderowskiej partyzantki. Pustowhar, chwaląc kremeńczuckie władze miejskie, dodał: „Wczoraj UPA – dziś Siły Zbrojne Ukrainy". To hasło dobrze oddaje podejście do banderyzmu, prezentowane przez elity rządzące nad Dnieprem.

Kult OUN-UPA po wybuchu wojny zyskał popularność również w rosyjskojęzycznym obwodzie odeskim. W marcu 2023 r. we wsi Striukowe pojawiły się ulice Bandery, Strzelców Siczowych, a także Bohaterów Niebiańskiej Sotni (czyli demonstrantów, poległych podczas Euromajdanu). W Dobrosławiu z kolei swoją ulicę otrzymał Szuchewycz. Co ciekawe, w tej samej miejscowości, na podstawie tej samej decyzji lokalnych władz, pojawiła się ul. Polska. Pojedyncze dowody wdzięczności wobec Polaków sąsiadują w toponimice miast z o wiele częstszymi dowodami kultu morderców Polaków.

Wiosną 2024 r. „dekolonizacja", w dużej mierze będąca „banderyzacją", dotarła również do Chersonia, czyli do jedynego miasta obwodowego, które podczas pełnoskalowej wojny udało się Rosjanom zdobyć. Wśród 24 nowych nazw znalazł się prospekt Szuchewycza. Symboliczne, że wcześniej patronem prospektu był Michaił Kutuzow. Często właśnie tak to się odbywa – dowódcy UPA zastępują dowódców rosyjskich lub sowieckich.

Od lata 2024 r. ulicami Bandery i Szuchewycza mogą się przechadzać również mieszkańcy Berdyczowa w centrum kraju (Żytomierszczyzna). Z kolei od września 2024 r. swoją ulicę Bandery może się „pochwalić" Dnipro – duże obwodowe miasto na południowym wschodzie Ukrainy, w regionie zdecydowanie rosyjskojęzycznym. W tym samym regionie położone jest Zaporoże – dawne serce Kozaczyzny. Tutaj, podobnie jak w wielu innych miejscowościach, kult OUN-UPA nie jest wymuszany przez władze centralne, tylko staje się potrzebą chwili, artykułowaną oddolnie przez lokalne społeczeństwo obywatelskie, na fali patriotycznego uniesienia. Kilka miesięcy temu zaporoski historyk Pawło Krawczuk rzucił propozycję, by Majdan Uniwersytecki przemianować na Majdan Bandery. Ulica lidera OUN pojawiła się też w podkijowskim Iziumie.

W przekonaniu liderów ukraińskiej opinii publicznej Stepan Bandera i Roman Szuchewycz nie tylko nie kłócą się z wartościami zachodnimi, lecz także są ich… obrońcami i wyrazicielami

Również ukraińscy celebryci z dumą obnoszą się z kultem nacjonalistów. Bokser Ołeksandr Usyk wsparł finansowo odbudowę lwowskiego muzeum Szuchewycza. W reakcji na ten gest prezydent Karol Nawrocki odwołał spotkanie ze sportowcem. Kilka miesięcy temu głośny był przypadek Ołeny Mandziuk. Ta znana lwowska influencerka pochwaliła się na Instagramie, że zamierza przekroczyć granicę z Polską ubrana w bluzę z wizerunkiem Stepana Bandery. Nawet niektórzy jej ukraińscy fani byli oburzeni, zwłaszcza ci mieszkający w Polsce. „Wstyd mi za tych, którzy nie znają historii Ukrainy, którzy nie szanują własnych bohaterów, zasłużonych w walce o naszą wolność" – tak Mandziuk zareagowała na krytykę. Ostatecznie jednak post usunęła.

KWESTIA INTEGRACJI Z ZACHODEM

Wzrost popularności OUN-UPA na terenie całej Ukrainy widoczny jest wyraźnie w badaniach opinii publicznej. W 2013 r. działalność OUN-UPA podczas drugiej wojny światowej pozytywnie oceniało 22 proc. Ukraińców, w 2022 r. – aż 43 proc. Tak wynika z sondaży przeprowadzonych przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii. Z kolei według badań Centrum Razumkowa i fundacji Inicjatywy Demokratyczne po wybuchu wojny o 19 proc. zwiększył się odsetek Ukraińców, którzy pozytywnie oceniają działalność Bandery.

Jak kult nacjonalistów i ludobójców można pogodzić z prozachodnim wektorem polityki Kijowa? Jak stawianie pomników zbrodniarzom wojennym można pogodzić z dążeniem do integracji z UE czy NATO? Bardzo prosto. Otóż w przekonaniu liderów ukraińskiej opinii publicznej Bandera i Szuchewycz nie tylko nie kłócą się z wartościami zachodnimi, lecz także są ich… obrońcami i wyrazicielami. Bo przecież walczyli z Rosją, która była i jest zagrożeniem również dla Europy. Walczyli o wolność, która jest jedną z najważniejszych dla Zachodu idei. Brzmi absurdalnie, ale taki jest stan wiedzy i świadomości elit ukraińskich. Nieprzypadkowo najbardziej znana tamtejsza feministka Oksana Zabużko jednocześnie jest wielbicielką Szuchewycza. W ukraińskich miastach flagi UPA powiewają obok unijnych. Znany ukraiński politolog Ołeksij Harań stwierdził już jakiś czas temu, że „wschód Ukrainy staje się banderowski", gdyż rosną tam nastroje pronatowskie. Przedstawił taką tezę bez cienia ironii.

Ukraińcy są przekonani, że Bandera nie tylko nie przeszkodzi im w wejściu do zachodnich struktur, lecz także pomoże. Bo tradycja OUN-UPA zagrzewa Ukraińców do walki z Rosją… w obronie Europy. I nie widać absolutnie żadnych szans na to, by Kijów z tej tradycji miał zrezygnować. Musiałby przecież na gwałt poszukać jakichś innych bohaterów w swojej przeszłości. Obecni nie wystarczą. I kogo by znalazł? Na pewno nie Symona Petlurę, który cieszy się sympatią Polaków, ale Ukraińcy pamiętają, że wszystko przegrał, a poza tym zgodził się oddać Józefowi Piłsudskiemu Lwów. Bohdan Chmielnicki? Z nim, podobnie jak z Banderą, nie mamy najlepszych wspomnień. Największe sympatie już od lat budzi poeta Taras Szewczenko. Na swoim koncie ma zarówno pro-, jak i antypolską twórczość. Ale przecież poeta nie nadaje się na symbol walki zbrojnej. Musi być dowódca wojskowy. Najlepiej niezłomny w walce z Moskwą. I tu, niestety, lepszego niż ludobójca Szuchewycz nie znajdą…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Narzekajmy nadal!

Wykpiwana przez wielu, w tym przeze mnie, cecha Polaków sprowadzająca się do wiecznego narzekania przez nas na wszystko i na wszystkich, w gruncie rzeczy ma jednak jedną, ale za to wielką zaletę. Jest nią wieczna niezgoda na zadowolenie ze stanu obecnego, która zazwyczaj zachęca do naprawiania i poprawiania wszystkiego i wszędzie; rzecz jasna pod warunkiem, że nie skłania do popadnięcia w marazm, bo i to się niektórym czasami zdarza.

Dlaczego o tym piszę? Ano dlatego, że zapoznałem się z wynikami sondażu, z których wynika, iż zaledwie 16 proc. z nas ocenia obecną zamożność Polski na tyle wysoko, by mogła znaleźć się wśród 20 najbogatszych państw świata. A przecież właśnie się tam znalazła – wg prognozy ogłoszonej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy PKB Polski miał osiągnąć w 2025 r. 1,04 bln dol., co daje gospodarce naszego kraju – a więc i Polsce – 20. pozycję na świecie.

Tymczasem według wspomnianych wyżej badań, przeprowadzonych przez ARC Rynek i Opinia, jedynie 5 proc. z nas uważa Polskę za kraj bogaty, a 11 proc. – za biedny; reszta – 84 proc. – za kraj o średnim statusie. Tylko 16 proc., jak już napisałem wyżej, sytuuje Polskę (zgodnie ze stanem faktycznym) wśród 20 najbogatszych państw świata, 43 proc. – wśród państw zajmujących miejsca od 21. do 50., 23 proc. – wśród państw plasujących się na pozycjach od 51. do 100, a 4 proc. Polaków uważa, że Polska znajduje się poza pierwszą setką najbogatszych państw świata.

Na pewno nie ma jednej reguły, którą moglibyśmy polecić tym narodom, które chciałyby nas, Polaków, naśladować w naszej pogoni za prosperity – za lepszym życiem. Z całą pewnością przyczyniły się do tego nasza ogromna determinacja, by jak najszybciej uciec ze strefy biedy i zacofania, którą była PRL oraz wolnorynkowa kontrrewolucja, która tę determinację wspierała.

Wszelako, analizując wyniki przytoczonego sondażu, zastanawiam się, czy jednym z czynników, który także w jakimś stopniu przesądził o naszym sukcesie, nie było właśnie owo – wyśmiewane przez wielu z nas – nasze, Polaków, nieomal narodowe malkontenctwo.

A jeśli tak w istocie było (i jest), to narzekajmy nadal! Nadal bądźmy niezadowoleni ze wszystkiego, co nas otacza, bo to nasz prawdziwy napęd, zasób niespożytej energii, która pcha nas wciąż do przodu. A symbolizujące nasz „nieamerykański", a może nawet „antyamerykański" stosunek do rzeczywistości zwroty w rodzaju „jakoś leci", „po staremu" czy „stara bieda" – w odpowiedzi na pytanie: „Jak się masz?" – okazują się być znakiem firmowym naszej recepty na sukces. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie dwa bieguny, ale jeden

Hasło „PiS-PO jedno zło", zawzięcie krytykowane przez fanów i jednej, i drugiej strony, co chwila znajduje potwierdzenie w faktach. PiS stworzył lub zaprojektował wiele mechanizmów, które obecna władza przejęła i „udoskonaliła".

Od 1 lutego ma w Polsce ruszyć Krajowy System eFaktur, czyli KSeF. Przedsiębiorcy i eksperci ostrzegają, że skończy się katastrofą. W czasie testów system wielokrotnie się zawieszał, jego wydolność stoi pod znakiem zapytania, a obrońcy prywatności wskazują, że tajemnica handlowa po jego wejściu w życie stanie się fikcją. Kto wymyślił KSeF? Zero zaskoczeń: to pomysł i projekt z epoki Mateusza Morawieckiego. PiS wdrożył system jeszcze w 2022 r. jako nieobowiązkowy, a obowiązkowe jego wprowadzenie początkowo planował na 2024 r. Tę datę przesuwano, aż w końcu obecna władza ustawiła ją na 1 lutego (dla małych firm – 1 kwietnia).

> **Fatalny dla Polski duopol udaje, że są dwa bieguny, podczas gdy tak naprawdę to jeden biegun**

Inny przykład: strefy czystego transportu i gigantyczna awantura o SCT w Krakowie. To również pomysł PiS. To ugrupowanie wpisało możliwość tworzenia SCT do ustawy o elektromobilności, potem poszerzyło tę możliwość na wszystkie gminy, a potem wpisało obowiązek do kamieni milowych KPO, co następnie znalazło odbicie w kolejnej ustawie, już za Tuska. Podpisanej bez szemrania przez Andrzeja Dudę.

Kolejna sprawa: system kaucyjny. Uciążliwy, nieefektywny i nakładający faktycznie karę na konsumentów za niewykonanie dodatkowej pracy – to również pomysł z czasów PiS, choć wtedy został zaprojektowany w mniej ekspansywnej postaci.

Jeszcze jeden przykład: awantura w rządzie o uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy. Ten fatalny pomysł to skutek renegocjowania przez obecną władzę kamienia milowego, który musiałby oznaczać identyczne oskładkowanie wszystkich umów – tych o pracę i tych cywilnoprawnych. Kamienia zatwierdzonego przez Mateusza Morawieckiego, który dzisiaj publicznie opowiada, że jest przeciwny takim rozwiązaniom.

Tę listę można by ciągnąć. Wniosek może być tylko jeden: fatalny dla Polski duopol udaje, że są dwa bieguny, podczas gdy tak naprawdę to jeden biegun. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Sprzedawać

Jacek Przybylski

USA pod wodzą Donalda Trumpa zmierzają w kierunku „republiki bananowej" – ostrzegła była szefowa Fed Janet Yellen w reakcji na bezprecedensowy atak Białego Domu na obecnego szefa Rezerwy Federalnej. „Nieprzewidywalna" polityka prezydenta USA może nie tylko wypłoszyć inwestorów z Ameryki, lecz także zdestabilizować globalne rynki

Okazała siedziba Rady Gubernatorów (Fed) przy Alei Konstytucji w Waszyngtonie przez dekady stanowiła symbol stabilności finansowej. Od roku 1913 amerykański bank centralny ma w zasadzie te same cele: dbać o wysoki poziom zatrudnienia i stabilny wzrost gospodarczy, dążyć do zapewnienia stabilności cen i wspierać stabilność systemu finansowego. Aby móc te zadania wykonywać, Fed jest, a przynajmniej powinien być niezależny.

Od początku drugiej kadencji Donalda Trumpa to ostatnie założenie nie jest wcale takie oczywiste. Czterdziesty siódmy prezydent USA z charakterystycznym dla siebie taktem publicznie dawał do zrozumienia, że nie podziela poglądów na politykę pieniężną obecnego szefa Fed Jerome'a Powella. Zdaniem prezydenta stopy procentowe powinny być już dawno dużo niższe. Amerykański przywódca nadał więc szefowi Fed pseudonim Jerome Spóźniony Powell. Próbując wymusić obniżki stóp procentowych, gospodarz Białego Domu w ostatnich miesiącach nazywał bowiem najważniejszego bankiera centralnego świata również „Panem za późno", „upartym osłem", „głupkiem", „kretynem" i „superprzegrywem".

Druga pięcioletnia kadencja Powella – powołanego na to stanowisko przez… Donalda Trumpa za czasów jego pierwszej kadencji – kończy się w maju 2026 r. Od początku drugiej kadencji obecny gospodarz Białego Domu nie tylko ostro krytykował decyzje szefa Fed, lecz także wielokrotnie groził odwołaniem go z urzędu przed oficjalnym końcem kadencji.

Na doniesienia mówiące o tym, że Trump już szuka posłusznego sobie człowieka, który miałby przed czasem zastąpić Powella, gwałtownie zareagowały rynki finansowe. Analitycy finansowi ostrzegli błyskawicznie, że jeśli prezydent rzeczywiście odwoła szefa Fed przed końcem jego kadencji, to reakcja rynków będzie „szybka i brutalna". Eksperci Deutsche Bank wskazywali wówczas, że w takim scenariuszu mogłoby dojść nie tylko do załamania kursu dolara, lecz także do krachu na rynku amerykańskich obligacji rządowych.

Inwestorów już wówczas rozważających ucieczkę ze Stanów Zjednoczonych próbował uspokajać sekretarz skarbu Scott Bessent, przekonując w mediach, że nie widzi powodu, dla którego Powell miałby ustępować ze stanowiska przed końcem kadencji. „Niezależność Rezerwy Federalnej jest kamieniem węgielnym dalszego wzrostu gospodarczego i stabilności USA" – podkreślał Bessent we wpisie w mediach społecznościowych. Sam prezydent w połowie lipca oznajmił zatem, że realizacja takiego scenariusza jest „bardzo mało prawdopodobna", a do wyrzucenia Powella przed końcem kadencji mogłoby dojść jedynie, gdyby dopuścił się on „oszustwa".

Jednocześnie Trump nie ustawał w naciskach na Fed. Pod koniec lipca 2025 r. – jako pierwszy amerykański prezydent od dwóch dekad – złożył wizytę w siedzibie Rezerwy Federalnej. Podczas transmitowanej na żywo konferencji prasowej skrytykował przy tej okazji koszty jej remontu, wskazując, że sięgają one 3,1 mld dol. Nie dał się przekonać Powellowi, że koszt to 2,5 mld dol., a przedstawione przez prezydenta kalkulacje obejmują także prace nad trzecim budynkiem, odnowionym już pięć lat temu. Po zakończeniu spotkania prezydent złagodził jednak swój ton, określił rozmowę z szefem Fed mianem „bardzo dobrej" i… znów wyraził nadzieję na rychłe obniżki stóp. – Może trochę za późno, jak to się mówi, ale wierzę, że postąpi właściwie – stwierdził Trump, który akurat o drogich remontach wie bardzo dużo (wystarczy spojrzeć na szybko ro-

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Prezydent Donald Trump (z lewej) od początku swej drugiej kadencji ostro atakuje szefa amerykańskiego banku centralnego Jerome'a Powella

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Amerykę?

snące koszty przebudowy Wschodniego Skrzydła Białego Domu).

AKT OSKARŻENIA

W tym roku sprawa remontu budynków należących do Rezerwy Federalnej nagle trafiła na czołówki światowych mediów. 9 stycznia 2026 r. Departament Sprawiedliwości doręczył bowiem do Fed wezwania do stawiennictwa przed wielką ławą przysięgłych. Jak ujawnił mediom szef tej instytucji, chodziło m.in. o zeznania Powella z czerwca ubiegłego roku w sprawie wieloletniego projektu renowacji zabytkowych budynków biurowych Rezerwy Federalnej.

– Nikt, a już na pewno nie przewodniczący Rezerwy Federalnej, nie stoi ponad prawem. Jednak to bezprecedensowe działanie należy postrzegać w szerszym kontekście gróźb administracji i ciągłej presji – oznajmił Jerome Powell, podkreślając, że działania śledczych „to tylko preteksty". – Groźba postawienia zarzutów karnych jest konsekwencją tego, że Rezerwa Federalna ustala stopy procentowe w oparciu o swoją najlepszą ocenę tego, co będzie służyć społeczeństwu, a nie zgodnie z preferencjami prezydenta – dodał szef Fed, podkreślając, że w Rezerwie Federalnej pracował za kadencji czterech różnych administracji, zarówno republikańskich, jak i demokratycznych, wykonując swe obowiązki „bez strachu przed polityką".

Powell wielokrotnie tłumaczył, że kolejne decyzje dotyczące amerykańskiej polityki monetarnej podejmuje, biorąc pod uwagę m.in. możliwy wzrost inflacji, a także próbując oceniać skutki polityki celnej prezydenta Trumpa.

W grudniu amerykański Federalny Komitet Operacji Otwartego Rynku (FOMC) zdecydował o obniżeniu głównych stóp procentowych o 25 punktów bazowych (czyli o 0,25 punktu procentowego) do przedziału 3,50–3,75 proc., czyli do poziomu najniższego od trzech lat. Była to już trzecia obniżka stóp przez Fed w roku 2025.

BANKIERZY MUREM ZA POWELLEM

Mimo to zdaniem gospodarza Białego Domu Fed zbyt wolno obniża stopy procentowe. W przeprowadzonym w grudniu 2025 r. wywiadzie dla dziennika „Wall Street Journal" Donald Trump przekonywał, że Stany Zjednoczone powinny mieć najniższe stopy procentowe na świecie. Pytany o to, na jakim poziomie chciałby widzieć stopy procentowe za rok, odpowiedział: „1 proc. albo może niżej". Amerykański przywódca podkreślił, że dzięki tak dużej obniżce stóp spadłyby koszty finansowania długu publicznego wynoszącego 30 bln dol. Trump w wywiadzie nie doszacował skali zadłużenia. Obecnie ten gigantyczny, brzydki dług publiczny USA szacowany jest już bowiem na ok. 39 bln dol. (słownie: trzydzieści dziewięć bilionów dolarów). Niższe stopy procentowe oznaczałyby zdaniem prezydenta nie tylko niższe koszty obsługi długu. Mogłyby również ułatwić Amerykanom zaciąganie nowych kredytów hipotecznych i innych pożyczek.

Akcja amerykańskich prokuratorów, która nastąpiła niecały miesiąc po publikacji rozmowy prezydenta z „WSJ", wywołała gwałtowne reakcje nie tylko inwestorów, lecz także byłych i obecnych szefów banków centralnych. Trudno dać wiarę w zapewnienia prezydenta, że nic nie wiedział o akcji śledczych. W sierpniu ubiegłego roku prezydent podjął bowiem bezprecedensową próbę natychmiastowego usunięcia ze stanowiska gubernatorki Rezerwy Federalnej Lisy Cook w związku z sugestiami, że mogła ona popełnić przestępstwo „fałszowania dokumentów bankowych i rejestrów nieruchomości w celu uzyskania korzystniejszych warunków kredytowych" (Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych w październiku wbrew stanowisku prezydenta orzekł jednak, że Cook może wziąć udział w pozostałych dwóch posiedzeniach Fed w 2025 r.).

Również reakcja członków administracji Białego Domu na śledztwo w sprawie szefa Fed nie pozostawia złudzeń co do intencji prezydenta. – Jerome Powell udowodnił, że nie nadaje się do swojej pracy. Jeśli chodzi o to, czy jest przestępcą, to odpowiedź na to pytanie będzie musiał znaleźć Departament Sprawiedliwości – oznajmiła oficjalnie w zeszłym tygodniu rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt.

Mamy prezydenta, który twierdzi, że Fed powinien obniżyć stopy procentowe, aby obniżyć raty długu federalnego... To droga do republiki bananowej – ostrzegła na antenie telewizji CNBC była przewodnicząca Fed Janet Yellen, dodając,

eprasa.pl b6d7b4f1ea

że dziwi się, iż rynek nie jest bardziej zaniepokojony, ponieważ „powinien być zaniepokojony". Rzeczywiście reakcja amerykańskich inwestorów giełdowych była dość spokojna. Zapewne zakładają oni bowiem, że Trump nie zdecydowałby się na najbardziej radykalny scenariusz, ponieważ słusznie obawia się, iż nagłe odwołanie Powella doprowadziłoby do szybkiego wzrostu rentowności obligacji długoterminowych. Zdaniem cytowanych przez amerykańskie media analityków finansowych reakcja rynków mogłaby się nasilić, gdyby Trumpowi rzeczywiście udało się wpłynąć na politykę Rezerwy Federalnej.

Działania prokuratury przeciwko Fed publicznie skrytykowało już m.in. troje byłych prezesów Fed, w tym Janet Yellen, Ben Bernanke oraz legendarny Alan Greenspan, który na czele amerykańskiego banku centralnego stał przez niemal dwie dekady. Wśród sygnatariuszy oświadczenia znaleźli się także byli sekretarze skarbu Timothy Geithner i Henry Paulson oraz wielu wybitnych ekonomistów. „W ten sposób kształtuje się politykę pieniężną na rynkach wschodzących, gdzie instytucje są słabe, co ma bardzo negatywne konsekwencje dla inflacji i funkcjonowania gospodarek w szerszym ujęciu" – ostrzegli finansiści, dodając, że na ręczne sterowanie polityką pieniężną przez prezydenta „nie ma miejsca w Stanach Zjednoczonych, których największą siłą jest praworządność, będąca podstawą naszego sukcesu gospodarczego".

Na śledztwo wobec prezesa Fed zareagowali też przedstawiciele najważniejszych banków centralnych na świecie, w tym m.in. prezesi Europejskiego Banku Centralnego, Banku Anglii, banków centralnych Szwecji, Danii, Szwajcarii, Australii, Kanady, Korei Południowej czy Brazylii. „Niezależność banków centralnych jest kamieniem węgielnym stabilności cenowej, finansowej i gospodarczej i jej utrzymanie znajduje się w interesie obywateli, którym służymy. Dlatego kluczowe jest zachowanie tej niezależności, z pełnym poszanowaniem praworządności i demokratycznej odpowiedzialności" – czytamy w wydanym w zeszłym tygodniu wspólnym oświadczeniu tych instytucji.

Śledztwo prokuratury federalnej prowadzone przeciwko prezesowi Fed skrytykowali również politycy. I to nie tylko członkowie opozycyjnej Partii Demokratycznej, lecz także część senatorów republikańskich, według których działania śledczych to motywowany politycznie zamach na niezależność banku centralnego. Republikański kongresmen French Hill, przewodniczący Komisji do spraw Usług Finansowych Izby Reprezentantów, ostrzegł, że śledztwo może „podważyć zdolność obecnej i przyszłych administracji do podejmowania rozsądnych decyzji w zakresie polityki pieniężnej". Senator Thom Tillis z Partii Republikańskiej publicznie zapowiedział, że do wyjaśnienia sprawy będzie głosował przeciwko kandydatom Trumpa do zarządu Fed.

1 proc.

MAKSYMALNIE TYLE POWINNY WEDŁUG TRUMPA WYNOSIĆ STOPY PROCENTOWE W USA

KEVIN, CZYLI DONALD

Trudno spodziewać się, aby śledztwo zakończyło się w ciągu najbliższych czterech miesięcy. Można zatem zakładać, że Powell pozostanie na stanowisku do końca kadencji. Czy ulegnie naciskom? Przekonamy się już 28 stycznia. Wówczas ma się odbyć najbliższe posiedzenie Rezerwy Federalnej. Zdaniem inwestorów Fed nie zmieni tego dnia stóp procentowych. Według analityków do pierwszego cięcia o 0,25 p.p. powinno dojść dopiero 17 czerwca, a do kolejnego jesienią obecnego roku. Jeśli tak się rzeczywiście stanie, to w drugiej połowie obecnego roku stopy procentowe w USA spadłyby do przedziału 3,00–3,25 proc. Człowiek Trumpa w Fedzie może jednak prowadzić zupełnie inną politykę pieniężną.

A kto zostanie nowym szefem Fed? To pytanie pozostaje otwarte. W ostatnich miesiącach amerykańskie media podawały, że najpoważniejszym kandydatem na nowego prezesa Rezerwy Federalnej jest szef doradców ekonomicznych Białego Domu Kevin Hassett. Na medialnej giełdzie nazwisk pojawił się też drugi Kevin: były członek Rady Gubernatorów Fedu Kevin Warsh.

Przed kilkoma tygodniami obecny gospodarz Białego Domu potwierdził medialne spekulacje. „Myślę, że jest Kevin i Kevin. Oni obaj… Myślę, że obaj Kevinowie są wspaniali" – stwierdził Donald Trump we wspomnianym wywiadzie dla „Wall Street Journal".

Prezydent rozmawiał już z oboma kandydatami. I obaj mieli go zapewnić, że zgadzają się z opinią, iż powinno się obniżyć stopy procentowe. I chociaż wciąż nie wiadomo, którego Kevina wskaże ostatecznie prezydent, to jedno wydaje się wysoce prawdopodobne: nowy szef Fed o pełnej niezależności banku centralnego raczej będzie mógł zapomnieć. W rozmowie z dziennikarzami „Wall Street Journal" prezydent USA bez ogródek oznajmił bowiem, że następny szef Fed powinien konsultować z nim poziom stóp procentowych. „Nie sądzę, że powinien robić dokładnie to, co mówimy. Ale z pewnością nasz, mój głos jest mądry i należy go słuchać" – podkreślił przywódca Stanów Zjednoczonych.

Doprawdy trudno zgadnąć, dlaczego tak mądry, piękny i wielki prezydent jak Trump jest tak obrzydliwie niedoceniany przez brzydkich, głupich i małych analityków, którzy w dodatku często w swych ocenach bazują na czymś tak niemodnym jak fakty. W końcu podobne podejście do polityki pieniężnej jak Trumpa prezentowało wcześniej wielu potężnych dyktatorów w Afryce i w innych częściach świata. Jeśli jednak źli, podli i niemądrzy inwestorzy nie uwierzą wreszcie w wielki, niepowtarzalny i bezprecedensowy geniusz Donalda Trumpa, to amerykański rynek może w niedalekiej przyszłości dość mocno oberwać. Na przykład cytowany przez „Financial Times" Dan Ivascyn, dyrektor do spraw inwestycji w Pimco, zarządzający funduszem o wartości 2,2 bln dol., ostrzegł w ubiegłym tygodniu, że „nieprzewidywalna" polityka Trumpa napędzi wieloletnią ucieczkę od amerykańskich aktywów. O tym, że trzeba „sprzedawać Amerykę", mówi też coraz więcej inwestorów i analityków. Są nawet tacy, którzy twierdzą, że radykalne i bezpodstawne cięcie stóp procentowych może skończyć się wzrostem inflacji, co zdestabilizuje nie tylko rynki w USA, lecz także uderzy w globalne rynki finansowe, doprowadzając w konsekwencji do wzrostu stóp procentowych. Ale co oni tam mogą wiedzieć…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Dokładają klienci

Jerzy Karwelis

Butelkomaty to złoty interes dla ich operatorów, ale już nie dla konsumentów. To kolejny przykład obnażający obłudę działań ekologicznych

System kaucyjny, po okresie próbnym, 1 stycznia 2026 r. wszedł już w życie. Sam system rodził się w bólach od lat i wychodzi na to, że jest jak z autostradami, na które czekaliśmy latami, aż się ułożyli ci, którzy mieli na tym skorzystać. Najpierw zobaczmy, co wynika z okresu próbnego, choć wcale nie zrobiono go dla samej próby – start systemu odroczono po przyjęciu ustawy jego dotyczącej tylko dlatego, że sam system nie zdążył się na ten start przygotować.

Na 45 tys. punktów zbiórki opakowań zebrano w pierwszym miesiącu działania systemu w całej Polsce… 2,3 tys. opakowań. No, mamy sukces na całego, bo wychodzi, że zebrano jedno opakowanie na… 19 punktów. A tyle było gadania, kampanii i przekonywania, że to nowoczesne i w ogóle. Wielu uważało ten system za idiotyzm, co powyższe wyniki wykazały na podstawie jego znikomej popularności. Ale tu nie chodzi o to, że Polacy – jak zwykle – powoli się wdrażają w rozwiązania postępowe. Ludzie sceptyczni co do zielonych histerii nawet z pewną taką satysfakcją obserwowali zakurzone automaty do zwrotu butelek, radując się, że system sam się wyłożył. Nic podobnego – toż to wielki sukces, ale nie ekologów (jak widać po zbiórce), nie państwa, nawet nie sklepów, tylko bardzo cwanych spryciarzy. Dla nich system wypalił w dziesiątkę, a właściwie w dziesiątki milionów. Miesięcznie.

Im mniej system zbiera, tym więcej zarabia. Cwane, co? Bo system dostaje pieniądze nie za zebrane opakowania, ale z dodatkowej opłaty, którą klient uiszcza przy zakupie każdego pojemnika, bez względu na to, czy go zwróci czy nie. Za plastikowe butelki dodaje się do ceny 50 gr każdego oznakowanego opakowania plastikowego, za szklane: jedną złotówkę. Ot tak, żeby niby zachęcić opornych do zwrotów. W celach ekologicznych. A więc policzmy.

Rocznie statystyczny Polak zużywa ok. 450 pojemników plastikowych i szklanych. Ponieważ nasze dane odnoszą się do jednego miesiąca, podzieliliśmy tę sumę przez 12 i wyszło, że w pierwszym miesiącu systemu Polacy kupili 37 opakowań. Teraz pomnóżmy to przez liczbę konsumentów (tu wziąłem najbardziej korzystne założenie, że te 37 opakowań kupili tylko pełnoletni Polacy). Daje to sumę w pierwszym miesiącu działania systemu kupionych opakowań szklanych i plastikowych na poziomie 23 mln rodaków razy 37 sztuk na każdego, czyli 851 mln butelek. Teraz – znowu łaskawie – przyjmijmy, że każdy z tych konsumentów dopłacił najniższą stawkę do każdej z butelek, czyli 50 gr. Wyszło, że Polacy dopłaciliby – przy pełnym działaniu całego systemu – w statystycznym miesiącu 425 mln 500 tys. zł, a „włożyli" do systemu – w przypadku miesiąca testowego – 2,3 tys. opakowań. Zebrano zatem do butelkomatów 0,00027027 proc. wszystkich butelek, a klienci zapłacili za 100 proc. Teraz kasa – za zbiórkę klienci wpłacili do systemu 425 mln zł, a wyciągnęli z butelkomatów średnio (liczę po połowie za butelki szklane i plastikowe) 1725 zł. Tyle pokazał miesiąc testowy.

Pieniądze z tego systemu idą do siedmiu operatorów, którzy dostają pieniądze za narzut na wszystkie sprzedane butelki, bez znaczenia, ile klienci zwrócili do systemu. Operatorzy zarobiliby zatem – jeśli wszystkie opakowania byłyby w systemie, a tak ma być – lekko licząc, w jednym miesiącu 425 mln zł. Jeżeli policzyć jednorazowy koszt postawienia butelkomatów i ich obsługi na powiedzmy 10 tys. zł, to inwestycja spłaciła się w pierwszym miesiącu. Teraz operatorzy będą zarabiać na czysto (po odciągnięciu kosztów sieci) ok. 400 mln zł miesięcznie, a – jak widać z „popularności" systemu – butelki w dziesiątkach milionów miesięcznie i tak będą zasilały „stary" system, czyli „do kosza", same koszty systemu będą zaś „obciążone" wydatkami odbioru… jednej butelki na 19 punktów. A więc zarobią operatorzy kupę pieniędzy, ale ekologicznie nic to nie zmieni. Tak jak z całym tym Zielonym Ładem.

I teraz najlepsze – wszyscy operatorzy to są tzw. firmy non profit. A non profit to dziwny, bo pieniądze z systemu mają iść na rozwój infrastruktury (czyli więcej butelkomatów – zarobią producenci), transport, czyli w sumie na koszty działalności, sortowanie odpadów – ale tu sortowanie odbywa się w dużej mierze w samym automacie, nie na kosztownej linii segregacji na wysypiskach, gdzie trzeba oddzielić frakcje od „odpadów ogólnych". „Zaoszczędzone" środki pójdą też na edukację, coś jak dochody z ETS na kształcenie postaw proekologicznych.

Można takie koszty sobie produkować bez końca: taki bowiem nonprofitowy operator może stworzyć przecież cały ekosystem do (szybkiego) wydawania tych nadmiarowych pieniędzy z kolegami królika, i to po niekontrolowanych cenach. To dlatego tak długo trwało z tym wprowadzeniem systemu kaucyjnego, by wszyscy gracze, wraz z królikami, ułożyli się w system, gdzie każdy wziąłby swoją część. I to w systemie, który działa bez znaczenia, czy jest w ogóle efektywny. To kolejny przykład obnażający obłudę działań ekologicznych, które nie przynoszą żadnych środowiskowych efektów, dają tylko zarobić tym, którzy sami system stworzyli, okładając parapodatkiem konsumentów przez sztuczne podnoszenie kosztów, co jest uzasadniane dogmatami o płonącej planecie.

W końcu chodzi o 5 mld zł rocznie wyciągniętych z powietrza, a właściwie z kieszeni konsumentów. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Z Grzegorzem Krychowiakiem, popularnym polskim piłkarzem
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Zawsze można zajść wyżej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Czołówka serialu o panu, który jest dostępny w serwisie SkyShowtime, skojarzyła mi się z filmami o Jamesie Bondzie.

GRZEGORZ KRYCHOWIAK: Też tak pomyślałem, kiedy zobaczyłem to pierwszy raz.

Tytuł „Krychowiak: krok od szczytu" sugeruje, jakby czegoś zabrakło do wejścia na sam szczyt w trakcie kariery piłkarskiej?

Nie chcę zdradzać zbytnio fabuły, bo do tego tytułu jest wiele odniesień w samym serialu, ale mogę powiedzieć, że według mnie każdy ma swój szczyt i tylko od niego zależy, jak wysoko dotrze na swojej drodze. W drodze na Mount Everest doszedłem do takiego momentu, który odpowiednio pokazuje moją karierę piłkarską.

Jako piłkarz mógł pan zajść jeszcze wyżej?

Zawsze można zajść wyżej. Zawsze można zrobić coś lepiej, więcej pracować, podjąć lepsze decyzje dotyczące zmian klubów. Czy jednak, będąc wyżej, stałbym się bardziej spełnionym lub szczęśliwym zawodnikiem, to jest już inna kwestia. To jest gdybanie, a ja biorę swoją karierę taką, jaka była.

Miał pan poczucie, że w pewnym momencie stał się jedną z trzech, czterech największych gwiazd polskiego futbolu?

Nigdy czegoś takiego nie odczuwałem, choć były takie momenty, w których byłem na bardzo wysokim poziomie sportowym. Stanowiłem o sile reprezentacji Polski i w swoich klubach byłem ważną postacią. Czuję się spełniony.

Startował pan z malutkiego Mrzeżyna, położonego w województwie zachodniopomorskim. Do wielkich klubów jest stamtąd dość daleko. Przez to było trudniej wdrapać się na ten poziom?

To, skąd pochodzę, nie odgrywało większej roli na początku kariery, bo jeśli chcesz się rozwijać, to musisz zmieniać kluby na lepsze i przeprowadzać się do większych miast. Nie czułem, że zaczynałem z poziomu „minus pięć". Jeśli startujesz do wielkiego świata z mniejszych miejscowości, zaczynasz w trudniejszych warunkach, to mocniej kształtuje się charakter, a to z kolei procentuje w późniejszej części kariery.

Mocny charakter przydaje się, gdy się siada na ławce rezerwowych albo trafia do szatni pełnej silnych osobowości?

Dokładnie tak jest. To w trudniejszych momentach, gdy na boisku popełniasz błędy, coś idzie nie po twojej myśli, pokazujesz silny charakter. Z kolei sukcesy powinny uczyć szacunku, bo nawet jeśli występujesz na wielkiej scenie, wszystkie reflektory są na ciebie skierowane, słyszysz pochwały, to wszystko może się zmienić bardzo szybko.

Kiedy wykorzystał pan rzut karny w meczu ze Szwajcarią na Euro 2016, był pan w Polsce bohaterem, a kiedy cztery lata później dostał pan czerwoną kartkę w meczu ze Słowacją, stał się wrogiem numer jeden?

Uprawiałem najpopularniejszy sport na świecie, z którym nierozerwalnie wiążą się olbrzymie emocje i trzeba ten fakt zaakceptować. Jeśli ktoś nie potrafi się z tym pogodzić, to lepiej, żeby nie wychodził na boisko.

Powiedział pan, że trzeci odcinek serialu, który opowiada o pana porażkach, jest pana ulubionym.

Fajnie się mówi o lepszych momentach, zwycięstwach, ale to porażki pokazują prawdziwego człowieka. Ludzie nas widzą na boisku, kiedy jesteśmy oklaskiwani, a na koniec dnia, kiedy wracamy do domu, pozostajemy zwykłymi ludźmi, którym czasem coś wychodzi, a czasem nie.

W Polsce uważa się, że jeśli polscy piłkarze przegrywają, to dlatego, że zabrakło im woli walki.

Mógłbym sobie zarzucić wiele rzeczy, ale nigdy braku woli walki. Mogło mi nie starczyć umiejętności, ale zawsze dawałem z siebie wszystko. To jest główna cecha mojego charakteru i to pokazywałem na boisku.

Wziął pan sobie dodatkowy ciężar na plecy, wybierając w reprezentacji numer „10"? Kibice zawsze oczekują od takiego piłkarza czegoś wyjątkowego.

Podszedłem do tego na spokojnie i nigdy nie odczuwałem dodatkowej presji z tego powodu.

eprasa.pl b6d7b4f1ea

W serialu opowiada pan o swoim życiu, ale miał też pan spory udział w jego powstawaniu. Jest niepewność, czy historia zainteresuje widzów?

Zależało mi przede wszystkim na autentyczności. Chciałem, żeby historia przedstawiona w serialu była taka, jak potoczyła się naprawdę, czyli czasami zabawna, a momentami trochę trudniejsza.

Czy dobrze słyszałem, że w pewnym momencie podczas rozmowy z tatą na stepie w Mongolii zadrżał panu głos?

Tak było, to były prawdziwe emocje, które pojawiły się naturalnie, bo takich rzeczy nie da się zaplanować. Kilka innych, dobrych scen trafiło do serialu w ten sam sposób. Kiedy jesteśmy w Sewilli i wspominamy tamte sukcesy, w pewnym momencie pada zdanie: „Czy ktoś widział jedenastu Krychowiaków?". Nawet nie pamiętam, kiedy ktoś to powiedział. Kiedy Wojtek Szczęsny mówi, że „mi się morda nie zamyka", to też jest spontaniczne. Po prostu zapomniałem, co chciałem powiedzieć w tamtym momencie. Serial pokazuje nas takimi, jacy jesteśmy.

Szczęsny był najbliższą panu osobą w reprezentacji?

Zdecydowanie tak, na każdym zgrupowaniu byliśmy razem w pokoju.

Gdyby mógł pan wykreślić ze swoich 100 meczów w reprezentacji ten nieszczęsny ze Słowacją, to by pan to zrobił?

> **Fajnie się mówi o lepszych momentach, zwycięstwach, ale to porażki pokazują prawdziwego człowieka**

Nie usunąłbym go. Po zakończeniu kariery biorę ją taką, jaka była, z dobrymi momentami i z błędami, które popełniłem. Bez złych momentów to wszystko byłoby nijakie, a dzięki temu moja historia jest właśnie taka, jak u niejednego sportowca.

Wyjechał pan z domu wcześnie, został obywatelem świata i tata panu wypomina, że w domu zjawia się pan raz do roku.

I ma rację. Zaniedbywałem troszkę rodziców, nie przyjeżdżając zbyt często do domu. Zdałem sobie sprawę, że powinienem się tam zjawiać częściej. Teraz jestem w Polsce regularnie.

Mieszkanie ma pan w Paryżu.

Dom to nie jest tylko miejsce. Liczy się to, kto się w nim znajduje.

Mieszka pan w Paryżu, żona jest Francuzką i kontaktu z Polską będzie coraz mniej. Wnuki już może nie będą mówiły w języku przodków?

Aż tak daleko nie wybiegam w przyszłość. Spędzam w Polsce dużo czasu i jestem spokojny o to, czy dzieci będą mówiły po polsku. Teraz jestem częściej w Warszawie niż w Paryżu.

Ma pan tutaj firmę. Kiedy pojawiło się zainteresowanie modą?

Dosyć szybko po wyjeździe do Bordeaux. Lubiłem się dobrze ubrać, sprawiało mi to przyjemność.

Nie stał się pan zakładnikiem własnego wizerunku? Zawsze musi pan być dobrze, elegancko ubrany?

Nie chodzę tylko w garniturach, koszulach i kamizelkach. Chodzę też w innych stylizacjach, a warto pamiętać, że nawet ubierając się w dres, można albo popełnić błędy, albo wyglądać fajnie. Nie ma jednej reguły. Poza tym wychodzę z założenia, że ubieranie się w coś przede wszystkim powinno sprawiać mi przyjemność. Inni niech się ubierają, jak chcą.

Ma pan ambicje, żeby pokazywać, jak warto się ubierać i że nie musi to kosztować fortuny?

Dzięki kreacjom mojej marki Balamonte chcę pokazywać, jak można elegancko wyglądać, a jeśli ktoś to doceni i ubierze się w ten sposób, to będzie mi bardzo miło. Tymi stylizacjami chcę pokazać, że można wyglądać elegancko, stawiać na mocne kolory, a nie tylko szare i pastelowe, a jednocześnie wyglądać spójnie. Z mężczyznami jest tak, że można im opowiadać o modzie, ale koniec końców trzeba im to pokazać. Jeśli mężczyzna czegoś nie zobaczy, to trudno mu to sobie wyobrazić.

Wróćmy jeszcze do futbolu. Czemu nie wyszło panu w PSG?

Z jednej strony była duża konkurencja, a z drugiej nie do końca pasowałem do taktyki i sposobu gry. Trener stawiał na bardziej ofensywnych zawodników, a miał pod dostatkiem świetnych piłkarzy, bo obrona w Paryżu nie była tak ważna jak atak. W lidze francuskiej, gdzie PSG ma zazwyczaj ogromną przewagę na boisku, nie trzeba tak mocno zabezpieczać tyłów. Nie usprawiedliwiam się jednak, nie szukam wymówek. Zawsze grał najlepszy i ten, który na to zasługiwał.

Może gdyby pan został w Sevilli, to by pan został legendą tego klubu?

Może kariera potoczyłaby się inaczej, ale znów się bawimy w gdybanie. Z klubu odchodził Unai Emery, przychodził nowy trener i nie wiadomo, czy by na mnie stawiał. W karierze piłkarza jest wiele znaków zapytania.

Odżył pan w Moskwie.

Jako miasto Moskwa naprawdę jest bardzo interesującym miejscem do życia. Piłkarsko się broniłem, bo to był znów Krychowiak z Sevilli, tyle że w nowym otoczeniu. Żałuję, że historia tak się potoczyła.

Gdyby nie wojna, to może zostałby pan tam i grał do tej pory w piłkę? Potem był wyjazd do Arabii Saudyjskiej i na Cypr.

Może, może, może. Nie chcę wybierać z karty swoich dobrych momentów, a skreślać złych. Moglibyśmy dzięki temu pisać niewiarygodne scenariusze.

Na koniec zagrał pan w Mazurze Radzymin w lidze okręgowej. To wyglądało jak jakiś performance.

Siedzieliśmy z Kubą Grabowskim [Quebonafide – przyp. Ł.M.] tak jak teraz z panem i zapytał: Zagrasz u mnie? Zgodziłem się. Nie było w tym głębszej historii, nikt nie musiał mnie przekonywać.

Było ryzyko, że rywale będą chcieli coś panu udowodnić?

Nawet w okręgówce musisz być skoncentrowany, bo ktoś chce coś pokazać, wygrać pojedynek z Krychowiakiem, a ja nie chcę go przegrać. Nawet na najniższym poziomie rozgrywkowym objawiają się emocje związane z piłką nożną, jest rywalizacja, która to wszystko napędza.

Co teraz?

Na razie kręcę kolejny program i planuję, że w przyszłym roku go zobaczymy. Mam nadzieję, że będzie równie interesująco.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Baturyn, ostatnia stolica Mazepy

JACEK KOMUDA

Według „Słownika geograficznego" Baturyn założony został w 1576 r. przez króla Stefana Batorego i nazwany na jego cześć Batorynem. W rzeczywistości miasto powstało, kiedy okoliczne włości nadane zostały Aleksandrowi Piaseczyńskiemu, kasztelanowi kamienieckiemu i później kijowskiemu. W 1625 r. jego sługa, Matwiej Stachurski, założył tutaj fortecę, którą w czasach buntu Chmielnickiego przejęli Kozacy. Dopiero jednak w 1669 r., po podziale Ukrainy, rada starszyzny postanowiła ustanowić Baturyn stolicą hetmanatu Lewobrzeża. Niestety, kolejni zasiadający tutaj hetmani skończyli źle. Mnohohriszny został obalony przez zbuntowanych Kozaków. Drugiego – Iwana Smojłowicza – oskarżono o próbę wyrwania się spod władzy Moskwy i zesłano na Syberię. Kolejny hetman – Iwan Mazepa, będący szlachcicem zbiegłym z Rzeczypospolitej – znacznie rozbudował Baturyn, czyniąc z niego rezydencję na wzór posiadłości magnackich. Za jego czasów mieściły się tutaj pałac hetmana, który wszakże zbudowany był pod miastem, na brzegu Sejmu, generalna kancelaria i sąd wojskowy. Zbudowano także Kureń Wojskowy – czyli budynek administracyjny dla urzędników administracji hetmańskiej. A także Kureń Kancelaryjny – będący czymś w rodzaju szkoły administracji kozackiej przygotowujący zatrudnionych tam Kozaków do przyszłej pracy na urzędach. Sam Baturyn stał się wówczas cytadelą – otaczały go wały i drewniane mury – horodnie, zaopatrzone w hurdycje, czyli zadaszone ganki na szczycie – oraz drewniane baszty. Najważniejszą częścią fortyfikacji była cytadela, w której mieściły się oficjalna kwatera Mazepy i jego kancelaria. Tutaj też znajdowały się skarbnica i skład artylerii, prochów, zapasów oraz innych materiałów wojennych. Być może Mazepa nakazał wzmocnić Baturyn fortyfikacjami bastionowymi. Jeśli nawet tak było, to nie zapobiegły one jego upadkowi.

RYS. OBA

Kozacki hetman obawiał się polityki cara Piotra I dążącego do ograniczenia swobód i był skłócony z jego doradcą – Aleksandrem Mienszykowem, który usiłował przejąć władzę na Ukrainie Lewobrzeżnej. W 1708 r., w trakcie wielkiej wojny północnej, Mazepa zawarł układy z władcą Szwecji Karolem XII i osadzonym przez niego na tronie polskim królem Stanisławem Leszczyńskim, zakładające podporządkowanie na nowo Lewobrzeżnej Ukrainy Rzeczypospolitej, na warunkach ugody hadziackiej. Hetman zobowiązał się do wsparcia Szwedów walczących z carem Piotrem I, wybudowania im mostów i wydania twierdz – Staroduba, Nowogrodu Siewierskiego i całej Siewierszczyzny. Miał także oficjalnie przyłączyć się do Karola XII razem z Kozakami.

Mazepa jednak nie śpieszył się, czekając na rozstrzygnięcie tego, która ze stron okaże się zwycięzcą – Piotr I czy król Szwecji. Niespodziewanie jednak Karol XII skierował się właśnie na Ukrainę, a car także wyruszył tutaj, aby stoczyć nad Dnieprem decydującą bitwę i zażądał od Mazepy wzięcia udziału w wojnie u swojego boku. Wobec tego hetman 8 listopada 1708 r. zgromadził część wojsk kozackich w Bachmaczu i publicznie opowiedział się po stronie Szwedów. Niestety, poparła go bardzo mała część Kozaków – tylko Sicz i ok. 2 tys. zaporożców z Lewobrzeża.

24 października 1708 r. hetman opuścił Baturyn, pozostawiając garnizon pod dowództwem Dmytra Czeczeła i Fryderyka von Königsecka. Wykorzystał to jego wróg – Mienszykow, który zebrał wojska rosyjskie i obległ twierdzę. Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta blokada, gdyby nie zdrada płk. Iwana Nosa, który wpuścił wojsko carskie do fortecy. 2 listopada Baturyn został zdobyty i wymordowany. W pogromie zginęło ok. 6–7 tys. mieszkańców i drugie tyle Kozaków. Mienszykow i jego ludzie dopuszczali się dzikich okrucieństw – gubernatora powiesili na murach, oficerów nabijali na pale. Przerażona ludność uciekała przez rzekę Sejm, po słabym lodzie, który zarwał się pod jej nogami, inni ukrywali się w lochach, w jamach, skąd ich wyciągano; byli ćwiartowani i paleni żywcem w domach. Zabito najemnych żołnierzy kozackich – serdiuków, zrujnowano kancelarię i siedziby urzędów. Nie oszczędzano starców, kobiet ani małych dzieci. Rosjanie zniszczyli też fortyfikacje, aby na zawsze zaginęła pamięć o tym miejscu.

Zdobycie i spustoszenie Baturyna oznaczało, że przepadły zapasy zgromadzone dla szwedzkiej armii. Miało to wpływ na klęskę pod Połtawą w kolejnym roku, kiedy wygłodzona armia Karola XII uległa przeważającym siłom cara Piotra. Mazepa uciekł z nim do Turcji, gdzie zmarł wyklęty nawet przez Cerkiew. Nowym hetmanem obwołano Iwana Skoropadskiego, stolicą został Głuchów, a tereny Lewobrzeżnej Ukrainy Moskale zaczęli nazywać Małorosją, co zostało im do dzisiaj. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

CHERY TIGGO 7 ICE

FOT. JAP

Chery. Ten gigantyczny koncern słynie choćby z tego, że od ponad dwóch dekad eksportuje najwięcej chińskich samochodów w najróżniejsze regiony świata. Tylko w roku 2025 Chery wyeksportowało rekordową liczbę 1,344 mln samochodów (o 17,4 proc. więcej niż rok wcześniej). Aby łatwiej to sobie było wyobrazić: średnio przez cały rok eksportowało jedno auto marki Chery co 23 sekundy.

Nad Wisłą marka Chery oficjalnie zadebiutowała jednak dopiero w ubiegłym roku, więc jeszcze nie wszyscy polscy kierowcy ją kojarzą. Cóż to za auta? I co to takiego to TIGGO? W dużym uproszczeniu TIGGO w Chery zajmuje mniej więcej to samo miejsce, które Škoda piastuje w koncernie Volkswagena. Są to zatem auta praktyczne. Mają ponadczasowy design i charakterystyczny błyszczący grill (nikt nie obejrzy się za nimi na ulicy, ale też raczej nikt ich nie znienawidzi za sam wygląd). A ponieważ auta te są projektowane głównie z myślą o rodzinach, to są też stosunkowo tanie i już w standardzie nieźle wyposażone. Recepta na sukces? Dane sprzedażowe pokazują, że chyba tak. Testowany TIGGO 7 był jednym z najczęściej eksportowanych z Chin SUV-ów segmentu C przez trzy kolejne lata.

Nowoczesny, pięcioosobowy SUV o całkiem słusznych wymiarach (długość 455,3 cm, rozstaw osi 267 cm) również w Polsce został rozsądnie wyceniony. W katalogach jego cena zaczyna się od 124,9 tys. zł za wersję z napędem na przednią oś, ale u dealerów podczas wyprzedaży rocznika można znaleźć egzemplarze za ok. 10 tys. mniej. Nieźle jak na auto, które w podstawowej wersji ma już dwustrefową klimatyzację, dwa ekrany czy bezprzewodową obsługę Android Auto i Apple CarPlay. W najdroższej wersji Prestige na wyposażeniu są już takie bajery jak wyświetlacz HUD, dach panoramiczny, zestaw głośników Sony czy nastrojowe podświetlenie wnętrza (64 kolory do wyboru). Do wyboru są też trzy rodzaje perfum, które są rozpylane, aby w kabinie zawsze ładnie pachniało.

TIGGO 7 występuje również w wersji z napędem na wszystkie cztery łapy. W tym przypadku kierowca ma do dyspozycji aż siedem trybów jazdy, w tym jeden zaprojektowany specjalnie z myślą o śniegu (pozostałe to Eco, Normalny, Sportowy, Terenowy, Piasek i Błoto).

Silnik benzynowy w obu wersjach jest ten sam: 1.6 TGDI o mocy 147 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 275 Nm. Od zera do 100 km/h TIGGO 7 z napędem na jedną oś przyspiesza w ciągu 10,3 s, a odmiana z napędem na wszystkie cztery koła – w 9,4 s. W obu przypadkach auto maksymalnie może się rozpędzić do 180 km/h. Jeździ się tym nawet przyjemnie, ale do prędkości 120 km/h. Przy 140 km/h hałas w kabinie jest już zdecydowanie zbyt wysoki. Zużycie paliwa wynosiło podczas testu w cyklu mieszanym ok. 7,9 l/100 km.

Przestrzeni w kabinie nie brakuje. Jest też sporo przydatnych schowków. Główną rolę na desce rozdzielczej gra 24,6-calowy zakrzywiony, podwójny ekran. Również użyte do wykończenia materiały są całkiem niezłej jakości. Bagażnik ma pojemność 500 l (uwzględniając miejsce na koło zapasowe), a po rozłożeniu siedzeń rośnie do 1305 l. TIGGO 7 jest też wyposażone w ponad 20 zaawansowanych systemów wspomagania kierowcy. W testach zderzeniowych Euro NCAP zdobyło w ubiegłym roku maksymalną ocenę pięciu gwiazdek. Stosunek ceny do jakości jest więc naprawdę przyzwoity.

ANKER SOUNDCORE AEROFIT 2 – WERSJA Z ASYSTENTEM AI

Ciekawe wzornictwo, świetna jakość wykonania, wysoki komfort użytkowania, dobra bateria oraz bardzo przydatny asystent sztucznej inteligencji, który umożliwia np. błyskawiczne tłumaczenie w ponad 100 językach – to największe zalety słuchawek o otwartej konstrukcji chińskiej marki Anker.

Anker Soundcore AeroFit 2 wyglądają nowocześnie i elegancko, a przy tym są wykonane z miękkiego tworzywa i wyjątkowo komfortowe w codziennym użytkowaniu. Dzięki czterostopniowej regulacji nauszników z płynnego silikonu słuchawki można łatwo dostosować do kształtu własnych uszu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Otwarta konstrukcja słuchawek sprawia jednocześnie, że słuchawki bez problemu można nosić długimi godzinami. To również dobry model dla osób aktywnych – np. miłośników joggingu czy jazdy na rowerze. Nie odcinają zupełnie od świata, dzięki czemu słuchanie w nich muzyki podczas poruszania się po mieście jest po prostu bezpieczniejsze. Plusem testowanego modelu jest też całkiem niezła klasa odporności na kurz i zachlapanie (IP55), co oznacza odporność na kurz oraz deszcz i pot.

Dla mnie największą zaletą tego modelu jest jednak asystent sztucznej inteligencji. Wystarczy wypowiedzieć krótkie „Hej, Anka!", by wydać polecenie lub zadać pytanie. Można np. poprosić o zwiększenie głośności, zapytać o pogodę etc. Najbardziej przydatna jest jednak funkcja tłumaczenia w czasie rzeczywistym. Nie tylko ułatwia ona porozumiewanie się na wakacjach, lecz także umożliwia również np. tłumaczenie wykładów czy wystąpień na międzynarodowych konferencjach (wytrwali mogą też próbować w ten sposób słuchać, co mówią dziennikarze w obcojęzycznych telewizjach informacyjnych).

A co z brzmieniem? Jak na słuchawki o otwartej konstrukcji jest ono zaskakująco niezłe. W aplikacji można je też dostosować do własnych preferencji. Słuchawki obsługują kluczowe kodeki: SBC, AAC i LDAC. Bardzo przydatna w codziennym życiu jest też opcja multipoint, czyli możliwość sparowania słuchawek z dwoma urządzeniami jednocześnie (np. ze smartfonem i laptopem).

Plusem jest też wytrzymała bateria – słuchawki mogą pracować na jednym ładowaniu przez 35–40 godzin.

Wady? Szkoda, że panele są aż tak czułe, że zbyt często zdarzało mi się uruchomić niechcianą funkcję lub zatrzymać odtwarzanie muzyki, choć wcale nie chciałem tego robić. Być może wymagają jednak dłuższej wprawy użytkownika.

Cena: 699 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl b6d7b4f1ea

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Idealne na zimową aurę

Brzuszki łososia wędzonego są bardzo zdrowe i bogate w zdrowe tłuszcze oraz kwasy omega-3 i omega-6, które są doskonałym wsparciem dla serca i mózgu. To soczyste kawałki łososia, bardzo aromatyczne, delikatne i wyjątkowo smaczne. Uchodzą za prawdziwy rarytas, w dodatku w niewygórowanej cenie. Możemy je dostać w każdym większym sklepie spożywczym, a ich wartości odżywcze są nieocenione.

FOT. ADOBE STOCK

Znajdziemy w nich m.in. witaminy z grupy B oraz magnez, potas, cynk i selen. Są też doskonałym źródłem białka. W kuchni możemy je wykorzystywać do wielu dań – zarówno na ciepło, jak i na zimno. Doskonale łączą się z kaparami w zalewie czy zielonym pieprzem, a także pomidorami suszonymi. Możemy je wykorzystać do grzanek i zrobić pastę z dodatkiem śmietankowego serka kanapkowego, dodać sok z cytryny i doprawić, czym lubimy. Na wierzch można położyć jajko sadzone, posypać świeżym koperkiem i mamy śniadanie doskonałe.

Proponujemy też makaron z sosem śmietanowym i łososiem – danie lekkie, ale bardzo pożywne, idealne na tę zimową aurę.

Makaron z łososiem w sosie śmietanowym

Ilość na porcję dla 3–4 osób:

• 2–3 sztuki brzuszków z łososia • 4 łyżki kaparów w zalewie • 1 łyżka zielonego pieprzu w zalewie • 2 łyżki pomidorów suszonych w oleju • 2 szalotki lub cebule zwykłe • 2 ząbki czosnku • sok z ½ cytryny • ¼ opakowania mrożonego szpinaku • 200 ml słodkiej śmietanki 18-procentowej • 4 łyżki oleju do smażenia • sól, pieprz, słodka czerwona papryka do smaku • ser parmezan tarty dla podbicia smaku • świeża bazylia do dekoracji • 1 opakowanie makaronu (mogą być: rurki, świderki, kokardki)

Na rozgrzaną patelnię nalewamy olej i pokrojoną w kostkę szalotkę, podsmażamy ok. 5 minut. Dodajemy zielony pieprz, kapary pokrojone na połówki, suszone pomidory pokrojone w paseczki, czosnek przeciśnięty przez praskę, a następnie kawałeczki łososia (samo mięso) bez nadmiernego tłuszczu. Wszystko razem mieszamy i gotujemy ok. 10 min. Zalewamy słodką śmietanką, a na koniec dodajemy przyprawy do smaku i tarty parmezan. W tym czasie gotujemy makaron zgodnie z zaleceniem na opakowaniu. Podajemy go z sosem, dodatkowo posypujemy parmezanem i dekorujemy świeżą bazylią. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

To tylko talent

Skąd pisarze biorą pomysły na swoich bohaterów i ich przygody? Głupie pytanie – wiadomo, że z życia. Ale czytelnicy nie muszą wcale wiedzieć, jak było naprawdę. Niekoniecznie interesuje ich, że Barbara Niechcic z „Nocy i dni" jest zlepkiem kobiet z otoczenia pisarki, a Ewa Niemyska z „Przygód człowieka myślącego" to zmodyfikowany literacki autoportret pisarki.

Mnie też nie przyszłoby do głowy śledzić, co w powieściach Marii Dąbrowskiej jest prawdą, a co zmyśleniem. Ale gdy prawda sama wpada w ręce? Właśnie skończyłam czytać trzytomowe wydanie „Pamiętników" Stanisława Stempowskiego z lat 1870–1920. Świetnie, że wreszcie Więź z pomocą Fundacji Lanckorońskich wydała to monumentalne dzieło. Stempowski był nie tylko ważnym działaczem społecznym i politycznym, wielkiej szlachetności człowiekiem, lecz także utalentowanym pisarzem.

W „Pamiętnikach" niewiele jest życia prywatnego autora, który, jak powszechnie wiadomo, był towarzyszem życia Marii Dąbrowskiej. A już pikantnych szczegółów, których oczekiwałby współczesny czytelnik, nie ma tam wcale (na szczęście!).

Za to wpadłam niechcący na kilka epizodów, które w formie literackiej pojawiają się w powieściach Marii Dąbrowskiej. Albo sam Stempowski je przyjaciółce opowiedział, albo Maria przeczytała je w rękopisie, który sama przygotowywała do skróconego wydania z 1953 r. Wiadomo, że wprowadziła własne korekty, żeby w ogóle można było „Pamiętniki" wydać. Data: 1953 r. mówi sama za siebie.

Historia wuja powstańca z „Nocy i dni", który zwariował, uciekał z domu i Niechcicowie musieli go sprowadzać, pochodzi z opowieści Stempowskiego. Występująca w „Przygodach człowieka myślącego" pamiątkowa karabela należąca do powieściowej rodziny Niemyskich również zaczerpnięta jest z historii rodu Stempowskich. Podobnie epizod opowiadania „Skórka od słoniny" z czasów powstania warszawskiego – to zdarzyło się naprawdę panu Stanisławowi w 1944 r.

Anna Kowalska, przyjaciółka Dąbrowskiej, skarżyła się w „Dziennikach", że pisarka wykorzystuje jej historie, opowieści, komentarze. Czyżby uważała, że sama lepiej napisałaby to, za co cenimy Dąbrowską? Trudno oprzeć się wrażeniu, że prawdziwym powodem takiego myślenia była zawiść...

Kowalska dobrze wie, że literatura jest niczym więcej, jak umiejętnie pozmienianym opisem prawdziwego życia. Klucz stanowi słowo „umiejętny". To tylko talent, nic więcej. Nie wystarczy pozmieniać nazwiska i zamącić okoliczności, żeby powstało wybitne dzieło. A że część jest prawdą, a część zmyśleniem, komu przeszkadza? ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

PIECZEŃ RZYMSKA

„Grzechy i uleczenie”

PIOTR KOWALCZUK

Francuskie tłumaczenie książki pod takim tytułem, opublikowanej przez islamskie międzynarodowe wydawnictwo Editions Tawbah, rozprowadzały w swoich sklepach działająca w kilku krajach potężna francuska sieć SNAC i jeszcze potężniejszy Amazon. To przekład XIV-wiecznego dzieła imama Ibn Al-Qayyima, którego sunnici do dziś darzą ogromnym szacunkiem i uważają za niepodważalny autorytet filozoficzno-religijny. Ktoś we francuskim resorcie kultury musiał uznać, że sunnicki traktat uczonego męża jest świetną lekturą dla francuskiej młodzieży, bo znalazł się w katalogu książek i płyt, które uczniowie licealni mogli sobie sprawić w ramach dorocznego bonusu 300 euro na wydatki związane z kulturą.

Kolportowane w traktacie idee nieco szokują. Oto jeżący włos na głowie wyimek: „Homoseksualizm to przestępstwo groźniejsze od zabójstwa. Egzekucja homoseksualisty uchroni go przed sodomią. Trzeba z najwyższego budynku w mieście zrzucić go głową w dół, a potem ukamienować”. W suplikacji imam prosi Allaha, by ten przeklął, a potem wygubił Żydów, chrześcijan i homoseksualistów.

Naturalnie we Francji wybuchła awantura, co zrobiło książce znakomitą reklamę. W końcu SNAC wycofał publikację ze swoich półek, a Amazon z katalogów. Skandal jest szeroko komentowany w Italii. Przy tej okazji włoskie media alarmują, że za pieniądze Kuwejtu niedawno w Brescii odbyły się sympozja i kursy poświęcone szariatowi. Kuwejccy imamowie tłumaczyli mieszkającym we Włoszech muzułmanom, że szariat to prawo objawione przez Boga, które ma bezwzględne pierwszeństwo i wyższość nad prawem stanowionym przez ułomnych ludzi w państwach zachodnich. Słowem: trzymanie żony pod kluczem, dyscyplinowanie małżonki przedłużaczem elektrycznym (jak instruował pewien imam we Florencji), nie mówiąc o poligamii, są jak najbardziej na miejscu. A że jest to sprzeczne z włoskim prawem, a nawet konstytucją, uczonych islamskich brodaczy w ogóle nie obchodzi.

Żeby było ciekawiej, tego rodzaju kursy finansowo wspiera Unia Europejska. 200 tys. euro otrzymali realizatorzy projektu na Uniwersytecie Rzymskim „La Sapienza” pod hasłem: „Zrozumienie minionej historii pomocą w stawieniu czoła współczesnej islamofobii”. 300 tys. euro Bruksela wyłożyła na kurs na uniwersytecie z Amsterdamie „Biały islam: nowa religia dla Europejczyków”. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

DEKAMERONKI

Lekcja partii sezonowych

JERZY KARWELIS

Nie bardzo rozumiem, jak można się co cztery lata nabierać wciąż na to samo, kiedy dziwnie skorelowane z początkiem kampanii wyborów do Sejmu pojawiają się partie, które są tworami jednorazowego użytku, organizacjami sezonowymi. Bo sezon trwa od chwilowego uwiedzenia ludu, poprzez kooptację do systemu, po przystawkową konsumpcję bytów, które miały co najmniej odświeżyć układ polityczny III RP. Pojawiają się one regularnie, za każdym razem pewna część ludu wyborczego bierze je na serio, głosuje na meteor, który mknie po niebie polskiej polityki, wystrzelony w sondażach przez Bóg wie kogo, który pięknie świeci, i kończy tak samo – zaryty w polskiej plemienności.

Istnienie tego fenomenu potwierdza powtarzalny proces gnicia takich bytów, czego obecnie jesteśmy świadkami na przykładzie Polski 2050. Do wyborów – pięknolice pięknoduchy, program dla każdego, ideowy protest przeciwko miałkości plemiennej RP. Po wykonaniu zadania – czyli uciułaniu większości przez nie do końca lubianego Tuska – przejście na pozycje biorcze, jeśli chodzi o stanowiska, zero realizowania programu, upokarzany posłuch wobec premiera. Po nieudanej próbie prezydenckiej lidera – ostry zjazd, wewnętrzny rozpad, patrzenie się do tyłu, czy Tusk weźmie do przyszłych rozdań. Koniec nadziei nawet dla najbardziej naiwnych.

Co dziwne, to podobno ruchy na poziomie przepływu Polska 2050-Konfederacja i z powrotem dały władzę Tuskowi, co pokazuje, że elektorat Konfederacji to jakaś hybryda liberalizmu i zielonoładowej ideologii, skoro tak bez żenady skaczą z poparciem między Mentzenem a (kiedyś) Hołownią. Skoro teraz to Konfederacja ma niby podbierać elektorat Polski 2050, to znaczy, że elektorat to dziwny, a więc chwiejny, który może uwierzyć kolejnej partii sezonowej, na bank szykowanej na kolejne wybory.

Na razie jesteśmy świadkami żenujących scen, ale tak jest zawsze, kiedy gnije partia jednorazowego użytku. Niektórzy z jej członków wciąż śnią o dawnej potędze, wysadzają mosty w odwołanej już wojnie, w końcu – gryzą się o resztki kiedyś tłustych kości. Mamy felonie wobec Tuska czy miałkich liderów, kandydatów na likwidatorów masy upadłościowej. Warto zatem zapamiętać sobie ten widok – tak kończą sztuczne twory, fundowane ludowi w nadziei zmian. Tak wyglądają podróbki dla nas, do czasu, aż sami czegoś autentycznie nie stworzymy. Tak wyglądają te piękne przedwyborcze maszynki, którym po wykonaniu zadania wyłącza się prąd, stają się gratami niegdysiejszej (dętej) wielkości, opartej na powtarzalnej naiwności ludu. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

SPODE ŁBA

Pokojowy Chopin dla Trumpa

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zaskakującą propozycję złożyła Donaldowi Trumpowi laureatka Pokojowej Nagrody Nobla, María Corina Machado. Prezydent USA wielokrotnie wyrażał swoje niezadowolenie z faktu, że sam tej nagrody nie dostał. „Pamiętajmy, że kiedy ja własnoręcznie zakończyłem osiem wojen, Norwegia, członek NATO, podjęła głupawą decyzję, żeby nie obdarować mnie Pokojową Nagrodą Nobla" – skarżył się amerykański prezydent. Poruszona tymi zarzutami Machado ogłosiła zamiar „sprezentowania" swojej nagrody Trumpowi. Ów przyjął ofertę Wenezuelki ciepło, określając ją jako „wielki zaszczyt". Do wymiany uprzejmości wtrącił się nieproszony Norweski Komitet Noblowski, kategorycznie wykluczając możliwość przekazania, wymiany lub sprzedaży nagrody. Był to dysonans bolesny, jako że pani Machado, w zamian za oddaną Trumpowi nagrodę, liczyła na oddanie jej władzy w ojczystej Wenezueli.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Upodobanie Donalda Trumpa do nagród zaczęło być w świecie znane. Zamiar nominowania go do Pokojowej Nagrody Nobla ogłaszały już władze Izraela, Kambodży i Pakistanu – każde w podziękowaniu za pomoc podczas toczonych wojen. Znana z systemowej korupcji międzynarodowa federacja piłkarska (FIFA) ustanowiła nawet nagrodę, „FIFA Peace Prize", której pierwszym i jedynym laureatem został aktualny lokator Białego Domu. Wzór z futbolowych hucpiarzy wzięła Fundacja Richarda Nixona, obdarowując Trumpa tytułem Architekta Pokoju 2025, a wisienkę na torcie położył Beniamin Netanjahu, przyznając Donaldowi Trumpowi Nagrodę Księcia Pokoju, którą honorowano dotychczas wyłącznie obywateli Izraela. Prezydent USA przyjmuje takie „honory" z taką samą radością, z jaką kilkadziesiąt lat temu cieszył się umizgami kandydujących w konkursach piękności nastolatek. Izraelska Nagroda Księcia Pokoju niepokojąco kojarzyć się może z biblijnym tytułem mesjańskim Chrystusa, zaczerpniętym z księgi proroka Izajasza: „Albowiem Dziecię nam się narodziło, Syn został nam dany, na Jego barkach spoczęła władza. Nazwano go imieniem: Przedziwny Doradca, Bóg Mocny, Odwieczny Ojciec, Książę Pokoju" (Iz 9, 5). Na szczęście nawet papież nie widzi w tym problemu.

Podobnymi hołdami obdarzają Donalda Trumpa polscy politycy. Zwłaszcza posłowie PiS, którzy jego wybór na prezydenta przyjęli w Sejmie owacją, nie znajdują dla niego odpowiednich wyrazów podziwu. Niestety, brakuje nam w Polsce nagród, które cieszyłyby się na świecie odpowiednim dla prezydenta USA prestiżem. Ostatnim tego rodzaju laurem, który pozostaje do dyspozycji polskich elit, wydaje się główna nagroda w Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. Czy nie byłoby odpowiednim pomysłem wyrzucenie z grona jego ubiegłorocznych laureatów trzeciego na liście Chińczyka, przesunięcie pozostałych nagród o oczko w dół, a zwycięzcą konkursu mianowanie, w trybie nadzwyczajnym, Donalda Trumpa? Jak ustalił z ambasadorem USA były premier Mateusz Morawiecki: „To, co osłabia Chiny, wzmacnia Polskę". Prawicowi historycy byli w stanie doszukać się we wstydliwie dziś zapomnianym spotkaniu sklerotycznego Joe Bidena z „poczciwym" (używając eufemizmu Rafała A. Ziemkiewicza) prezydentem Andrzejem Dudą konfrontacji politycznych wizjonerów, wykuwających zręby globalnej polityki jagiellońskiej, „o randze wydarzenia historycznego". Dlaczego w tyle za nimi mieliby pozostać muzykolodzy?

Poddani wpływowi „woli politycznej" i grantów nawet burczenie w brzuchu Donalda Trumpa zinterpretować powinni jako mistrzowskie wykonanie „Poloneza As-dur". Gdyby amerykański prezydent „Pokojową Nagrodę Chopinowską" zgodził się przyjąć w Warszawie, zmodyfikować wypada, na potrzeby tej ceremonii, opatrzony już nieco pomnik w Łazienkach. Obok przechylonego Fryderyka niech na cokole zasiądzie podtrzymujący go opiekuńczo Donald Trump, przed nimi zaś, w cieniu wierzby, przycupnie skromnie „postać na prawicy niezastąpiona" – zasłuchany w melodię przyszłości prezes Jarosław Kaczyński. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kabul i Caracas

Słuchając komentarzy niektórych naszych znawców geopolityki i „architektury światowego bezpieczeństwa" – a znawców tych namnożyło się w ostatnich latach całkiem sporo – można by odnieść wrażenie, że brawurowa akcja amerykańskich sił specjalnych, która zakończyła się ujęciem i wywiezieniem do USA wenezuelskiego dyktatora Nicolása Maduro, była oznaką… słabości Wuja Sama. Oczywiście pojawiły się głosy zrównujące akcję zleconą przez prezydenta Trumpa z wojną rozpętaną przez Putina przeciw Ukrainie. Takich krytyków nie przekona żaden racjonalny argument, na czele z tym, że USA nie kwestionują istnienia narodu wenezuelskiego (a Putin kwestionuje istnienie narodu ukraińskiego), że Amerykanie nie porywają dzieci wenezuelskich (a Putin systematycznie uprowadza dzieci ukraińskie) i że Stany Zjednoczone nie dokonują aneksji żadnej części terytorium Wenezueli (a Putin już zagarnął niemal 20 proc. terytorium Ukrainy).

Patrząc na historię wieków XX i XXI, widać wyraźnie, że amerykańskie interesy nie stoją w sprzeczności z długofalowymi interesami Polski

Słabość USA? Nieprzewidywalność Trumpa (kto zacz, o tym najlepiej wie premier Donald Tusk)? „Odpuszczenie" przez Waszyngton Ukrainy? A może warto jako hipotezę roboczą „połączyć kropki" i traktować jako całość ciąg zdarzeń: obalenie prorosyjskiego reżimu Al-Asada w Syrii, osłabienie władzy ajatollahów w Iranie, obalenie prorosyjskiego oraz prochińskiego reżimu Maduro i związana z tym perspektywa napływu wenezuelskiej ropy na światowe rynki? Do tego można dołożyć ostatnią decyzję prezydenta Trumpa o „zielonym świetle" dla procedowania w Senacie USA ponadpartyjnej inicjatywy ustawodawczej mającej na celu nadanie prezydentowi prawa do nałożenia sankcji na kraje handlujące z Rosją.

Obrazy mają swoją siłę i przez to mają konsekwencje. Widok ewakuowanego śmigłowcami w 1975 r. personelu ambasady USA w Sajgonie był wizualizacją słabości Ameryki, która po wstrząsie związanym z Watergate i działalnością tzw. ruchu antywojennego (iluż tam było influencerów z KGB i Stasi!) „odpuściła" Wietnam Południowy, który został anektowany – wbrew paryskim porozumieniom pokojowym z 1973 r. – przez komunistyczną i prosowiecką Północ. Widok uwięzionego w 1979 r. w Teheranie personelu amerykańskiej ambasady (nieudana próba jego odbicia ostatecznie pogrzebała szanse prezydenta Jimmy'ego Cartera na reelekcję) był dodatkowym dowodem na słabość Waszyngtonu i zachętą dla Moskwy do agresji na Afganistan pod koniec 1979 r.

Widok potykającego się o własne nogi prezydenta Joe Bidena, a jeszcze bardziej ikoniczne obrazki z chaotycznego wycofywania się w 2021 r. Amerykanów (oraz ich afgańskich współpracowników) z Kabulu rozzuchwaliły Putina do podjęcia „specjalnej operacji wojskowej" na Ukrainie. Czy widok przewożonego w amerykańskim samolocie wojskowym, skutego kajdankami wenezuelskiego socjalistycznego, dyktatora jest wizualizacją słabości USA czy raczej odwrotnie? Stawiam kolejną hipotezę roboczą, że jest to raczej wizualizacja amerykańskiej siły.

Wystarczy pomyśleć, co by było, gdyby amerykańskie siły specjalne koncertowo spartaczyły całą akcję w Caracas, jak to przed laty uczynili ich odpowiednicy w Teheranie. Jaki przekaz poszedłby do świata, a zwłaszcza do Moskwy i Pekinu? Siły czy słabości? Moja hipoteza brzmi, że raczej by mówiono o tej drugiej, przy jednoczesnym pomstowaniu na „awanturnictwo Trumpa".

To prawda, że w Ameryce jest niezwykle silne lobby izraelskie (jak precyzyjnie udowadniali profesorowie Mearsheimer i Walt, nie należy go mylić z „lobby żydowskim"). To prawda, że Amerykanie – zwłaszcza pod rządami obecnej administracji – bezwzględnie monetyzują swoje wpływy. Patrząc jednak na historię wieków XX i XXI, widać wyraźnie, że interesy amerykańskie nie stoją w sprzeczności z naszymi długofalowymi interesami. Nawet idealizm Wilsona w latach 1918–1919, tak mocno piętnowany przez europejskich konserwatystów na czele z Jakiem Bainville'em z Action Francaise, wznosząc hasło „samostanowienia narodów", sprzyjał sprawie naszej niepodległości; mimo że to Biały Dom, ulegając naciskom wpływowych środowisk żydowskich, wymógł na Polsce podpisanie wraz z traktatem wersalskim tzw. traktatu mniejszościowego. Przy wszystkich niejasnościach to jednak 13. punkt orędzia Wilsona (styczeń 1918 r.) o niepodległej Polsce w zestawieniu z dealowaniem polskimi ziemiami przez Niemcy i Austro-Węgry (pokój w Brześciu z Ukrainą w lutym 1918 r.) był realną szansą na odbudowanie państwa polskiego. ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

WYRYWANIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trump wyrwał Syrię z ruskich rąk. Wyrwał też Wenezuelę z rąk ruskich i chińskich. Dla mnie najważniejsze jest to, że Trump wymusił na komunistycznych władzach Wenezueli wypuszczenie więźniów politycznych. Kto nie rozumie, co jest ważne, niech sobie wyobrazi, że w Polsce, w styczniu roku 1982, czyli w najgorszym okresie stanu wojennego, amerykański prezydent wymusił uwolnienie więźniów internowanych przez Jaruzelskiego. Znasz kogoś, kto wtedy siedział? Znasz rodzinę kogoś, kto wtedy siedział? Pamiętasz, jak wyglądały ich święta Bożego Narodzenia, gdy oni nie wiedzieli, gdzie jest tata i czy go komuniści nie zakatowali na śmierć? I nagle jakiś prezydent zza oceanu doprowadza do sytuacji, gdy tata wraca do domu… Coś takiego nie ma ceny.

W komentarzach na temat akcji Trumpa w Wenezueli najczęściej mówi się o ropie naftowej. A mnie ropa interesuje mało – ważniejsze jest to, że więźniowie polityczni wracają do domów. Czy ktoś z państwa wie, jak wygląda więzienie w Wenezueli? Ja wiem tylko trochę i nie chcę wiedzieć więcej. Oddam całą ropę świata w zamian za wolność tych ojców, którzy wracają do swoich rodzin.

***

Trump wyrwał Syrię z ruskich rąk. Wyrwał też Wenezuelę z rąk ruskich i chińskich. I właśnie wyrywa Kubę. Ten sam Trump, o którym komentatorzy piszą, że jest pupilem Putina, ten sam Trump wyrywa Putinowi z garści Kubę. Kto nie rozumie, co jest ważne, niech czyta relacje Kubańczyków żyjących w USA. Miliony ludzi czekają od dziesięcioleci na odzyskanie niepodległości. Sekretarz stanu Marco Rubio jest synem kubańskich imigrantów. On rozumie, co się czuje, gdy połowa rodziny musiała uciekać przez morze na drewnianych tratwach, a druga połowa siedzi zamknięta na wyspie opanowanej przez komunistów.

A komentatorzy snują opowieści o imperialnej polityce Trumpa. Polityka istnieje i może być imperialna, ale ważniejsze jest to, czemu konkretnie ta imperialna polityka służy – czy służy budowaniu dobra. Ameryka prowadzi politykę imperialną, ale do Ameryki nadal się ucieka w pogoni za… WOLNOŚCIĄ. Do Rosji ani do Chin się nie ucieka.

***

Trump wyrwał Syrię z ruskich rąk. Wyrwał też Wenezuelę z rąk ruskich i chińskich. I właśnie wyrywa Kubę. A kilka miesięcy temu odzyskał Kanał Panamski. Kanał był na początku amerykański, potem wpadł w ręce chińskie, co stanowiło dla nas wszystkich zagrożenie, prawda? Ktoś uważa inaczej? Czy chcemy, aby kluczowym dla światowego handlu szlakiem wodnym rządzili Chinole? Już i tak rządzą w Afryce, mają połowę Azji, połowę Europy… DOŚĆ, prawda? A teraz Kanał Panamski jest znów pod kontrolą amerykańską.

Był amerykański od początku i wszystko działało poprawnie, bo Ameryka skupiała uwagę na handlu, a nie na kontroli, kto tam pływa. Stany Zjednoczone wydzierżawiły teren i wybudowały kanał za własne pieniądze – obywatele Panamy dostawali dywidendę. To był układ handlowy. I nikt nikogo nie zmuszał do podpisania tamtej umowy. Panama mogła się nie zgodzić, a Amerykanie mieli alternatywny projekt wybudowania kanału w Hondurasie. Panama przebiła ofertę Hondurasu. Wolny rynek.

***

Trump wyrwał Syrię z ruskich rąk. Wyrwał też Wenezuelę z rąk ruskich i chińskich. Właśnie wyrywa Kubę, odzyskał Kanał Panamski. Jeżeli wyrwie Iran, który też jest sojusznikiem Rosji, a do tego komunistycznych Chin, wówczas porządek świata ulegnie zmianie na skalę podobną jak za czasów prezydenta Ronalda Reagana, który za pomocą kilku mocnych akcji obalił gospodarkę Związku Sowieckiego, a to doprowadziło do rozpadu komunistycznego imperium.

Eksperci gadają o irańskiej ropie, że niby Trump walczy o ropę. Ma już największe na ziemi zasoby ropy w USA, kontroluje ropę i gaz w Kanadzie, kontroluje złoża wenezuelskie i teraz jakiś ekspert mówi, że Trump ma chęć na więcej ropy w Iranie. Bzdury. Ameryka jest zabezpieczona w ropę na 100 lat do przodu. Z Iranem chodzi o osłabienie Ruskich i Chińczyków, a nie o ropę.

***

A teraz pogadajmy jak faceci: z punktu widzenia USA jest obojętne, kto będzie rządził w Wenezueli, Syrii, na Kubie i w Iranie. Jest jednak istotne, kto będzie zarządzał całym regionem amerykańskim od bieguna do bieguna plus kluczowymi obszarami świata takimi jak Bliski Wschód. Czy to będą Chinole, Ruscy czy Amerykanie – coś takiego JEST ważne, prawda?

Gdy Ruscy postawili stopę na Kubie, doszło prawie do trzeciej wojny światowej (tzw. kryzys kubański w czasach J.F. Kennedy'ego). A teraz chodzi o to, by z amerykańskiej części świata wygonić Chińczyków. Pogadajmy po męsku: Co wolisz, aby w rejonie Ameryki Łacińskiej panowali Chińczycy czy Amerykanie? Innej opcji nie ma, więc trzeba się po męsku zdecydować. Gadanie o samodzielności krajów to tylko gadanie. No więc ja wolę, aby rejon obu Ameryk kontrolowali Amerykanie, a Chińczycy trzymali się z daleka. I tyle w temacie.

Eksperci mówią o wenezuelskich pokładach ropy naftowej i gazu, do tego żelazo, boksyt, złoto, diamenty oraz metale ziem rzadkich – wszystko to jest w Wenezueli oraz szerzej, w całej Ameryce Łacińskiej. Kiedy eksperci powiedzą o zasobach, to automatycznie sugerują, że Trump rzucił się na Wenezuelę, by KRAŚĆ cudze zasoby. Prymitywne myślenie eksperta.

Z punktu widzenia Ameryki jest obojętne, kto konkretnie będzie rządził w danym kraju. Absolutnie nie chodzi o demokrację. Chodzi tylko o to, by władze danego kraju nie oddawały zasobów Chińczykom ani Ruskim, bo to spowoduje zachwianie równowagi pomiędzy mocarstwami. Gdyby Ameryka dopuściła do sytuacji, w której władze Wenezueli oddają swoje złoża metali ziem rzadkich Chińczykom, to by oznaczało, że Chińczycy uzyskali monopol na całym świecie. Już teraz kontrolują większość światowych zasobów.

Metale ziem rzadkich są wykorzystywane w maszynach, elektronice, pojazdach elektrycznych i myśliwcach. MYŚLIWCACH. Pogadajmy po męsku: Czy chcesz, aby Chiny uzyskały możliwość zablokowania produkcji amerykańskich myśliwców? ©℗

eprasa.pl b6d7b4f1ea

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b6d7b4f1ea

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZY NAPOLEON CYNICZNIE WYKORZYSTAŁ POLAKÓW?

Polska napoleońska – Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on – mówi w wywiadzie prof. Jarosław Czubaty

Betlejemski cud z kamienia – To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie

Jak Polska odzyskała wzrok – Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Fałsz pogańskiej męczennicy – Wbrew sugestiom reżysera filmu „Agora" Hypatia padła ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego

Z Sarn na Sybir – Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców

Łotewskie „Dzikie Koty" – Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów" w Berlinie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl b6d7b4f1ea